

ks. Stanisław Musiał

*dwanaście
koszy
ułamków*

*wprowadzenie
Stanisław Obirek SJ*

Wprowadzenie

Kardynał Mediolanu, Carlo Maria Martini, analizując tekst zagadkowej Księgi Hioba, powiedział, że wiele z jej stwierdzeń nie ostałoby się wobec wymagającej Komisji Teologicznej.

Czytelnik tekstów o. Stanisława Musiała niekiedy stawia sobie podobne pytanie: a co na to Komisja Teologiczna? Tutaj również mamy do czynienia z szukaniem obecności Boga w najgłębszym doświadczeniu człowieczego losu.

Otóż podobnie jak autora Księgi Hioba, Stanisława Musiała broni żarliwość w szukaniu prawdy o człowieku, o człowieku zagubionym w cierpieniu, ale przede wszystkim — i tu znowu nasuwa się analogia do Księgi Hioba — zapęt w demaskowaniu odpowiedzi pozornych i zbyt uładzonych, a więc fałszywych.

Na Dwanaście koszy ułomków składają się teksty publikowane w „Tygodniku Powszechnym”. Łączy je jedno: troskliwość o ocalenie każdego odruchu dobra ludzkiego serca. Ojciec Musiał nieprzypadkowo nawiązuje w swoich rozważaniach do szóstego rozdziału Ewangelii św. Jana, gdzie mowa jest o cudownym rozmnożeniu pięciu chlebów, które nie tylko nasyciły ogromne rzesze zgłodniałych, lecz pozwoliły „napęłnić dwanaście koszy” ułomkami chleba.

Pisarstwo o. Stanisława Musiała uczy dostrzegać pokarm Boży rozproszony w naszym świecie i w naszym kulturowym dziedzictwie, pozwala też nasycić i zaspokoić nasz głód Boga.

Jestem przekonany, że czytelnik z przyjemnością zanurzy się w ten świat „świętej rozrzutności”, która nie ma względu na osoby.

Stanisław Obirek SJ

Kraków, Wielkanoc 2002

Złoty pantofel Chrystusa

Święty Benedykt z Nursji w VI wieku wymagał w swej regule od zakonników, by odmawiali 38 psalmów dziennie. Wraz z upływem czasu liczba psalmów do odmawiania ciągle wzrastała. W XI wieku w największym wówczas opactwie benedyktyńskim na świecie, w Cluny, mnisi odmawiali ich w pewne dni aż 215 (niektóre ze 150 biblijnych psalmów były oczywiście odmawiane dwukrotnie). Inflacja modlitewnego słowa! Nie było to całkiem po myśli Chrystusa: „Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi jak poganie. Oni myślą, że przez wzgląd na swe wielomówstwo będą wysłuchani” (Mt 6, 7).

Modlitwa *Ojcze nasz*, której Chrystus nauczył swoich uczniów, nawet w swej dłuższej, Mateuszowej, wersji, jak odmawiamy, nie trwa dłużej niż pół minuty.

Nowego spojrzenia na modlitwę nie zawdzięczamy uczonym teologom. Weszło ono w życie duchowe wiernych bocznymi drzwiami: poprzez opisy cudów, których Średniowiecze było wielkim wielbicielem i niezwykle płodnym producentem. Cieszyły się one wówczas wyjątkowym autorytetem religijnym, bo legitymującym się interwencją niebieską. Władzy kościelnej było trudno i niezręcznie podważać ich fakt i wymowę. Szkoda, że ten rodzaj literatury średniowiecznej: zbiory z opisami cudów, jest wciąż jeszcze pogardzany przez historyków, a nawet i teologów. Tymczasem krył on w sobie niejednokrotnie wielki ładunek nowatorskich treści, rozsadzający przyjęte od wieków schematy myślowe.

Oto dwa przykłady nowego spojrzenia na modlitwę w cudach średniowiecznych. Pewien akrobata-komediant porzucił świat i wstąpił do klasztoru, do cystersów w Clairvaux, czyli reformowanych benedyktynów. Niestety, nie umiał się modlić. Nie znał żadnej formuły modlitewnej na pamięć. Wstydził się swej niewiedzy, a równocześnie pałał pragnieniem wielbienia Matki Najświętszej. Znalazł rozwiązanie. Gdy mnisi spali, w nocy, on wstawał, szedł do kościoła i tam przed figurą Matki Bożej produkował się artystycznie, jak potrafił: fikał koziołki, chodził na rękach i tańczył. Niestety, pewnej nocy przyłapał go na gorącym uczynku jeden ze współbraci zakonnych i doniósł o wszystkim opatowi. Zapewne mnich-akrobata zostałby przez przełożonych surowo ukarany, gdyby nie natychmiastowa interwencja Matki Bożej, która ukazała się opatowi i zapewniła go, że bardzo spodobała się jej taka forma czci, i co więcej, że ta modlitwa jest w pełni poprawna teologicznie. Matka Najświętsza nie omieszkała też pokazać się mnichowi-artyście, by go pocieszyć. Nikogo w Średniowieczu nie gorszyło, że cud ten przekazywano sobie pod nieco śmiałym tytułem: „Uwodziciel Naszej Pani”.

W innym przykładzie cudu występuje już sam Chrystus — Chrystus ze starego krucyfiksu (VII wiek?), wykonanego z drzewa orzechowego, tzw. *Volto Santo* (Święte Oblicze), przechowywanego w katedrze w Lukce we Włoszech. Krzyż ten cieszył się w Średniowieczu w całej Europie wielką czcią. Na przykład Wilhelm II (1056–1100), król angielski, przysięgał tylko na Oblicze z Lukki (*per Vultum de Luca*). W XII wieku, by uchronić prawą stopę Chrystusa przed zniszczeniem spowodowanym dotykiem i pocałunkami wiernych, obuto ją w złoty pantofel. Historia modlitewna jest podobna jak w poprzednim cudzie. Pewien bard, nie znając żadnej modlitwy na pamięć i nie wiedząc, jak się modlić, sięgnął po instrument i przy jego akom-

paniamencie zaśpiewał Chrystusowi jedną z pieśni ze swego repertuaru. Modlitwa ta tak się spodobała Chrystusowi, że zdjął złoty pantofel i wręczył go artyście na znak swej wdzięczności. Równocześnie ukazał się biskupowi miasta i polecił mu, żeby pantofel odkupił od artysty i ponownie założył na stopę na krucyfiksie. Nie było to łatwe zadanie dla biskupa: po pierwsze, wędrowni artyści i komedianci nie byli wówczas w zbytich łaskach u ludzi Kościoła, i po wtóre, musiał głęboko sięgnąć do swej sakwy ze złotymi monetami.

Także modlitwa bez słów: gestem, pracą, życiem, warta jest złotego pantofla Chrystusa.

październik 2000

„Mnich renegat” i Mała Święta Teresa

„Mnich renegat” — jak go nazywała i prasa katolicka — ks. Charles Loyson (1825–1912), kolejno sulpicjanin, dominikanin i karmelita. W tym ostatnim zakonie otrzymał imię Jacka: Père Hyacinthe. Był znakomitym kaznodzieją, ponoć lepszym od słynnego Jean Baptiste Lacordaire’a. W 1869 r. został ekskomunikowany za swe poglądy na temat papieżstwa i Kościoła. Ożenił się z Amerykanką Emilią Meriman, wdową, którą niegdyś przyjął na łono Kościoła katolickiego. W 1879 r. założył własną wspólnotę wyznaniową: Kościół katolicki gallikański, który podporządkował później starokatolikom.

Od kwietnia do lipca 1891 r. ks. Loyson będzie podróżował po Normandii, wygłaszając kazania. Karmel w Lisieux będzie z bliska śledził działalność byłego ojca Jacka, także i z tego powodu, że był on przez pewien czas prowincjałem zakonu karmelitańskiego. Siostra Teresa Martin — jej pełne imię zakonne brzmi: Teresa od Dzieciątka Jezus Świętego Oblicza — w styczniu tego roku ukończyła osiemnaście lat, z czego prawie trzy lata przeżyła w karmelu w Lisieux. Także i ona, a może szczególnie ona, będzie interesować się sprawą ks. Loysona i bardzo ją przeżywać. Wyzna, że jej „jedynym pragnieniem jest zbawić duszę, która zdaje się być stracona na zawsze”. Tą „duszą” jest ks. Loyson. Z okresu jego podróży po Normandii posiadamy dwa listy św. Teresy, obydwie pisane do jej starszej siostry Celiny. W pierwszym, z kwietnia,

jest krótka wzmianka o ks. Loysonie, bez cytowania jego nazwiska — całkiem w stylu św. Teresy: „(Jezus) pragnie, żeby Jego mały kwiat (Celina) uratował dla Niego wiele dusz [...]. (Celina) dokona rzeczy wspaniałych i da Jezusowi mnóstwo kwiatów (przede wszystkim pewną zwiędłą i zeschniętą Lilię, którą trzeba będzie przemienić w różę miłości i pokuty!)...”

Owa Lilia, pisana z dużej litery, to oczywiście ks. Loyson (można się tutaj dopatrzeć pewnej gry słów: lys—lilia i Loyson). Teresa przekazuje siostrze szereg nowych informacji na temat ks. Loysona, zaznaczając, że te „szczegóły” ją „bardzo zainteresowały” i spowodowały u niej „szybsze bicie serca”. Niestety, wydawcy listów św. Teresy wykropkowali to miejsce. „Szczegóły”, które nie zostały wykropkowane, są z rzędu typowych plotek klasztornych. Powtarzanie ich nie przynosi oczywiście św. Teresie zbytnej chluby. Otóż ów „nieszczęsny marnotrawca” odwiedza ponoć kościoły z wielkim krzyżem — co zdaniem niektórych miałoby świadczyć o tym, iż gryzie go sumienie, że w owych kościołach ma urządzić „wielkie adoracje”, że „kobieta” wszędzie mu towarzyszy (język francuski dopuszcza tutaj także tłumaczenie: „żona”) i że ponoć nosi się z zamiarem podróżowania po całej Francji. Po owych „plotkach” pada zdanie-prysznic. Pierwszy człon tego zdania to lodowata woda, drugi — ciepły balsam nadziei: „Celino Kochana, on jest rzeczywiście winny, i to może bardziej winny, aniżeli nim był jakikolwiek inny grzesznik, który by się nawrócił, ale czy Jezus nie może raz jeden zrobić czegoś, czego dotąd jeszcze nigdy nie zrobił?”

Z tej drogi nadziei Teresa już nigdy nie zejdzie. Świętą ostatnią Komunię św., 19 sierpnia 1897 (umrze 30 września; oczywiście Teresa ani jej otoczenie nie wiedzą, iż ta Komunia św. jest ostatnia), ofiaruje za ks. Loysona.

Są w liście św. Teresy, tym drugim, z 8 lipca 1891, dwa krótkie słowa, wyróżniające ją spośród wszystkich osób, które wówczas wypowiadały się na temat ks. Loysona, słowa odróżniające ją od osób świeckich i duchownych, od rodziny i współsióstr w karmelu, przede wszystkim zaś od głosów opinii publicznej, zwłaszcza prasy katolickiej. Te słowa to: *notre frère* — „nasz brat”. Dla wszystkich innych ks. Loyson był tylko „mnichem renegatem”. Dla Teresy — *notre frère*. I ta różnica czyni z Teresy prawdziwą chrześcijankę. Świętą!

listopad 2000

Sólo Dios basta

Zaczął się od pomyłki. Jerónimo Gracián, student teologii na uniwersytecie w Alcalá w Hiszpanii, wyświęcony na księdza 25 marca 1570, zamierzał 4 października, w dniu św. Franciszka z Asyżu, odprawić Mszę św. w klasztorze sióstr franciszkanek. Niestety, pomylił daty. Postanowił udać się do innego pobliskiego klasztoru żeńskiego, który jak sądził, również należał do sióstr z rodziny franciszkańskiej. Przy pożegnaniu dowiedział się jednak od siostry przeoryszy, że odprawił Mszę św. i wygłosił kazanie w klasztorze sióstr karmelitanek bosych.

Musiał przypaść do gustu przeoryszy, skoro zaproponowała mu zaraz, by został jej spowiednikiem. Jerónimo poprosił o regułę klasztorną. Przeorysza dała mu kopię statutów, których autorką była siostra Teresa od Jezusa, przyszła św. Teresa z Ávila. Między dwudziestopięcioletnim Jerónimem a pięćdziesięcioletnią Teresą nawiązała się ożywiona korespondencja. Teresa zorientowała się szybko, że Jerónimo mógłby zostać jej główną podporą w dziele reformowania zakonu. Po półtorarocznym wahaniu zdecydował się przywdziać habit karmelitański. Teresa powierzyła mu, jeszcze jako nowicjuszowi w klasztorze karmelitów w Pastrana, rząd dusz nad siostrami z karmelu w tym mieście.

Jerónimo i Teresa po raz pierwszy zobaczą się w 1575 r. w karmelu w Beas. Teresa będzie mieć już wtedy za sobą dziesięć nowych fundacji żeńskich i dwie męskie (te ostatnie m.in. przy pomocy Jana od Krzyża),

Jerónimowi podlegały wszystkie klasztory karmelitańskie w Hiszpanii. Tematów do rozmowy nie zabraknie. Spędzą razem prawie miesiąc, rozmawiając „z przerwami tylko na Mszę św. i posiłki”.

Między Teresą i Jerónimem zaiskrzy świętą miłością. Teresa napisze, że Jerónimo otworzył się wtedy przed nią „jak przed żadnym dotąd spowiednikiem czy jakimkolwiek innym człowiekiem”. Postanowią, że odtąd będą podejmować wszystkie decyzje razem i że nie będą mieć przed sobą tajemnic. Teresa wyzna później: „W owych dniach byłam tak bezgranicznie szczęśliwa i pełna nadziei, że przeraziłam się samej siebie”.

Było czym się przerazić! To właśnie w Beas Teresa miała wizję Chrystusa, który wziął prawe ręce jej i Jerónima i złączył je razem, mówiąc, by przyjęła Jerónima w Jego miejsce na całe życie. W dwa tygodnie później Teresa złoży ślub posłuszeństwa wobec Jerónima, zawierając mu się całkowicie. Odtąd jej najgorętszym pragnieniem jest być tam, gdzie jest Jerónimo. Kiedy Jerónimo wyjedzie, Teresa codziennie, a czasami nawet kilka razy dziennie, pisać będzie do niego listy. W obawie, że mogą wpaść w niepożądane ręce, będzie się w nich uciekać do kryptonimów. I tak Jerónimo będzie Anastazym, Pawłem, Cyrylem, a najczęściej Elizeuszem. Ona sama kryć się będzie za imionami Lorencji i Angeli. Chrystus otrzyma imię Józefa.

Niestety, tylko około stu listów Teresy do Jerónima zachowało się do naszych dni (ani jeden Jerónima). Teresa wychwala w nich Jerónima, nazywając go „aniołem” (on czasami odwdzięczy się „piękną Teresą”). Ustawicznie troszczy się o jego sen, o jego niefortunne upadki z muła, o jego odżywianie się (także o to, by go w którymś z klasztorów współbracia nie otruli; Jerónimo nosił zawsze na szyi *piedra bazar*, „wymiotny kamień”, a do stołu kazał sobie podawać głównie jaja na twardo wskorupie). Pisząc

o przyjaźni z Jerónimem, Teresa często używa mocnego określenia na „miłość”: *amor* zamiast bardziej uduchowionego *caridad* — umiłowanie. Gdy Jerónimo poprosi ją, by nie okazywała mu swych uczuć w tak jaskrawy sposób, Teresa zrugą go i odpowie, że wie dobrze, co robi. Zachowa jednak świadomość, że jej postępowanie jest absolutnym wyjątkiem (usprawiedliwiać je będzie często swoim wiekiem). Ich wzajemną miłość najlepiej opíše po latach sam Jerónimo: „Miłość między Matką Teresą i mną przyniosła mnie — czystość, uduchowanie i miłość ku Bogu, jej — pociechę i ulgę w cierpieniach i znojach”.

Jest rzeczą znamioną, że Teresa nie nawiązała podobnej więzi duchowej i uczuciowej z żadnym ze swoich spowiedników i przewodników duchowych, jak choćby z Janem od Krzyża. Szukała bliskiej duszy o strukturze psychicznej podobnej do własnej. Potrzebowała oparcia w człowieku łagodnego serca, pokornym, roztroptym, obdarzonym poczuciem humoru, z dużym wyczuciem psychologicznym. I znalazła go w Jerónimie. Był on inny niż większość Hiszpanów. Zawdzięczał to polskiej krwi w swoich żyłach. Matką jego była Juana Dantyszek, nieślubna córka dyplomaty Jana Dantyszka, ambasadora polskiego na dworze hiszpańskim. Ryszard Ganszyniec napisał o nim, że „kosztował dziewic wszystkich krajów”; po powrocie z Hiszpanii Dantyszek przyjął święcenia kapłańskie i został biskupem chełmińskim, a później także warmińskim. Juana w wieku dwunastu lat wyszła za mąż za tłumacza i sekretarza królewskiego Don Diega Graciána.

O tym, jak utalentowanym psychologiem był Jerónimo, może zaświadczyć choćby fakt, że pewnej zakonnicy, cierpiącej na depresje, polecił, by zwierzała się codziennie kotu, który w dodatku był dziki i ją drapał. Z czasem została ona najradośniejszą karmelitanką w swej wspólnotce. Także wobec Teresy Jerónimo potrafił zachować się

jako psycholog po mistrzowsku. Kiedyś poprosiła go o naczaczenie solidnego ćwiczenia pokutnego. Jerónimo naka-zał jej przygotować się do spowiedzi z całego życia. Przez kilka dni Teresa chodziła markotna i zgnębiona. Jerónimo odkładał ciągle spowiedź o dzień, by w końcu powiedzieć, że w ogóle jej nie będzie. Innym razem kazał Teresie pozować do portretu pewnemu pacykarzowi, zakonnikowi. Nie mogła się pohamować i powiedziała do artysty: „Niech ci Bóg przebaczy, bracie Janie, żeś mnie namalował taką brzydką i o tak przerażających oczach!”

Jeśli geniusz pisarski Teresy poszedł w kierunku psychologicznych opisów jej przeżyć mistycznych, „zawdzięczamy” to Kościołowi. Teresa jest doktorem Kościoła, który nie przeczytał ani całego Nowego Testamentu, ani tym bardziej — Starego. Nie znała łaciny, a katolikom w Hiszpanii nie wolno było wtedy czytać tłumaczeń Biblii na język ojczysty.

Teresa umarła przed Jerónimem; nie musiała patrzeć na jego tragiczne losy. Pierwszy prowincjał karmelitów bosych, wybrany jeszcze za życia Teresy w 1581 r., w jedenaście lat później zostanie wydalony z zakonu. Na próżno będzie szukał sprawiedliwości u papieża. Wracając do Neapolu z podróży na Sycylię, dostanie się w ręce korsarzy tureckich; z humorem opíše później, jak czyścili swoje fuzje rękopisami jego dzieł (był niezwykle płodnym pisarzem ascetycznym). W Tunisie sprzedadzą go jako niewolnika. W niewoli zachowa pogodę ducha. Będzie z wielkim poświęceniem usługiwał niepełnosprawnemu dziecku właściciela. Zostanie wykupiony przez pewnego Żyda, którego krewnemu w Hiszpanii ocalił kiedyś życie. Karmelici bosci nie zechcą przyjąć Jerónima z powrotem; papież poradzi mu, by wstąpił do karmelitów trzewickowych.

W brewiarzu Teresy znaleziono małą karteczkę z napisanym jej ręką krótkim utworem poetyckim: *Nada te*

turbe (Niech cię nic nie trwoży). Ósma jego linijka brzmi: „*Sólo Dios basta*” (Tylko Bóg wystarczy). Pod koniec życia Bóg najwidoczniej wziął Teresę za słowo; Bóg biblijny jest „Bogiem zazdrosnym”. Doświadczyła wielu cierpień, a przede wszystkim osamotnienia. Przez pięć ostatnich miesięcy swego życia nie zobaczy się z Jerónimem. Umrze w czasie podróży.

Przed śmiercią powtarzać będzie po łacinie werset z psalmu pokutnego: „nie gardzisz, Boże, sercem pokornym i skruszonym”! (Ps 50) Teresa lubiła, gdy ojciec Jerónimo Gracián uczył ją na pamięć wersetów łacińskich z Pisma Świętego. *Sólo Dios basta?*

listopad 2001

„Podrywa mnie aż z miejsca, gdy słyszę, jak Jan Paweł II twierdzi, że przez śmierć Maksymiliana Kolbego, jego świętego fetysza (*son saint fétiche*), obóz w Auschwitz stał się mniejszym piekłem (*moins infernal*)...” — wypowiedź Bernarda Suhecky’ego, zamieszczona we francuskim miesięczniku katolickim „L’Actualité religieuse dans le monde” z lipca–sierpnia 1988. B. Suhecky jest Żydem belgijskim, urodzonym w 1949 r., historykiem; współpracuje z „Regards”, dwutygodnikiem żydowskim, laickim, ukazującym się w Brukseli. Na łamach tego pisma opublikował m.in. szereg artykułów dotyczących karmelu w Oświęcimiu.

Pozostawmy na boku sprawę, czy wypowiedź włożona w usta Jana Pawła II przez B. Suhecky’ego odpowiada prawdzie, czy nie. Pomińmy też racje, dla których stwierdzenie Papieża, rzekome czy też prawdziwe, jest dla B. Suhecky’ego nie do przyjęcia. Zatrzymajmy się jedynie na wyrażeniu: „święty fetysz” Papieża (*son saint fétiche*).

Wywiad B. Suhecky’ego dla miesięcznika „L’Actualité religieuse” jest poświęcony sprawie dialogu żydowsko-chrześcijańskiego. Nosi on w tytule słowa wypowiedziane przez autora, które formułują życzenie Żydów pod adresem katolików: „Pomóżcie nam mieć do was zaufanie”. Zaufanie to sprawa obydwu partnerów. Jedni i drudzy muszą sobie w tym „pomagać”. Drobne, niepozorne wyrażenie: „święty fetysz” Papieża, każe odwrócić życzenie sformułowane w tytule: „Pomóżcie i nam, katolikom, mieć

do was zaufanie”. Bo owo lakoniczne, zgrabnie ukryte w ciągu zdaniowym sformułowanie: *son saint fétiche*, posiada ostrość strzały wypuszczonej zniemacka w stronę partnera dialogu. Strzały, która rani. Rani, nawet gdyby chcieć mierzyć brutalność tego sarkazmu taryfą najbardziej ulgową i brać słowo *fétiche* w znaczeniu: „to, co jest czczone bez rozeznania” (*Petit Robert*). Atak ten skierowany jest nie tylko w Papieża, osobę czczącą Maksymiliana Kolbego rzekomo „bez rozeznania”. Jest on również wymierzony pośrednio w samego Świętego. Bo zaliczyć kogoś do fetyszy znaczy odmówić mu cech, które powinny u innych budzić cześć i szacunek.

Święty Maksymilian Kolbe nie jest tylko „własnością” Kościoła. Nie należy on również tylko do Polski. Jest dobrem całej ludzkości. Dlaczego? Ujął to kiedyś trafnie Jan Paweł II, gdy powiedział, że Maksymilian Kolbe jest jednym z nielicznych ludzi, którzy wygrali drugą wojnę światową, ponieważ wykazał, iż człowiek może zachować swą wolność nawet w sytuacji niewyobrażalnego ograniczenia.

Auschwitz — obóz Oświęcim, ukazał wręcz bezgraniczną zdolność do zła tkwiącą w ludzkim sercu. Byłoby jednak niedobrze, gdyby pozostawił ludzkości w spadku tylko tę i tylko taką prawdę o człowieku. Dlatego nie wolno nikomu przejść obojętnie obok tych, którzy w tym piekle dowiedli, że istniała w sercu ludzkim — także i w tych nieludzkich warunkach — wręcz bezgraniczna możliwość ku dobru. Czyż może człowiek zdobyć się na większy czyn, niż oddanie swego życia w obronie drugiego człowieka? Czy istnieje wyższa nad tę bezinteresowność? Powiedział o tym sam Chrystus: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15, 13). Chrystus zna pełną prawdę o człowieku, bo przyjął na siebie naturę ludzką. On jako Bóg „ulepił” człowieka z „gliny”. Jest jego garncarzem. „Zaprogramował” go.

Prawda o człowieku, że tkwi w nim wręcz nieograniczona zdolność do dobra, potwierdzona konkretnymi przykładami, których — jako jeden z wielu — dostarcza również Maksymilian Kolbe, nie powinna być obojętna nawet dla niewierzących (zalicza siebie do nich również B. Suhecky). Bo nikt nie chciałby żyć w świecie zdominowanym przez bezbrzeżną możliwość ku złu, nierównoważoną przez drugą prawdę o człowieku, a mianowicie tę, że istota ludzka ma w sobie także nieograniczoną wprost zdolność do dobra.

Nic zatem dziwnego, że Maksymilian Kolbe nie przestaje fascynować swą wolnością wobec największego zagrożenia i najwyższej przemocy, swym przewyciężaniem zła przez dobro ofiary z własnego życia dla drugiego człowieka.

Przykładów jest wiele. Wystarczy zacytować niektóre tylko. W ubiegłym roku André Frossard, ten który przed swym nawróceniem poznał samotność ludzkiego serca chcącego obyć się bez Boga, opublikował książkę o Maksymilianie Kolbem, która stała się bestsellerem we Francji, pod znamienym tytułem: *Nie zapominajcie miłości. Męczeństwo Maksymiliana Kolbego (N'oubliez pas l'amour. La Passion de Maximilien Kolbe)*. Omówił ją na łamach francuskiego tygodnika „L'Express” (którego nie można posądzić o zbytnią prokościelność) nie kto inny, tylko kard. Lustiger, abp Paryża, Żyd-konwertyta, którego matka zginęła w obozie w Auschwitz.

Czyżby i dla niego miał św. Maksymilian być „fetyszem”?

*

Dystans wobec własnego życia (nieuważanie go za najwyższą wartość) i nieustrasżoność wobec śmierci czynią z Maksymiliana herolda Boga w dzisiejszym świecie.

Bo czyż można pisać prawdę o Bogu i o człowieku wyraziściej aniżeli krwią własnego życia? I to pisać ją z pogodą ducha. Tego nie potrafi żadne inne stworzenie Boże na ziemi poza człowiekiem. Zwierzę śmiertelnie ranione chowa się i popada w smutek śmierci. Wydaje się, że każdy żywy organizm, wyniszczony biologicznie i znajdujący się na pochylni ku śmierci, widząc przed sobą nieodwracalny koniec, powinien czuć się załamany, gasnąć w samotnym lęku i przerażeniu. Tymczasem Ojciec Kolbe do końca śpiewał psalmy, modlił się i błogosławił. Tego nie potrafią molekuly. Na umierającego Ojca Maksymiliana kładzie się odblask Wiekuistego Boga.

On jest świętą ikoną Chrystusa. Nie — „świętym fetyszem”.

sierpień 1988

Święty Franciszek przed sułtanem

Trzy razy wyprawiał się św. Franciszek z Asyżu za morze, żeby głosić Ewangelię „Saracenom”. Niestety, z pierwszej wyprawy, do Syrii w 1212 r., musiał zrezygnować, bo burza morska rzuciła statek, którym płynął, na brzegi Dalmacji. Drugą, do Maroka w 1214 r., był zmuszony przerwać w Hiszpanii na skutek choroby. Dopiero trzecia podróż, tym razem do Egiptu i Ziemi Świętej, doszła do skutku. Z wszystkich trzech ta właśnie jest najlepiej udokumentowana. Mówią o niej świadectwa krzyżowców, jak również współbraci zakonnych. Stosunkowo niedawno odkryto także, że odnotowują ją i źródła islamskie.

W lecie 1219 roku św. Franciszek wraz z kilkoma towarzyszami dotarł drogą morską do obozu krzyżowców (trwa piąta wyprawa krzyżowa, 1217–1225), oblegających Damiettę (arab. Dumyat), główne miasto w delcie Nilu, bronione przez sułtana egipskiego Al Maleka al-Kamila. Trzeba tutaj od razu powiedzieć, że św. Franciszek nie uważał się za krzyżowca, ani też swoją obecnością w ich obozie nie chciał poprzeć idei krucjaty przeciw muzułmanom. Wprost przeciwnie, będzie odwoził krzyżowców od ataku na miasto i przepowie im klęskę. Z całkowitym niezrozumieniem z ich strony spotka się św. Franciszek, kiedy postanowi udać się do sułtana z misją ewangelizacyjną. Czyż sułtan nie wyznaczył nagrody w złocie każdemu muzułmaninowi, który przyniesie głowę chrześcijanina? (Informacją tą chciał odwieść Franciszka od jego zamiaru

legat papieski, kard. Pelagiusz Galvan). Wśród chrześcijan od wielu dziesięcioleci krążyły najbardziej niesamowite wieści o okrucieństwie „Saracenów”. Sam św. Franciszek przekonany był o swym bliskim męczeństwie. Utwierdził go w tym „znak” — po opuszczeniu obozu chrześcijańskiego, na ziemi niczyjej, pierwszym, co napotkali on i jego towarzysz (brat Illuminato, przyszły biskup Asyżu), były dwa pasące się baranki.

Wyprawa św. Franciszka, by nawrócić na wiarę chrześcijańską sułtana, owiana jest legendą. Zadziwia jednak, że ci dwaj zakonnicy mogli zostać dopuszczeni przed oblicze władcy. Ponoć mieli być maltretowani przez strażę. Franciszek miał mówić tylko jedno: „Sułtan!”, i to, że jest chrześcijaninem. Czy wzięto ich za ascetów sufijskich, którzy też chodzili boso i przepasywali się zwykłym sznurem, czy też po prostu za obłąkanych, których nie wolno było zabijać? Legenda mówi, że sułtan, upewniwszy się, iż są chrześcijanami, przygotował dla nich pułapkę: umyślił sobie, że każe im przyjść do siebie, przed swój tron, po dywanie o wzorze z krzyży; jeśli będą stąpać „po krzyżach”, to zarzuci im, że odstąpili od swej wiary, jeśli nie, to oskarży ich o brak szacunku dla siebie. Święty Franciszek i jego towarzysz bez najmniejszego wahania przeszli po dywanie. Gdy sułtan zarzucił im zdradę ich własnej wiary, św. Franciszek miał odpowiedzieć, iż przeszli po krzyżach łotrów, którzy zostali ukrzyżowani wspólnie z Chrystusem, bo prawdziwy krzyż Chrystusowy znajduje się tylko u chrześcijan. Sułtan miał się zachwycić ripostą Franciszka. To tylko legenda.

Nie wiemy, jaki przebieg miała wizyta Franciszka u sułtana. Na pewno przy pomocy tłumacza przekonywał władcę do chrześcijaństwa. Jest całkiem prawdopodobne, o czym mówią źródła, że Franciszek posunął się nawet do tego, iż zaproponował sułtanowi próbę ognia między sobą

i „klerem” islamskim (gdyby jednak miał spłonąć wraz z duchownymi islamskimi — zastrzegął się — sułtan powinien potraktować ten „znak” tylko jako dowód, iż on, Franciszek, jest grzesznikiem). Na szczęście, sułtan miał więcej roztropności i do próby ognia nie dopuścił. Po kilku dniach, wypełnionych zapewne rozmowami i dyskusjami, którym przysłuchiwał się także sułtan, Al Malek al-Kamil pożegnał się z Franciszkiem, prosząc go, by się za niego modlił, tak żeby mógł znaleźć prawdziwą religię i drogę, którą chce poprowadzić go Bóg.

Święty Franciszek nie nawrócił sułtana na chrześcijaństwo, ale za to sułtan „nawrócił” Franciszka na tolerancję. Al Malek al-Kamil okazał się nie „okrutną bestią” (*bestia crudelis*, tak pisał o nim abp Jacques Vitry, obecny wówczas pod Damiettą), ale człowiekiem tolerancyjnym. Miał nawet zaoferować Franciszkowi pomoc pieniężną dla biednych pielgrzymów chrześcijańskich, udających się do Ziemi Świętej.

Nie samo jednak spotkanie z sułtanem wywarło na Franciszku największe wrażenie, ale przede wszystkim pobożność muzułmanów, ich pięciokrotne w ciągu dnia wielbienie Boga w prostracji, na kolanach, w odpowiedzi na wezwanie muezina z minaretu. Święty Franciszek był tak zafascynowany tą formą publicznego wielbienia Boga — skądinąd wiadomo, że miał on słabość do oryginalnych, „teatralnych” form uzewnętrzniania wiary, iż w liście do przełożonych własnego zakonu będzie domagał się, by przez herolda lub głosem dzwonu co godzina wzywano „każdy naród na całym świecie do wielbienia Boga wszechmocnego”. Później, w liście do panujących, Franciszek zredukuje tę częstotliwość do jednego razu dziennie (trzeba tutaj zaznaczyć, że dzwonienie na Anioł Pański, początkowo tylko wieczorem, poświędzone jest po raz pierwszy dopiero w 1307 roku). Święty Franciszek będzie

widział w „Saracenach” nie wrogów, tylko przyjaciół. Reguła braci mniejszych, napisana przez św. Franciszka w 1221 r., jako pierwszą metodę głoszenia Ewangelii zalecać będzie: „unikanie wszelkich dysput i dyskusji, bycie poddanym każdemu stworzeniu ze względu na Boga i wyznawanie po prostu tylko, że się jest chrześcijaninem”.

Upłynie wiele wieków, zanim chrześcijanie w pełni zrozumieją nie tylko to, że mają być tolerancyjni wobec innych, ale także, i przede wszystkim, to, że tej tolerancji domaga się od nich sam Bóg.

luty 2002

Bez kija

Rok 1208. Franciszek z Asyżu — jak podaje jego najstarszy biograf, Tomasz Celano — jest w trzecim roku swego nawrócenia. Prowadzi pustelniczy tryb życia na obrzeżach rodzinnego miasta: „Nosi habit eremity, przepasany pasem skórzanym, w ręku kij, na nogach obuwie”.

Podczas Mszy św. (nie znamy ani dnia, ani miesiąca, ani nie wiemy, w jakim kościele się to wydarzyło) Franciszek słyszy słowa z Ewangelii według Mateusza z rozdziału dziesiątego. Chrystus, wysyłając Apostołów z misją ewangelizacyjną, nakazuje im, by — jak to ujmuje wspomniany Celano za ewangelistą Mateuszem: „nie brali z sobą ani złota, ani srebra, ani torby, ani chleba, ani kija, ani obuwia, ani dwóch tunik, tylko żeby przepowiadali królestwo Boże i głosili pokutę”.

Czytanie to Franciszek zapewne słyszał już niejednokrotnie, teraz jednak słowo Ewangelii nappełniło go „tak niewysłowioną radością, iż wykrzyknął: «Oto, czego chcę, oto, czego szukam, oto, co najgoręcej, z głębi mego serca, pragnę czynić!»”

I tak się stało. Odtąd Franciszek będzie żył wedle usłyszanych ewangelicznych słów i będzie chciał, żeby tak żyli również i jego towarzysze.

Wydarzenie, opisane przez Celana, odczytywane jest zwykle jednostronnie, podobnie jak jednostronnie rozumiany jest zazwyczaj wspomniany urywek z Ewangelii. Ich „lektura” dokonuje się omal wyłącznie pod kątem ubóst-

wa. Tymczasem chodzi tutaj przede wszystkim o bezbronność uczniów Chrystusa. Tym się tłumaczy nie tylko Chrystusowy zakaz noszenia przez Apostołów kija jako narzędzia służącego do obrony, ale także i obuwia. Nie można przecież boso szybko biec po kamienistej i wyboistej drodze, by w ten sposób ratować się ucieczką. To prawda, że Franciszek chciał naśladować Chrystusa ubogiego („iść nagi za nagim Chrystusem”), ale wpieryw, i przede wszystkim, Franciszek chciał naśladować Chrystusa bezbronnego. Chęć bycia ubogim wynikała u Franciszka z pragnienia bycia bezbronnym — takim, jakim właśnie był Chrystus. Związek etyczny, jaki zachodzi między ubóstwem i bezbronnością, Franciszek wyjaśnił w sposób jasny biskupowi z Asyżu, gdy ten nakłaniał go do posiadania przez zakon dóbr stałych: „Ojcze, gdybyśmy cokolwiek posiadali, to musielibyśmy nosić broń dla naszej obrony [...]. Dlatego nie chcemy mieć na własność niczego ziemskiego na tym świecie”.

Franciszek, wspominając o broni, wiedział, o czym mówi. Czyż nie spędził w młodości, jeszcze przed swym nawróceniem, kilku lat na wojaczce? Co więcej, prawdziwy początek nawrócenia Franciszka trzeba by liczyć od momentu, gdy zawrócił do domu z wyprawy do Pulii, gdzie chciał zaciągnąć się do oddziałów (*o tempora!*) papieskich. Jest rzeczą znamienne, że w pierwszej swej regule z 1221 r. (powstawała ona w ciągu kilku lat) Franciszek zakazał towarzyszom noszenia kija. Obuwia w regule nie wymienił, bo go i tak nie noszono. Natomiast w regule z 1223 r., zatwierdzonej i... zretuszowanej przez papieża Honoriusza III, zakaz noszenia kija jest w ogóle pominięty, a jeśli idzie o obuwie, to pozwala się je nosić profesom, w razie potrzeby.

Święty Franciszek nie rozumiał bezbronności w sposób naiwny, romantyczny, wręcz utopijny. Najlepiej ilustru-

je to historia z wilkiem z Gubbio. Historycy dyskutują, czy w przypadku *lupo terribile* (straszliwego wilka) chodziło o prawdziwe „zwierzę”, czy też o miejscowego lub pobliskiego gnębiiciela ludności miasteczka. Zostańmy przy wersji „zwierzęcej”. Mieszkańcy Gubbio żyli w ustawicznym strachu. W okolicy miasta grasował straszliwy wilk. Jego potężne, ostre kły napawały wszystkich trwogą. Ich ofiarą padło wielu mieszczan, nie mówiąc już o szkodach w dobytku, które zdarzały się omal codziennie. Mieszkańcy Gubbio, zmuszeni do wyjścia poza mury miejskie, nie wiedzieli, jak mają się uzbroić, żeby w razie potrzeby stawić czoło wilkowi. Otóż zdarzyło się, że św. Franciszek zawitał do miasteczka. Nie omieszkało go zaraz poinformować o bolączce mieszczan. Franciszek postanowił nawrócić wilka. Gdy opuszczał bramę miejską, zupełnie bezbronny, nawet bez kija w ręku, mieszkańcy Gubbio uznali go za szalonego. Mąż Boży nie przeraził się straszliwej, rozwartej paszczy. Zwrócił się do zwierzęcia przez „bracie”: „Bracie wilku!” Powiedział mu, że źle robi, bo zabija ludzi i ich bydło. Zaproponował wilkowi przymierze: on, *lupo terribile*, nie będzie już więcej mordować i czynić szkód, a mieszkańcy miasta w zamian za to będą go żywić i zaopiekują się nim na starość. Wilk położył się u stóp Franciszka jak jagnię i po raz pierwszy w życiu dał się pogłaskać ludzkiej ręce. Gdy Franciszek wchodził do miasta w towarzystwie wilka, wszyscy mieszkańcy pochowali się po domach. Franciszek musiał ich długo przekonywać, że „straszliwy wilk” rzeczywiście się nawrócił. Dziś *lupo terribile* ma w Gubbio swój pomnik i swój grób w kościele (tylko Średniowiecze mogło pochować wilka w świątyni!).

O tym, jak potężny ładunek rewolucyjny tkwił w postawie bezbronności u Franciszka i jego pierwszych towarzyszy, świadczy fakt, iż świeckim członkom III zakonu

franciszkańskiego nie wolno było nosić i używać broni. Dochodziło do tego, że w Średniowieczu w niektórych regionach panowie duchowni i świeccy mieli poważne kłopoty z rekrutacją żołnierzy.

W postawie bezbronności św. Franciszek poszedł tak daleko, że w swej pierwotnej regule z 1221 r. polecił: „Ktokolwiek przyjdzie do Braci, przyjaciel czy wróg, złodziej czy zbójca, każdego powinni przyjąć z pełną dobrocią”.

Zakazał też braciom dochodzenia na drodze sądowej (czy jakiegokolwiek innej) prawa własności do czegokolwiek, nawet w przypadku rzeczy im zabranych.

Święty Franciszek nie był ani pierwszym, ani jedynym człowiekiem, który głęboko wierzył, że przemoc na świecie może zostać uleczona tylko przez bezbronność idącą w parze z życzliwością dla każdego stworzenia. Tysiąc siedemset lat przed nim tysiące kilometrów od Gubbio asceta buddyjski mówił o sobie: „Żyję na zboczu góry. Siłą przyjaźni przyciągam ku sobie lwy i tygrysy. Przebywam w lesie w otoczeniu lwów i tygrysów, panter, niedźwiedzi i wilków, antylop, jeleni i dzików. Żadna z istot żywych nie odczuwa przede mną lęku, i ja także nie odczuwam żadnego lęku przed wszystkim, co żyje”.

PS. Nie ma chyba bardziej niestosownego momentu historycznego niż dzisiaj, aby pisać o bezbronności jako najskuteczniejszym środku przeciw przemocy w świecie. Milczą o tej postawie ducha nawet Kościoły chrześcijańskie (lub najwyżej wikłają się w niejasne albo sprzeczne opinie). Wynaleziona została — wydaje się — „złota” formuła wojenna: „globalna walka z terroryzmem”. To właśnie zwycięska, niczym niepohamowana realizacja owej formuły stanowi największe zagrożenie dla pokoju we współczesnym świecie, większe — na długi dystans — aniżeli sam terroryzm. Aż dziw bierze, że pomniejsze państwa

„płaczą”, iż nie wykorzystuje się ich potencjału bojowego w tym przedsięwzięciu.

Jak zareagowałby dzisiaj na te wszystkie zagrożenia św. Franciszek? Powiedziałby prosto i jasno: jeśli dwadzieścia procent ludzkości przestanie „przejadać” osiemdziesiąt procent zasobów tego świata, to *lupo terribile*-terrorizm straci rację bytu. Doprawdy, recepta na dzisiejsze zagrożenia w świecie: „św. Franciszek bez kija” — jest bardziej aktualna niż kiedykolwiek.

luty 2002

Ośłonięci tajemnicą Boga

Jeśliby szukać przymiotnika dla scharakteryzowania św. Antoniego z Egiptu (251–356), to wybór musiałby paść na słowo „nieustraszony”. Nie bał się „strachów”! Walczył z nimi wytrwale do późnej starości. Jawiły mu się zazwyczaj jako najprzedziwniejsze, przerażające, agresywne stworzy, rzadziej w ludzkiej postaci — umiłowany temat dla artystów malarzy od czasów Renesansu. Były to zapewne jego własne zmagania psychiczne, które „ubierał” w demony, co praktykowano wówczas we wszystkich kulturach. Inny jest zresztą Antoni z życiorysu napisanego przez św. Atanazego w rok po jego śmierci, a inny z listów czy też z sentencji (żywot jest rzeczywiście przesycony demonologią, listy i sentencje Antoniego zaś w o wiele mniejszym stopniu).

Nie lat „nieustraszoności” trzeba było, aby wejść na drogę życiową, którą obrał Antoni. Wziął dosłownie słowa Ewangelii: „Jeśli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj, co posiadasz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i chodź za Mną” (Mt 19, 21).

Posłyszał je w kościele. Miał wtedy osiemnaście, dwadzieścia lat. Zapewnił tylko na pewien czas przyszłość dla swej młodszej siostry. Rodzice obojga, bardzo zamożni fellachowie, już nie żyli. Antoni osiadł najpierw w pobliżu rodzinnej wioski, zapewne Comy, w środkowym Egipcie. Nie był pierwszym pustelnikiem na ziemi egipskiej. Ale był prawdopodobnie pierwszym mnichem pustelnikiem,

który zapisał się w głąb pustyni i do którego wkroczyć zaczęły ścigać rzesze uczniów. Życie na pustyni było aktem wielkiej odwagi. Nie tylko ze względu na niegościnnosć środowiska wobec wszelkiego życia. Przede wszystkim dlatego, że pustynia uchodziła za naturalną siedzibę demonów. Złe duchy wołać będą do Antoniego: „Idź precz stąd! To jest nasz obszar. Co ty masz wspólnego z pustynią?!” Trzeba zaznaczyć, że to właśnie dzięki Antoniemu pustynia odzyska swe pierwszorzędne biblijne znaczenie — jako miejsce ciszy, skupienia i kontaktu duszy z Bogiem.

W jednym tylko przypadku Antoni nie będzie „nieustraszony”. Będzie się bał sławy. Tutaj nie ufa sobie, jak sam o tym mówi. To właśnie sława pozbawi go tego, czego pragnął z całej duszy: męczeńskiej śmierci. W 311 r., podczas szczególnie krwawego prześladowania chrześcijan (zaczęło się już dużo wcześniej, za panowania Dioklecjana), Antoni opuści po raz pierwszy pustynię i uda się do Aleksandrii, by dodać otuchy prześladowanym współwyznawcom i „zagrzewać” ich do męczeństwa, także z cichą nadzieją, że i on otrzyma od Boga łaskę „wybrania” (męczeństwa). I właśnie w tym przeszkodziła mu sława. Władze nie ośmieliły się go tknąć, choć nie miały skrupułów, by skazać na śmierć biskupa miasta, Piotra. Na nic nie zdał się fortel Antoniego, by ściągnąć na siebie uwagę sędziego podczas przesłuchania chrześcijan: Antoni na tę okoliczność uprał po raz pierwszy (i ostatni) w życiu swój płaszcz i zajął bardzo widoczne miejsce na sali. Sędzia go dostrzegł, ale nie zareagował. Antoni nie mógł zadenuncjować sam siebie, ponieważ było to zakazane przez Kościół, by m.in. nie narażać prześladowców na popełnienie grzechu zabójstwa. Po powrocie na pustynię Antoni będzie się starał być męczennikiem na co dzień, bez przelewu krwi. Nasili wyrzeczenia. Jadł będzie raz w tygodniu. Woda nie „zobaczy” nigdy nawet jego stóp. To jednak przyspo-

rzy mu tylko sławy. Nawet cesarz nawiąże z nim korespondencję. Antoni będzie znany na Wschodzie i na Zachodzie. W ucieczce przed sławą usunie się jeszcze dalej na pustynię, w pobliże Morza Czerwonego, na „górze wewnętrzną”, tam gdzie kiedyś przebywał, by przyjmować rzesze uczniów i ludzi szukających u niego porady, pociechy i uzdrowienia z chorób (zawsze podkreślał, że to nie on uzdrawia, lecz Chrystus; gdy zdarzy się, że uzdrowienie nie nastąpi, nikt nie będzie miał do niego żalu).

Przed śmiercią, która zdała się zapomnieć o nim, Antoni zadbał, by mu się udała jego ostatnia ucieczka przed sławą: z przerażeniem myślał o tym, że jego ciało może być wystawione na stałe na widok publiczny. Egipcjanie mieli bowiem zwyczaj nie tylko balsamować zwłoki zmarłych, ale je umieszczają w domach prywatnych, na specjalnych łożach lub na stojąco w otwartych szafach. Diodor z Sycylii, historyk grecki z I wieku przed Chr., który podróżował wiele po Egipcie, podaje, że wielu Egipcjan przechowuje w domu swoich zmarłych i że sprawia im to wielką radość, bo mogą ich uważać za siebie współczesnych. Praktykę tę stosowali także chrześcijanie, zwłaszcza w przypadku osób znanych, przede wszystkim męczenników. Toteż św. Antoni zobowiązał dwóch opiekujących się nim mnichów, by po śmierci pochowali go w ziemi i nikomu nie wyjawili, gdzie jest jego grób. I tak się stało.

Po latach od śmierci Antoniego jeden ze świątobliwych mnichów otrzymał od Boga łaskę i zobaczył nieżyjących już ojców pustyni w chwale. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy nie znalazł wśród nich Antoniego. Zmartwiony tym, zapytał o przyczynę. W odpowiedzi usłyszał: „Tam gdzie jest Bóg, tam jest i Antoni”. Co miało oznaczać: Antoni jest „dalej”. Nie w przedsionku „chwały”. Jest w Bogu samym. Uczestniczy w Jego istnieniu i w Jego

„niepoznawalności”. Jest w Światłości twarzą w twarz, która dla nas jest nieprzeniknioną Ciemnością.

Gdzie są nasi zmarli? Wierzmy: są „dalej”, niż może sięgnąć nasza pamięć o nich, nasz smutek i żal. Nie do-
trzymamy do nich naszymi wspomnieniami, łzami, snami. Tyl-
ko modlitwą. Są osłonięci tajemnicą Boga.

listopad 2000

Przedziwny jest Bóg w świętych swoich

Znamienna statystyka: w ciągu trzystu osiemdziesięciu sześciu lat, od początku pontyfikatu Klemensa VIII w 1592 r. do początku pontyfikatu Jana Pawła II w 1978 r., papieże kanonizowali dwustu dziewięćdziesięciu błogosławionych, a sam Jan Paweł II w ciągu dwudziestu lat swego pontyfikatu (16 X 1978–16 X 1998) kanonizował prawie tyle samo, bo dwustu osiemdziesięciu. Podobne proporcje zachodzą w przypadku błogosławionych: jeśli idzie o Jana Pawła II — prawie osiemset osób, w przypadku poprzedniego okresu trzystu osiemdziesięciu sześciu lat — niewiele ponad osiemset. Słyszcy się niekiedy zdanie, że Jan Paweł II „robi” za dużo świętych. Zapomina się jednak, że papieże nie „robią” świętych. Świętymi ludzie się stają. Jan Paweł II „zaprasza” tylko do nas świętych z nieba w większej liczbie, aniżeli robili to jego poprzednicy. Kluczami Piotrowymi otwiera „zawory” niebieskie i „wypuszcza” świętych na ziemię. Nie wszyscy papieże korzystali z tej władzy. W latach 1418–1445 nie było ani jednej kanonizacji. Zresztą dopiero od XII wieku papieże zarezerwowali sobie sprawy kanonizacyjne. Przedtem były one w gestii ludu Bożego i lokalnych władz kościelnych.

Dlaczego święci? Żyjemy wszyscy po raz pierwszy. Stąd jesteśmy ciekawi życia innych. Podpatrujemy wzorce życiowe chciwie. Chcemy wiedzieć, jak inni radzą sobie z tajemnicą, jaką jest życie człowieka. Także w odniesieniu do rzeczy ostatecznych, do sensu życia, do Boga.

W tym zakresie może potrzebujemy dzisiaj, w świecie tak skomplikowanym, większego wyboru wzorców.

Święci — to nie kończąca się galeria najrozmaitszych realizacji życia ludzkiego: od kształtów najzwyczajszych po formy najbardziej uduchowione. Święty Szymon Słupnik spędził trzydzieści siedem lat, stojąc na kolumnie, bez możliwości położenia się, z jedynym „zadaszeniem” — swoim płaszczem. Miał w ciągu tych lat aż cztery kolumny, każdą coraz wyższą. Ostatnią podarował mu sam cesarz. Miała osiemnaście metrów wysokości. Codziennie rano i wieczór katechizował cisnących się pod kolumnę pielgrzymów. To tam nawracały się na chrześcijaństwo rzesze Beduinów. Po śmierci Świętego, na kolumnie, jego zwłoki eskortowało do Antiochii aż sześćuset cesarskich żołnierzy, taki był natłok tłumów, żądnych relikwii po Świętym. Tam, gdzie zmarł, cesarz Zenon wystawił bazylikę, drugą co do wielkości w cesarstwie po bazylice Hagia Sophia w Konstantynopolu (jej ruiny zachowały się do dzisiaj, jak też pozostałości po ostatniej kolumnie Świętego). Miał Szymon wielu naśladowców, również i naśladowczynie. Próbowano tej „drogi” do świętości także i na Zachodzie.

Święci — kolorowe okna na Boga, a może raczej przezroczyście kryształy, skupiające w sobie Światło, które nie jest z tej ziemi. Nie ma jednak witraży bez skazy i nie ma kryształów idealnie obrobionych. I święci ulepieni są z kruchej gliny ludzkiej. Są odbiciem także słabości czasów, w których żyli. W moim pierwszym brewiarzu łacińskim, w którym było *proprium* amerykańskie, ze zdumieniem czytałem corocznie zdanie wyjęte z lekcji o św. Ferdynandzie, królu Kastylii (zm. 1252), a mianowicie, że był „tak pokorny, iż własnoręcznie nosił szczapy drewna na stosy, na których palono heretyków”.

Znana jest działalność antyżydowska św. Jana Kapistrana (zm. 1456). Wszędzie, gdzie się pojawił, a był węd-

rownym kaznodzieją (kilka razy przebywał też i w Polsce), padał blady strach na wspólnoty żydowskie. Docho-
dziło do tego, że usiłowały one „ułaskawić” go cennymi
podarkami, które jednak, jako ubogi franciszkanin, od-
rzucił z pogardą. W jednym ze swych kazań pouczał
słuchaczy, że Żydzi są przekonani, iż spoczywa na nich
obowiązek „z przykazania”, aby wymordować wszystkich
chrześcijan; jeśli tego nie robią, to tylko dlatego, iż są
w mniejszości. Wszędzie tam, gdzie Święty wygłaszał swe
kazania, pogarszała się sytuacja prawna i społeczna wspól-
not żydowskich.

Święty Piotr Klawer (zm. 1654) przez czterdzieści
lat zajmował się heroicznymi czarnoskórymi niewolnikami
w portowym mieście kolumbijskim — Kartagenie. Przy-
wożono tam rocznie około dwudziestu tysięcy owych nie-
szczęśników wyłapanych w Afryce. Sprzedawano ich jak
towar, a nabywcami były także „ubogie” zakony żebracze
i mało ubodzy jezuiti dla swych kolegiów. Święty Klawer
oddawał wszystkie siły owym biedakom, wspomagany
w swej pracy przez kilkunastu tłumaczy. Miał ponoć
ochrzcić aż trzysta tysięcy niewolników. Na ich „powita-
nie” w miejscu, dokąd zawijały statki, kazał ustawić wielką
podobiznę Chrystusa, żeby pocieszyć w ten sposób owych
biedaków. Ale św. Piotr Klawer, przy całej swej osobistej
świętości, nigdy nie postawił pod znakiem zapytania syste-
mu społecznego, w którym żył. Otrzymywał przecież
światła Boże na modlitwie i natchnienia Ducha Świętego,
ale wychowany w szkole jezuickiego posłuszeństwa, tak te
światła i natchnienia selekcyjował (zapewne bezwiednie),
że w efekcie swoim poświęceniem przyczyniał się do
utrwalania zastanego porządku społecznego.

Chrześcijańskich rozwiązań na polu społecznym, eko-
nomicznym, politycznym będą nas uczyć dopiero „święci”
agnostycy i wolnomyśliciele, którzy w czasach nowożyt-

nych wydużką walkę niewolnictwu, stosowaniu tortur, systemowej niesprawiedliwości społecznej. To oni pomogą nam odczytać właściwie Ewangelię.

Może powyższe przykłady relatywizują świętość. Tylko Bóg jest doskonały. Wszystkie realizacje ludzkie, nawet te dokonane z pomocą Bożą, są kulejące. I trzeba mieć się wielce na baczności, żeby wzorców świętości nie wprząc w działania skierowane przeciw człowiekowi, a ostatecznie i przeciw Bogu. Moc Boża potrafi wszakże znaleźć pole do działania nawet w słabym, kruchym, grzesznym z natury człowieku. I to jest posłanie świętości.

Kim zatem ostatecznie są święci? Są to ludzie, którzy zostali dotknięci przez Transcendencję, przez Boga. Ludzie, o których „otarła” się moc Boża. Owo „otarcie” może być bolesne. I takie na ogół bywa. Nie ma bowiem prawdziwego spotkania z Bogiem na tym świecie bez cierpienia. Nie ma świętości bez krzyża. Święty Alojzy Gonzaga (zm. 1591), z wielkiej rodziny włoskiej, wielce uzdolniony, nie dojdzie do kapłaństwa, umrze w dwudziestym trzecim roku życia, zarażając się przy ratowaniu chorych. W owym czasie, podczas „powietrza morowego” kto żywy i kto bogaty uciekał z miasta na wieś, na „pobojowisku” z chorymi biedakami zostawali na ogół tylko zakonnicy.

Wzruszające są wyznania męczenników perskich z IV/V wieku po Chr. Zapewniają swoich prześladowców, iż kochają życie, są szczęśliwi na tym świecie, że chcieliby żyć jak najdłużej, ale postawieni przed wyborem: Chrystus — świat, bez najmniejszego wahania wybierają Chrystusa. Albo opis z 522 r. męczeństwa nieznanego z imienia chrześcijanina z miasta Hajran w dzisiejszym Jemenie: „Jesteś chrześcijaninem?” — pytają oprawcy człowieka złapanego na ulicy. „Tak!” — odpowiada. „To podnieś prawą rękę!” — pada rozkaz. Obcinają mu prawą rękę. Ponowne pytanie: „Jesteś chrześcijaninem?” „Tak” — pada

po raz wtóry odpowiedź. „To podnieś lewą rękę”. Podniósł i ręka została odcięta. Po raz trzeci pytają go: „Jesteś chrześcijaninem?” „Tak! Pozostanę nim w życiu i w śmierci. Jestem chrześcijaninem!” — odpowiada ów człowiek pozbawiony rąk. Powalają go na ziemię, obcinają mu nogi i tak go zostawiają. Moc Boża w świętych swoich!

Święci to nie tylko osoby kanonizowane w Kościele katolickim czy też w innych Kościołach chrześcijańskich, jak np. w Kościołach prawosławnych. Święci wykraczają poza granice religii, przekonań, ras, języków, epok. Święci — to ludzie, którzy nie rozminęli się na wieki z Bogiem. Modlimy się, żeby wszyscy, którzy noszą twarz człowieczą, mogli oglądać oblicze Boga żywego przez wieczność całą.

Wierzę, że u Boga odkryjemy „niewidoczną stronę księżycy”, niezmierną rzeszę tych wszystkich, którzy tutaj, na ziemi, nie mogli rozwinąć żagli dostrzegalnej przez nas świętości. Nie mogli ich rozwinąć z braku odpowiedniego wychowania, na skutek demoralizacji przez innych czy też przez środowisko, z powodu biedy materialnej, ubóstwa duchowego swego otoczenia, ze względu na negatywne cechy wpisane w ich kod genetyczny. Zaskoczy nas Bóg kiedyś dziwnością swoich świętych. Zaskoczy nas szerokością swojego Serca.

*

Czy istnieje recepta na świętość? Każdemu Bóg wytyczył jego osobistą drogę przez życie. Wszyscy mozolnie odczytujemy tę drogę, świadomie lub bezwiednie, jak odczytuje się trasę na mapie, by dotrzeć do celu. Może więcej czasu schodzi nam na bezdroża. Nie brak jest jednak drogowskazów, drogowskazów Bożych, które nie są krzykliwe. Większość z nich jest bezosobowa, bo są nimi pewne postawy, bez których trudno o świętość.

Tymi drogowskazami, „odcinkami” drogi do świętości, także jej klimatem, są:

— umysł i serce zdolne do podziwu, do dziwienia się, do zadawania sobie pytań, szerzej, aniżeli robił to Kant z jego podziwem dla firmamentu niebieskiego i prawa moralnego wpisanego w ludzkie wnętrze. Dziwienie się, kim jesteśmy, dokąd idziemy i jak;

— szacunek dla każdego człowieka, szacunek pokorny (a także — choć może to kogoś dziwić — szacunek dla zwierząt, dla każdego życia);

— postawa bezinteresowności (przynajmniej od czasu do czasu). Tylko człowiek zdolny jest, on jeden jedyny spośród stworzeń na tej ziemi, do prawdziwej bezinteresowności. Bezinteresowność to sygnał spoza świata. Wymykamy się wtedy determinizmom, pod których panowaniem znajduje się cała rzeczywistość materialna naszego świata;

— „podpatrywanie” (krytyczne) świętych wszystkich czasów, religii, przekonań. Bo ogień zapala się od ognia;

— i wreszcie tym, którym jest to dane: Pismo Święte (Biblia hebrajska i Biblia chrześcijańska) — z wszystkim, czego Bóg po tej lekturze będzie od nas żądać. Z wszystkim.

*

Czy wolno autorowi powyższych refleksji ujawnić swoich Świętych? Jest ich czworo.

1. Osoba kanonizowana. Jest nią św. Teresa od Dzieciątka Jezus (1873–1897). Nie dla jej okrągłutkiej twarzyczki, choć w rzeczywistości taka okrągłutka to ona nie była (w czasie pierwszej wojny światowej na froncie wszyscy żołnierze francuscy nosili przy sobie obrazek z podobizną św. Teresy. Nie wiedzieli, że jej rodzona siostra, karmelitanka w tym samym klasztorze, s. Celina,

zm. 1959, o skromnym talencie malarskim, wyretuszowała oblicze Świątej, i taka pozostała ona do dzisiaj w naszych kościołach). Nawet nie z powodu jej „małej” drogi do świętości. Tylko ze względu na cierpienie duchowe ostatnich osiemnastu miesięcy jej życia. Pograżona była w całkowitej nocy duchowej, bez pewności nawet, czy wierzy, czy też nie wierzy; ale trzymała się kurczowo, jak pijany płotu, miłości ku Bogu (Chrystusowi) i ku ludziom. Na „pobojowisku” wyniszczonego chorobą płuc organizmu pozostała tylko ta jedna realność, świeża, mocna, wspaniała: Miłość. Trzeba tylko mieć żal do ludzi Kościoła tamtych czasów, że Świąta pozbawiona była — przez ostatnich czterdzieści jeden dni życia — Komunii św., dla niej źródła Miłości. Nie była w stanie znieść długiego i głośnego, bo połączonego z recytacjami i śpiewem, ówczesnego rytuału udzielania Komunii św. chorym, a na ryt uproszczony nie zezwalały przepisy kościelne.

2. Osoba nie kanonizowana, ale która może zostać kanonizowana. Jacques Fesch, dwudziestosiedmioletni młody człowiek, skazany za zabójstwo policjanta przy szamotaninie podczas ucieczki po napadzie na bank. Ścięty na gilotynie 1 października 1957. Jacques nawrócił się szczerze w więzieniu. Uznał swój grzech. Zostawił wspaniałe zapiski duchowe. Osierocił żonę i dziecko. Jacques — to najpiękniejsze posłanie: że człowiek może się nawrócić. Że nie jest zdeterminowany ani przez materię, ani przez przemoc zła. Jacques odkrył w sobie takie złoza dobra, zasypane przez lata przestępczego życia i morderstwo, które popełnił, iż pięknem swego serca, jakie przebija z jego notatek więziennych, może współzawodniczyć z niejednym świętym, który w życiu nie zabił muchy. Proces przygotowawczy do beatyfikacji został wszczęty dzięki determinacji kard. Lustigera, abpa Paryża (mimo głośnych sprzeciwów wielu środowisk).

3. Osoba nie kanonizowana i która zapewne nigdy nie będzie kanonizowana, bo nie ma się tym kto zająć. Piętnastoletni Japończyk Yujiro (wymawia się: Judziro) w czasie ostatnich prześladowań chrześcijan w Japonii w 1870 r. został aresztowany wraz z innymi. Znęcano się nad nim okrutnie. Bito do krwi, trzymano całymi dniami i nocami nagiego na werandzie pagody, gdzie go więziono, oblewano wodą, byleby tylko zaparł się swej wiary. Tłumaczył się przed siostrą, którą do niego dopuszczono, że czasem bardzo krzyczał, gdy nie mógł znieść bólu. Na jej pytanie, jak może znosić te kaźnie, odpowiedział: „Ósmego dnia, gdy już byłem bardzo słaby, zobaczyłem wróbla, który karmił na dachu swoje młode. Wtedy pomyślałem sobie: jeśli wróbel ma tyle miłości do swoich piskląt, to o ileż bardziej Bóg zatroszczy się o mnie i wszystko mi wynagrodzi w niebie. I gdy marzłem na deszczu, przyjmowałem to jako pokutę, a gdy noc była jasna i piękna, to myślałem sobie, że niebo jest jeszcze piękniejsze niż słońce i księżyc. I to mi dawało siłę, by przetrwać czternaście dni”.

Yujiro zmarł na rękach siostry 16 stycznia 1871 na skutek tortur.

4. Osoba nie kanonizowana, która nigdy nią nie zostanie. Żyd. Doktor Korczak. Mógł ratować swoje życie, ale poszedł na śmierć z sierotami, którymi się opiekował. Znakomity film o nim nakręcił Andrzej Wajda, „lektura” obowiązkowa nie tylko dla młodzieży. W moim sercu już dawno „kanonizowałem” doktora Korczaka. Modłę się czasem do niego: „Święty doktorze Korczaku, daj, żebym nie uważał swego życia za największą dla mnie wartość, której trzeba bronić za każdą cenę”.

Ochrzczony lew

Przygotowania do walki dzikich zwierząt w efeskim cyrku, mającej się odbyć następnego dnia, w niedzielę, szły pełną parą. Nawoływania organizatorów igrzysk mieszały się ze stukotem kół wozów, którymi zwożono zwierzęta w żelaznych klatkach. Paweł z Tarsu modlił się tymczasem zamknięty w jednym ze specjalnych pomieszczeń dla skazańców, położonym blisko bocznej bramy. Nagle dał się słyszeć przeraźliwy ryk. Paweł zadrżał na całym ciele i przerwał modlitwę. Tłum gapiów, obserwujących przygotowania, wykrzyknął z radością: „Lew!”, zapowiedź — według nich — dobrej zabawy. Tak opisuje scenę przygotowań do igrzysk w Efezie apokryf *Dzieje Pawła*, pochodzący najprawdopodobniej z połowy II wieku.

Nazajutrz — ciągle według apokryfu — wyprowadzono Pawła na arenę. Gdy stanął na jej środku, otwarto klatkę, w której trzymano lwa. Wszyscy, łącznie z gubernatorem Hieronimem, wpadli w zachwyty na widok imponujących rozmiarów dzikiego zwierzęcia. Paweł, odwrócony tyłem do niego, zatopiony był w modlitwie. Lew, im był bliżej Pawła, tym zdawał się szybciej biec do niego. Napięcie wśród widzów rosło. I oto gdy lew znalazł się przy Pawle, położył się pokornie — ku zdziwieniu wszystkich — u jego stóp, niczym „łagodny baranek”. Paweł nie przerwał modlitwy. Gdy ją skończył (w starożytności modlono się na głos), lew podniósł się. Cytuję tekst apokryfu:

„Lew stanął na swych łapach i przemówił ludzkim głosem do Pawła: «Niech łaska będzie z Tobą!» Paweł nie przeraził się, ale odparł ze swej strony: «Niech łaska będzie także i z Tobą, lwie!» i położył swą rękę na łbie zwierzęcia. Tłum zebrany w cyrku zaczął krzyzczeć: «Precz z czarnoksiężnikiem! Precz z magiem!» Lew patrzył na Pawła, a Paweł patrzył na lwa. Nagle Paweł zrozumiał, że był to lew, który niegdyś przyszedł do niego i on go ochrzcił. Stąd, wiedziony wiarą, zapytał: «Lwie, czy nie jesteś tym, którego ochrzciłem?» Na to lew odpowiedział Pawłowi: «Tak!» Paweł zatem zabrał głos i zapytał: «Jak zostałeś schwytyany?» Lew odparł boskim głosem: «Tak samo jak Ty, Pawle»”.

Dalsza historia Pawła i lwa potoczyła się jeszcze „cudowniej”. Rozgniewany gubernator kazał łucznikom zabić Pawła i lwa i równocześnie polecił wpuścić na arenę wszystkie dzikie zwierzęta. Życie Pawłowi i lwu uratowała szybka interwencja Nieba. Ni stąd, ni zowąd nadciągnęły wielkie czarne chmury i na cyrk spadł gigantycznej wielkości grad. Wyginęły wszystkie dzikie zwierzęta. Wielu ludzi straciło życie (gubernator został ranny; później jednak Paweł go uzdrowił). Ci, którzy ocaleli, uciekli w popłochu. Na arenie zostali tylko nietknięty Paweł i lew. Paweł odpłynął później do Macedonii, a lew powrócił w góry, „zgodnie ze swoją naturą”.

Kilka rozdziałów wcześniej apokryf opisuje, jak doszło do chrztu lwa. Paweł, po całonocnym marszu (w drodze do „Jerycho w Fenicji”, sic!) wraz z wdową Lemmą i jej córką Ammią, zatrzymał się na modlitwę. Nagle z pobliskiej „doliny kości” wyszedł „olbrzymi, wygłodzony lew”. Cała trójka, przerażona, zaczęła się tym gorliwiej modlić. Lew tymczasem — o dziwo! — położył się u stóp Pawła, który opowiada: „Wtedy zostałem napełniony Duchem i patrząc na zwierzę, zwróciłem się do niego z tymi słowami: «Lwie,

czego chcesz?» Na co lew odpowiedział: «Chcę, żebyś mnie ochrzcił». Oddałem zatem cześć Bogu za to, że udzielił głosu ludzkiego zwierzęciu, a swym sługom dał ocalenie”.

Bez żadnych dalszych pytań — trudno zresztą odmówić prośbie tak potężnego petenta! — Paweł, z duszą na ramieniu, modląc się, by Bóg całą trójkę ocalił, poprowadził lwa do pobliskiej rzeki. Odetchnął głęboko dopiero, gdy pochwycił lwa za grzywę i zanurzył go trzy razy w wodzie, wypowiadając formułę chrztu. Opowiada dalej Paweł: „Kiedy lew wyszedł z wody, otrząsnął się i powiedział: «Niech łaska zostanie z Tobą!» A ja mu odpowiedziałem: «Także i z Tobą!» Po czym lew biegiem udał się w kierunku pola kości, cały uradowany, co mi zostało objawione w moim sercu. Tymczasem lwica wyszła lwu naprzeciw. Ale lew nie podszedł do niej, przeciwnie — odwrócił się i szybko zniknął w lesie”.

Co autor apokryfu chciał powiedzieć przez tę historię o ochrzczonym lwie? Podkreślić wagę wstrzemięźliwości seksualnej (zaznaczonej w ostatnim cytacie)? Może pomóc nam rozszyfrować tę zagadkę inny, znacznie późniejszy apokryf: *Dzieje Filipa*. Ale o tym będzie w: *Lampart i koźlą proszą o Eucharystię*.

kwiecień 2001

Lampart i kozłę proszą o Eucharystię

Szloch. Łzy obficie spływające po „policzkach”. Skargi i lamenty. Wszystko dlatego, że apostoł Filip nie uznał ich godnymi przyjęcia Komunii św. Ich? Lamparta i kozłę! Tak zaczyna się znaleziony niedawno, brakujący dwunasty rozdział apokryfu *Dzieje Filipa* (apokryf pochodzi najprawdopodobniej z IV wieku).

Jak doszło do spotkania lamparta i kozłęcia oraz ich obojga z Filipem? Opowiada — w rozdziale dziewiątym — sam lampart. Pewnej nocy schwycił on młode kozłę na pożarcie, mocno je raniąc. I oto, o dziwo, kozłátko przemówiło do niego ludzkim głosem i zapłakało także po ludzku „jak małe dziecko”. Nie prosiło go o darowanie mu życia. Tylko o to, by wyzbył się dzikości i by jego serce napełniła łagodność. Dlaczego? Kozłę podało przedziwną na pozór rację. Otóż za chwilę będzie przechodził tędy apostoł Filip z towarzyszącymi mu osobami. Obecność głosicieli Dobrej Nowiny, a poprzez nich — obecność samego Chrystusa — przemienia ten świat. Słowa kozłęcia — wyznał lampart — wprawiły go w niemałe zakłopotanie. Nagle poczuł, że jego serce zaczyna się zmieniać: wypełnia się przedziwną błogością. Podniósł wzrok i spojrział. Rzeczywiście obok przechodził Filip, „apostoł Chrystusa”, ze swą siostrą Marianną i Bartłomiejem. Lampart przypadł do stóp Filipowi, prosząc go, by on i kozłę mogli wyzbyć się swej zwierzęcości i by mogli pozostać z grupą. Filip zwraca się w pięknej modlitwie do „Jezusa, przyjaciela rodzaju

ludzkiego” o nowe, ludzkie serca dla lamparta i koźlęcia. Odtąd lampart i koźlę będą się odżywiać jak grupa: lampart zrezygnuje z mięsa, a koźlę nie tknie już więcej trawy. Będą wszędzie towarzyszyć Filipowi. Dane im będzie zostać świadkami cudów, kiedy to na przykład samo „piękno oblicza Chrystusa” zniszczy smoka i groźne węże. Aż przyszedł, wspomniany na początku, dzień Komunii św. — z rąk apostoła Filipa, ale tylko dla Marianny i Bartłomieja. Nie zaś dla lamparta i koźlęcia.

Filip nie może zrozumieć, dlaczego lampart i koźlę płaczą, szlochają i głośno lamentują („w swym żargonie”). Tłumaczy mu to lampart, wygłaszając długą, wspaniałą, teologiczną mowę. Cytuję jej fragment: „Jeśli Bóg uznał nas godnymi, byśmy uczestniczyli w tych wszystkich cudownych wydarzeniach, to dlaczego teraz wyście uznali, że nie jesteśmy godni, by przyjąć Komunię św.? Mogę to zrozumieć jeszcze, gdy chodzi o mnie samego, bo jestem dzikim zwierzęciem, ale to koźlę, dlaczego ono ma nie zasługiwać na Komunię św.? Oto powód naszego płaczu! Czyż nie posiadamy, my także, życia w Bogu...? To przecież wielki cud, że dzikie zwierzę i małe koźlątko pozbyły się swej natury i że staliśmy się podobni do ludzi. Zdecydowanie: Bóg mieszka w nas...”

Na takie słowa Filip nie mógł nie odpowiedzieć: „Posłuchajcie mnie, zwierzęta, któreście się stały godnymi przyjęcia słowa Bożego. Trzeba sobie zdać jasno sprawę z tego, że Bóg nawiedził wszechświat przez Swojego Syna Jezusa Chrystusa i że objął On swym zbawczym planem nie tylko ludzi, ale także dzikie zwierzęta i każdy rodzaj zwierzęcy”.

Z kolei zwrócił się w gorącej modlitwie do Chrystusa, z rękami wzniesionymi ku górze: „Przyjdź, nasz Panie Jezusie Chrystusie, i jeśli taka jest Twoja wola, spraw, żeby tak jak przemieniłeś już dusze tych zwierząt, także

ich wyglądu zewnętrzny nabrali kształtów ciała ludzkiego, na chwałę i cześć Twojego imienia”.

Filip pokropił lamparta i koźlę wodą, i „z tą chwilą kształt ich oblicza i ich ciała zaczął powoli zmieniać się na podobieństwo ludzkiego”.

Usiłowano tłumaczyć historię lamparta i koźlęcia alegorycznie. Według tej wykładni mielibyśmy jedynie do czynienia z różnymi rodzajami chrześcijan, o różnym stopniu nawrócenia. Ale próbuje się też wiązać tę historię, jak też historię ochrzczonego lwa, z tajemniczymi słowami z Listu św. Pawła do Rzymian: „Bo stworzenie z upragnieniem oczekuje objawienia się synów Bożych [...], że również i ono zostanie wyzwolone z niewoli zepsucia, by uczestniczyć w wolności i chwale dzieci Bożych. Wiemy przecież, że całe stworzenie aż dotąd jęczy i wzdycha w bólach rodzenia” (por. 8, 19–22).

Byłbym za tym drugim tłumaczeniem, choć oddałbym je w trochę innych słowach. Zmartwychwstanie Chrystusa jest „eksplozją” nowego życia w kosmosie (pozostaje ono jeszcze wciąż ukryte). To „nowe życie” podnosi wszystko na wyższy sposób bytowania: „humanizuje” powoli świat zwierzęcy (przynajmniej w jego wyższych formach) i „przebóstwia” człowieka (myśl droga wschodnim Ojcom Kościoła).

„Uczłowieczeni” lampart i koźlę dziękują Bogu za łaskę „nowego życia” i wyznają: „Wierzimy, że nie ma życia w żadnym stworzeniu ani w żadnym człowieku, dopóki nie nawiedzi ich Bóg nasz, dla ich zbawienia”. Nawiedzenia, dotknięcia Boga... Impulsy ewolucyjne. Rzeczywistość „pnie się” ku formom coraz wyższym. Ku coraz większemu podobieństwu do swego Stwórcy i Pana.

Wakacje z Kasjopeją

„Nie wiem, czy ojciec będzie zadowolony, ale w tym roku nie będzie ojciec na plebanii sam” — powiedziała do mnie sekretarka przy parafii św. Mikołaja w Monachium, witając mnie w biurze parafialnym na parterze.

Podobnie jak zeszłego lata, miałem tutaj zastępować proboszcza. Rzeczywiście, u szczytu schodów prowadzących na pierwsze piętro, gdzie miałem zamieszkać, przywitało mnie dwoje iskrzących się czarnych oczu. „To Kasjopeja” — powiedziała sekretarka. Kasjopeję otrzymał proboszcz przed paru dniami, tuż przed swym wyjazdem na wakacje, od pewnego niepełnosprawnego chłopca, który go prosił, żeby się nią zaopiekował i się jej nie pozbywał. Kotka, zdaniem sekretarki, mogła mieć co najwyżej dwa miesiące. „Jest piękna — powiedziała, zostawiając mnie samego na piętrze — i będzie miał z niej ojciec dużo radości”.

Królewskie pochodzenie

Gdy później zobaczyłem Kasjopeję w całej krasie, musiałem oczywiście zgodzić się z opinią sekretarki. Była piękna: miała wielkie czarne oczy, białe futerko z wydłużoną, wielobarwną „plamą” na grzbiecie i czarne „buciki”, półcholewki. Dorosłym osobom, które podziwiała jej urodę, tłumaczyłem, że jest z arystokratycznego rodu i że jej przodkowie wywodzili się z Egiptu, z dworu któregoś z faraonów. Jako dowód na jej „błękitną krew” podawałem

niezwykle dostojny ciód, wykwintne manłery, zwłaszcza przy spożywaniu posiłków, i czarną plamkę nad lewym okiem. Niektóre osoby dawały wiarę moim teoriom i podziwiałły zarówno Kasjopeję, jak i moją wiedzę o kotach. Jak mało o nich jednak wiedziałem, przekonałem się już w pierwszym dniu mego przebywania z Kasjopeją pod jednym dachem. Kasjopeja uświadomiła mi, że nie jest zabawką. Była to lekcja bolesna. Jej ślady nosiłem długo na rękach, a także i na twarzy. Zrozumiałem, że muszę uszanować jej godność, a przede wszystkim wolność. Powziąłem zatem solenne postanowienie, że odtąd wszelka inicjatywa wspólnej zabawy musi wyjść od Kasjopei.

Na pierwszy krok z jej strony musiałem poczekać aż do następnego dnia i był on dla mnie prawdziwym zaskoczeniem. Siedziałem przy biurku i coś pisałem. Nagle Kasjopeja wskoczyła na stół, a ze stołu na moje lewe ramię i tam usadowiła się wygodnie, niczym na siodle. Przez dłuższą chwilę przypatrywała się mojej prawej ręce. Kasjopeję oczywiście intrygowało wszystko, co było w ruchu. Tym razem obiektem jej zainteresowania był mój długopis. W pewnej chwili jednym susem skoczyła mi na rękę, wyrwała mi z palców długopis i zaczęła się nim bawić. Nie przeszkadzałem jej w tej zabawie. Chciałem, żeby się przekonała, iż mój długopis nie jest myszą (choć zaraz przyszło mi do głowy, czy aby Kasjopeja w ogóle widziała w życiu mysz). Widocznie moja taktyka zadziałała, bo nigdy już potem Kasjopeja nie wyrwała mi długopisu czy pióra z ręki.

Ze wspólnej miski

Lubiła siedzieć na moim biurku, gdy przy nim pracowałem. Tak samo lubiła siedzieć na stole w kuchni, gdy spożywałem przy nim posiłki. Pozwalałem jej na to wbrew

wszelkim zasadom higieny. Mówiłem sobie: miłość jest silniejsza od wszelkich zarazków. Czasem nasz wzrok się spotykał. Miała niekiedy bardzo przenikliwe oczy. Potrafiliśmy patrzeć sobie w źrenice nawet przez kilka minut. Mówiłem jej wtedy o cierpieniu i prześladowaniach, jakim był poddany jej gatunek, zwłaszcza w Średniowieczu, kiedy to urządzano kotom nawet procesy (czarny kot uchodził za wcielenie szatana). Domyślałem się, dlaczego Kasjopeja lubiła siedzieć na moim biurku czy też — w mojej obecności — na stole w kuchni. Będąc na wysokości moich oczu, czuła się moją pełnoprawną partnerką, jak równa z równym.

Pod koniec mego pobytu na plebanii zdobyłem się nawet na gest bardzo braterski wobec Kasjopei. Powiedziałem jej: „Kasjopejo, Ty jesteś arystokratką, potomkiem kotów «dworzan» z pałacu faraonów, a może nawet jesteś z kotów świątynnych, ja zaś jestem potomkiem chłopów z Łososiny. Moi przodkowie jedli posiłki całą rodziną ze wspólnej miski. Niech teraz tak będzie i z nami”. Wziąłem głęboki talerz, nasypałem do niego *müsli crunchy*, wlałem trochę mleka o temperaturze pokojowej i powiedziałem do Kasjopei: „Smacznego!” Kasjopeja nie odrzuciła mego zaproszenia. Jedliśmy w milczeniu. Ona z jednej strony talerza — z wielką gracją, a ja z drugiej — na pewno z mniejszą gracją, co mnie zawstydzalo.

Znaczną część dnia Kasjopeja spędzała z sekretarką na parterze, w pomieszczeniach biura parafialnego. Wszystkie osoby, które do kancelarii przychodziły, podziwiała Kasjopeję. Jedna z matek przyprowadzała nawet codziennie swą córeczkę, by mogła pobawić się z Kasjopeją. Nawet te osoby, które miały u siebie młode koty, przyznawały lojalnie, że Kasjopeja jest nadzwyczajna. Nic dziwnego, że otrzymywała wiele prezentów, głównie zabawek: turlające się beczuleczki, dzwonki na tasiemkach, świeci-

deika. Rzadko jednak bawiła się tymi wyszukanymi sztucznociami. Wolała swój celofanowy, kolorowy, szeleszczący papierek z cukierka, rzucony najlepiej pod krzesło.

Kasjopeję interesowały jednak nie tylko niewinne, papierkowe zabawy. Przepadała za męską, wręcz brutalną walką. Wystarczyło tylko, że usiadłem na kanapie, długim, staroświeckim meblu, w mym pokoju. Siadałem zawsze nie na środku, tylko na którymś z końców kanapy. Na drugim końcu „okopywała” się wtedy Kasjopeja. Czaiła się, podkładała prawą łapkę pod siebie, mierzyła wzrokiem odległość dzielącą ją ode mnie i zawsze nieoczekiwanie ruszała do ataku, rzucając się na mnie wszystkimi czterema szeroko rozczapierzonymi łapkami. Był to sygnał dla mnie. Zakładałem wówczas na prawą rękę i przedramię specjalny rękaw, który sporządziła mi z grubego starego kawałka materiału pewna zacna osoba. Trzeba było widzieć, z jaką determinacją Kasjopeja walczyła z nowym „wrogiem”. Szarpała rękaw pazurami wszystkich łapek i wbijała swe zębki w materiał z całą siłą, na jaką ją było stać. Unosiłem ją wtedy, przyczepioną do rękawa, wysoko w powietrze, a nawet nią lekko wymachiwałem. Gdy mój rękaw wracał do punktu wyjścia, czyli na kanapę, Kasjopeja uciekała, by za kilka sekund ponowić atak. I tak w kółko więcej niż pół godziny. Po takiej walce Kasjopeja padała jak martwa ze zmęczenia. Gdzie? Oczywiście na moje kolana i trudno mi ją było wtedy stamtąd usunąć.

Czułości

Na noc zostawiałem wszystkie drzwi do pomieszczeń na piętrze otwarte. Otwierałem także okno w pokoju, w którym spałem, wychodzące na dach zakrystii. Kasjopeja lubiła spędzać wczesne godziny nocne na tym właśnie

dachu. Potrafiła siedzieć na nim nieruchomo godzinami i wsłuchiwać się w nocne tętno życia wielkiego miasta. Często widziałem ją wpatrzoną w niebo. Widocznie ekscytowało ją migotanie gwiazd.

Zwykle koło północy wracała z dachu do pokoju i kładła się przy moich stopach na łóżku. O świcie zmieniała legowisko. Cichutko, na końcach paluszków „przemierzała” mnie wzdłuż, aż ku głowie. Kładła się na poduszce, blisko mej twarzy, pyszczkiem ku mnie, tak iż czułem jej oddech. Mruczała przy tym swoje „pacierze” (tak mówiło się u nas w domu o kocie, który spał przy piecu w kuchni i chrapał). Zresztą po pewnym czasie owo mruczenie „pacierzy” ustawało i Kasjopeja oddychała bezszelestnie. Niekiedy budziła się i głaskała mnie łapką po twarzy. Robiła to z taką niezwykłą delikatnością, iż nie wierzę już teraz Arystotelesowi, wychwalającemu ludzką rękę jako najsubtelniejsze i najsprawniejsze „narzędzie”. Przestrzegalbym jednak dorosłych, żeby nie zezwalali dzieciom na branie kotów na poduszkę, czy w ogóle w pobliże oczu. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że kot, biorąc w „dobrej wierze” oko za poruszające się zwierzątko, mógłby je dziabnąć łapką, albo jeszcze — nie daj Boże — ostrymi pazurkami.

Takie czułości oczywiście nie mogły pozostać nie odwzajemnione. Sięgnąłem po wypróbowany wzorzec, praktykowany wśród ludzi. Kasjopeja otrzymywała ode mnie kilka głośnych całusów w swe wąsate policzki. Nie broniła się. Gdy ją wypuszczałem z uścisku, zeskakiwała na podłogę, szła na korytarz i tam robiła swą poranną toaletę. Po czym spożywała śniadanie. Moje całowanie Kasjopei było największym popisowym numerem, którym bawiłem swoich gości. Brałem główkę Kasjopei w ręce i „okładałem” jej policzki pocałunkami. Bardzo to lubiła. Nie wykazywała najmniejszego zniecierpliwienia. Im bardziej przy tym cmokałem, tym bardziej wydawała się być ukontentowana.

Nie obyło się jednak bez dramatów. Wspomnę tylko o trzech. Pewnego razu, zupełnie niechcący, trochę z winy samej Kasjopei, nadepnałem mocno na jej łapkę. Wydała tak przeraźliwy pisk, że nigdy tego dźwięku nie zapomnę. Wziąłem ją natychmiast na ręce i okazałem jej tyle współczucia i miłości, na ile mnie tylko było stać. Po pięciu minutach zaczęła znowu biegać po pokoju, a ja byłem cały szczęśliwy, że nadeptaniem nie połamałem jej kosteczek w łapce.

Innym razem poszedłem po coś do piwnicy. Nie zauważyłem, że Kasjopeja weszła po kryjomu za mną (oczywiście schowała się tam; lubiła robić takie numery). Po wyjściu z piwnicy poszedłem do mojego drugiego kościoła, by odprawić Mszę św. Wróciłem do domu późnym wieczorem, po trzech godzinach nieobecności. Gdy tylko otworzyłem drzwi wejściowe, usłyszałem przeraźliwe miauczenie. Dochodziło z piwnicy. Skulona w kłębek, Kasjopeja siedziała przy zamkniętych drzwiach i „płakała”. Od razu wziąłem ją na ręce. Tego wieczoru nie chciała nic jeść ani się bawić. Chciała być tylko cały czas przytulona do mnie. Miałem z tym kłopot, nie mogłem się umyć i rozebrać przed spaniem. Jak tylko chciałem ją odłożyć, choćby na moje łóżko, od razu zaczynała głośno miauczeć. Nie kryję, że to przeżycie było dla mnie najmocniejsze i najbardziej wzruszające z całego okresu mych wakacji z Kasjopeją.

Trzeci dramat był zupełnie innej natury. Pewnego wieczoru przyszli moi przyjaciele z sąsiedniej parafii (którą także musiałem obsługiwać), Polacy, ze swym psem Aską, potężnym stworzeniem, ale łagodniejszym niż najbardziej łagodny baranek. Ciekawi byliśmy, jak Kasjopeja zareaguje na psa, jako że w swoim życiu — zapewniano mnie — nie miała jeszcze okazji zetknąć się z żadnym przedstawicie-

lem tego gatunku. Trzymałem Kasjopeję na rękach, gdy owi państwo wchodzili po schodach z psem na smyczy. Gdy Kasjopeja zobaczyła Askę, wydała groźny pisk, wyrwała mi się z rąk i zasyłała się w moim pokoju. Trzeba było widzieć strach w jej oczach. Po odejściu przyjaciół Kasjopeja wyszła z kryjówki, wygięta w pałąk, z najeżoną sierścią. Obwąchiwała przez pół nocy ślady po psie, fukając i prychając przy tym cały czas. Pomyślałem sobie wtedy pozytywnie o naszym ludzkim rodzaju. Nie jest z nami aż tak źle. Nie jawimy się kociej rasie tak groźnie i przerażająco jak przedstawiciele psiego gatunku. Człowiek zatem może być przyjacielem zwierząt. Tego „oczekują” od niego zwierzęta.

Pożegnanie z Kasjopeją nie mogło odbyć się bardziej prozaicznie. Zastępczyni sekretarki wypuściła ją do ogródka. Poszedłem więc do Kasjopei, ale ona nawet na mnie nie spojrzała. Zajęta była „zabawą” z konikiem polnym. Prawdę mówiąc, wołałbym jej nie zastać w takiej sytuacji, tak sobie w pierwszej chwili pomyślałem. Potem zmieniłem zdanie. To dobrze, powiedziałem sobie, że nie zrobiłem z Kasjopei „człowieka” i że nie przeszkodziłem jej pozostać sobą, czyli kotem.

Po powrocie do kraju zadzwoniłem do Monachium, żeby się dowiedzieć, co dzieje się z Kasjopeją. Zastępczyni sekretarki powiedziała mi, że przez cały następny dzień po moim wyjeździe Kasjopeja była smutna. „Nic dziwnego — dodała — nikt nie okazał jej tyle serca, co ojciec. Żadnej duszy u nas nie poświęcił ojciec tyle czasu, co Kasjopei”. To ostatnie zdanie mnie zastanowiło. Nie wdając się w dyskusję, odpowiedziałem: „To prawda, poświęciłem Kasjopei dużo czasu, ale Kasjopeja dała mi więcej aniżeli ja jej”.

Owo „więcej” to było zawalenie się mojej dotychczasowej konstrukcji piramidalnej świata: z człowiekiem

na szczycie i z podporządkowanym mu stworzeniem. Tak widział rzeczywistość św. Tomasz z Akwinu i inni teolodzy, wszyscy rzekomo w oparciu o przesłanie biblijne. Tak jednak nie jest! Każde stworzenie ma życie od Boga i nie jest skazane na zależności pańszczyźniane od innych. Taka będzie, wydaje mi się, teologia XXI wieku. Chrześcijaństwo będzie musiało zmienić swój stosunek do zwierząt (zmieniają się przez to także nasze kulinarne przyzwyczajenia). Tego nauczyła mnie Kasjopeja. I za to jestem jej wdzięczny.

październik 2001

Zakon od wykupu zwierząt

Święty Saba, V/VI wiek, założyciel Wielkiej Ławry w Ziemi Świętej, wędrując kiedyś przez pustynię, położył się w jaskini, by nieco odpocząć. Nie wiedział, że służyła ona za legowisko dla lwa. Zmęczony trudami drogi, zasnął. W środku nocy przebudziło go szarpanie za tunikę. Ktoś usiłował wyciągnąć go z grotu. Usiadł i przetarł oczy. Widok dzikiego zwierzęcia nie przeraził go wcale. Przypomniało mu się tylko, że to najwyższy czas na nocną modlitwę. Zabrał się więc do recytowania psalmów. Lew wyszedł i usiadł przed grotą. Po modlitwie Święty położył się ponownie i zasnął. I znowu obudziło go szarpanie za tunikę. Tego już było św. Sabie za dużo. Usiadł i tak przemówił do lwa: „Jaskinia jest wystarczająco duża, żeby nas obydwu pomieścić. Przecież ten sam Bóg nas stworzył. Ciebie i mnie. Jeśli chcesz, to możesz tu zostać, jeśli nie, to sobie idź stąd”.

Po czym zabrał się do modlitwy, tym razem do odmawiania modłów porannych, a potężny lew opuścił jaskinię. Zrobił to, jak zaznacza biograf Świętego, Cyryl ze Scytopolis, „z szacunku” dla modlącego się pustelnika.

Nie była to jedyna przygoda Świętego z lwem. Innemu św. Saba wyciągnął cierń z łapy. Wielu świętych miało wyświadczyć podobną przysługę lwom. Niektórzy z nich, jak św. Hieronim, zasłużyli sobie na uwiecznienie tego dobrego uczynku przez znakomitych malarzy. Lew, uleczony przez św. Sabę, nie pozostał dłużny. Zaciągnął

się na służbę u Świętego. Święty Saba powierzył mu opiekę nad swym osłem, który służył mu za tragarza wody z oddalonego o wiele mil Jordanu. Codziennie rano lew wyprowadzał osła na pastwisko, czuwał nad jego bezpieczeństwem, a wieczór, nie omieszkawszy wprzódy go napoić, odprowadzał czworonożnego podopiecznego do pustelni św. Saby. Oczywiście lew przestawił się na dietę roślinną.

Chodzi nie tylko o miejsce na naszej planecie dla nas i dla zwierząt. Ale przede wszystkim o dobre, przyjazne „sąsiedztwo”. Święty Makary, IV wiek, uczeń św. Antoniego Pustelnika, kiedyś sprzedawca słodczy, cieszący się wielkim autorytetem wśród mnichów egipskich, założyciel klasztoru, który istnieje do dziś w Wadi Natrun, miał swą grootę mieszkalną w sąsiedztwie jaskini zajmowanej przez hienę. Pewnego razu w nocy hiena weszła do groty Świętego i zaczęła go delikatnie lizać po stopach. Święty przebudził się. Hiena pochwyciła go lekko zębami za tunikę i kierując swój wzrok ku wyjściu, dawała św. Makaremu znak, żeby poszedł za nią. Święty Makary wstał i udał się za hieną. Ta wprowadziła go do swej jaskini i pokazała mu ślepe maleństwa, prosząc wzrokiem, by je uleczył. Święty pomodlił się nad biedactwami i te nagle przejrzały na oczy. Hiena na znak wdzięczności ofiarowała św. Makaremu olbrzymią skórę z wyjątkowo wielkiego barana. Anonimowy autor zapisków z podróży po Egipcie z 394 r., pisze w tzw. *Historii mnichów egipskich*: „Makary uśmiechnął się do hieny, jakby do jakiejś osoby pełnej uprzejmości i wrażliwości, zabrał skórę i używał jej jako wykładziny”.

Skóra ta — o dziwo — będzie mieć swoją bogatą historię. Od św. Makarego otrzyma ją w darze św. Melania Starsza, arystokratka rzymska, która sprzedała swe olbrzymie włóści i osiadła w Jerozolimie, oddając się pokucie. Odwiedziła niektóre z osad mnichów w Egipcie. Święta

Melania najwidoczniej przekazała skórę któremuś z mnichów, bo była ona później pokazywana w Egipcie.

Z miłym zaskoczeniem przeczytałem kiedyś, że w XVII wieku w Chinach, w Hangzhu, istniało Towarzystwo Wyzwalania Życia. Członkowie tej organizacji zbierali pieniądze, za które raz w roku odkupywano złowione ptaki i ryby i wypuszczano je na wolność. Robiono to z czystej, bezinteresownej miłości do zwierząt, dla przyjemności, jaką daje obdarzanie stworzeń wolnością.

W Średniowieczu działały w chrześcijaństwie dwa zakony od wykupu niewolników, mercedarze i trynitarze. Ci ostatni do XVIII wieku mieli wykupić z niewoli milion ludzi, czym zasłużyli sobie nawet na pochwały Woltera, skądinąd bardzo skąpego w słowach uznania pod adresem chrześcijan. Wyobrażam sobie, że w trzecim tysiącleciu powstanie wiele zakonów, stowarzyszeń i organizacji do obrony zwierząt. Aż serce rośnie, gdy się słyszy o wielu inicjatywach na rzecz zwierząt w Polsce (choćby obrona koni polskich przed wysyłką na rzeź za granicę). Doprawdy — potrzebny od zaraz zakon od wykupu zwierząt!

grudzień 2000

Z wielkim opóźnieniem pojawiła się w sztuce chrześcijańskiej scena narodzin Chrystusa, bo dopiero w IV wieku. Pojawiła się bardzo nieśmiało, najpierw w sztuce cmentarnej. Wspaniała mozaika z V wieku na łuku absydy bazyliki Matki Boskiej Większej w Rzymie, przedstawiająca główne wydarzenia z życia Chrystusa, nie ma sceny Jego narodzin. Wstydzono się skromnego przyjścia Chrystusa na ten świat. Nie bardzo można było się chwalić przed poganami narodzeniem Zbawiciela świata w stajni, gdy chrześcijanie byli prześladowani. A gdy Kościół zaczął rósć w siłę i znaczenie, zaczęto patrzeć na Chrystusa raczej poprzez majestat cesarski.

Najstarsze przedstawienia sceny narodzin Chrystusa pokazują niemowlę Jezus, owinięte, a raczej zasznurowane w pieluszki, pomiędzy osłem i wołem. Matka Najświętsza, św. Józef, pasterze i mędrcy ze Wschodu „dojdą” później. Artystów starochrześcijańskich nie interesował bowiem realizm wydarzenia z Groty Betlejemskiej, tylko komentarz teologiczny do sceny narodzin Chrystusa. Znaleźli ów komentarz u proroka Izajasza w rozdziale pierwszym: „Wół rozpoznaje swego pana i osioł złób swego właściciela” (Iz 1,3). Wymowa tego cytatu w rozumieniu artystów i teologów chrześcijańskich była jedna: zwierzęta, choć pozbawione rozumu, rozpoznają i czczą swego Stwórcę, a ludzie, obdarzeni światłem umysłu, nie bardzo się kwapią, by poznać i uczcić swego Zbawiciela. Ojcowie Kościoła pójda

w wykładni dalej i zidentyfikują grupy ludzi kryjące się za obrazem wołu i osła. I tak Grzegorz z Nysy, IV wiek, będzie widział w osle symbol pogan, ludzi obarczonych grzechami, których źródłem jest bałwochwalstwo (osioł uchodził w starożytności za zwierzę nieczyste, bardzo zmysłowe), a w wołu dopatrzy się Żydów, zaprzężniętych w jarzmo Prawa.

Obecność zwierząt przy żłóbku Chrystusa, choć nie potwierdzona przekazem Ewangelii, skłania do podwójnej refleksji: po pierwsze zwierzęta, a nie ludzie, znalazły się najwcześniej u nowo narodzonego Chrystusa, jeszcze przed pasterzami i mędrkami ze Wschodu, po wtóre — to one potrafiły dopatrzeć się w nowo narodzonym Chrystusie swego Pana, czego nie można powiedzieć o wszystkich ludziach. Nic więc dziwnego, że wołu i osła znajdziemy prawie w każdej szopce.

Pozycja uprzywilejowana zwierząt w porównaniu z ludźmi w Grocie Betlejemskiej wpłynęła tylko w niewielkim stopniu na wzrost sympatii do zwierząt u chrześcijan. Da się ją zaobserwować w zasadzie tylko w Średniowieczu. Bo tylko w Średniowieczu mogło się zdarzyć, że na czele procesji z relikwiami św. Liboriusza, na trasie z Le Mans we Francji do Paderborn w Niemczech, kroczył paw, zapewne z ogonem rozłożonym odświętnie w wachlarz (paw uważany był za symbol nieśmiertelności; wierzono, że jego mięso się nie psuje). Tylko w Średniowieczu mogło się zdarzyć, że budowniczości katedry w Laon we Francji uczcili i uhonorowali woły wyciągające budulec na wysoką szkarpe, stawiając im na ściętych płasko gotyckich wieżach pomniki: ponadnaturalnej wielkości rzeźby w kamieniu kilkorga przedstawicieli owych ofiarnych stworzeń. Tylko w Średniowieczu mógł św. Franciszek głosić kazania do ryb i ptaków, nie będąc przez nikogo wyśmiany, a wilk przez niego nawrócony mógł wręcz zostać honorowym obywatelem Gubbio.

Złe czasy dla zwierząt nastaną dopiero w epoce nowożytnej. Stanie się tak na skutek filozofii kartezjańskiej, degradującej zwierzęta do roli maszyny, czysto materialnego przedmiotu. Sam Kartezjusz pisał w 1649 r., że jego system filozoficzny wyzwala ludzi z „podejrzenia o popełnienie przestępstwa za każdym razem, gdy jedzą lub zabijają zwierzęta”.

Koncepcja zwierzęcia-maszyny otworzy szeroko bramę do praktykowania na zwierzętach wszelkiego rodzaju wiwisekcji. Jest ona uprawiana po dzień dzisiejszy, mimo że zdaniem wielu autorytetów naukowych nie przyniosła ludzkości oczekiwanych korzyści, a zwierzęta naraziła na niewyobrażalne cierpienia. Dzisiaj na Zachodzie każdy może powiesić na drzwiach swego domu wywieszkę z napisem „laboratorium” i przeprowadzać eksperymenty na zwierzętach, jakie tylko zechce. Znane są przypadki, gdy unieruchomione w żelaznych klatkach koty noszą na sobie zrakowaciale narosła większe od nich samych, albo przypadki spalania w piecu na wolnym ogniu psów, celem pomiaru natężenia cierpienia.

Znaleziony w Egipcie na piramidach z lat ok. 2300–2200 przed Chr. zapis wyroku uniewinniającego faraona, jaki zapadł podczas sądu pośmiertnego nad nim, zawiera m.in. następujące słowa: „Nie ma żadnej skargi ze strony osoby żyjącej przeciw NN, nie ma żadnej skargi ze strony osoby zmarłej przeciw NN, nie ma żadnej skargi ze strony gęsi przeciw NN, nie ma żadnej skargi ze strony wołu przeciw NN”.

Doprawdy, także zwierzęta będą nas sądzić.

By ziemia nie stała się pustynią

Trzech z czterech ewangelistów podaje, że Chrystus na początku swej działalności publicznej udał się na pustynię, gdzie był kuszony przez szatana. I chociaż dwu z nich, Mateusz i Łukasz, obszernie relacjonuje to wydarzenie, a Marek poświęca mu tylko trzy krótkie zdania, to właśnie ten ostatni jako jedyny zamieścił informację, że Chrystus „żył tam wśród zwierząt” (Mk 1,13). Większość egzegetów jest dzisiaj zdania, że ta informacja nie ma na celu wskazania na dodatkowe źródło zagrożenia dla Chrystusa, płynące rzekomo ze strony zwierząt. Wręcz przeciwnie — podkreśla ich przyjazny stosunek do Chrystusa i odwrotnie. Ta przyjazna relacja ludzi i zwierząt ma stać się rzeczywistością na co dzień w czasach mesjańskich.

Dużo się dzisiaj mówi i pisze na temat, czy zwierzęta mają duszę i czy będą nam towarzyszyć w życiu wiecznym, gdy będziemy u Boga, zwłaszcza te zwierzęta, które darzyliśmy miłością za życia na ziemi i które również nas darzyły miłością. Trudno jest pogodzić się z twierdzeniem, że nasi — powiedzmy przykładowo — czworonożni przyjaciele z chwilą swej śmierci rozpadną się na elementy pierwsze i staną się tylko budulcem dla innych istnień na tym świecie, tracąc swą niepowtarzalną indywidualność raz na zawsze, po wszystkie czasy. I rzeczywiście, czyżby na przykład pies, który wyczekuje naszego powrotu do domu z utęsknieniem i wita nas z niepohamowaną radością, szukając wzrokiem w naszych oczach życzliwości, miał być li tylko czystą materialnością?

Problem ten nie dawał spokoju o. G. H. Bougeantowi, jezuitcie, żyjącemu w XVIII wieku we Francji, autorowi wielu rozpraw z dziedziny fizyki i nauk przyrodniczych, zagorzałemu empiryście, a także zwolennikowi niektórych tez filozoficznych Kartezjusza. Znał on doskonale filozofię scholastyczną z jej nauką o duszy, a mianowicie, że istnieją trzy rodzaje duszy: wegetatywna, zmysłowa i duchowa, i że tylko ta ostatnia jest nieśmiertelna. Nie mógł pogodzić się jednak z myślą, że materia (konkretna porcja materii, w postaci na przykład konkretnego psa) może posiadać takie przymioty, jak poznanie, pamięć, przyjaźń. W jednej ze swych prac z 1739 r. podał własne rozwiązanie problemu, a mianowicie, że Bóg umieszcza w każdym zwierzęciu demona, który porusza jego ciałem od wewnątrz, a po śmierci tego zwierzęcia zostaje skierowany do kolejnej „ofiary”. Teza o. Bougeanta nie spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem ze strony filozofów i przyrodników. Jansenistyczne „Nouvelles Ecclésiastiques”, jak wiadomo — wrogie jezuitom, wyśmiały ją jako niedorzeczną i ośmieszającą religię. Pisały m.in., iż „rzeczą mniej absurdalną byłoby przyjąć tezę, że demon zamieszkuje ciało każdego jezuitę i rządzi nim”.

Rozpada się dzisiaj wizja świata, która w człowieku postrzegала szczyt stworzenia, i co więcej, że człowiekowi podporządkowane jest wszystko. Patrzymy dzisiaj na świat raczej jako na harmonijną całość, gdzie wszystko jest potrzebne i wszystko ma swoje miejsce. Odchodzimy też powoli od zdania, że tylko dusza ludzka jest nieśmiertelna. Nie możemy Bogu wiązać rąk. To On określa, co jest wieczne, a co przemijające. Jeśli Objawienie mówi nam o „ziemi nowej” i o „niebie nowym” (Ap 21,1), to trudno wyobrazić sobie tę nową rzeczywistość bez świata flory i fauny (nie będzie nią kierować prawo przemocy, bo według Księgi Rodzaju pierwotnie wszystkie zwierzęta były „wegetariana-

mi”, Rdz 1,30). Nie chodzi tutaj oczywiście o to, by robić ze zwierząt ludzi. Każdemu stworzeniu przynależy się w wieczności właściwe miejsce. Jakie? Zostawmy to Bogu.

Mam przed sobą skserografowaną kopię drzeworytu z XV wieku, który gdyby został wystawiony w Zachęcie jako dzieło współczesne, wywołałby zapewne powszechne oburzenie jako sztuka bluźniercza. Oryginał znajduje się w dziele ascetycznym norymberskiego franciszkanina Stephana Fridolina (zm. 1498), pt. *Schatzbehälter (Pojemnik na skarb)*, wydanym w Norymberdze w 1491 r. (w rzeczy samej autor drzeworytu wzorował się na wcześniejszym obrazie, przechowywanym obecnie w muzeum miejskim w Bambergu). Drzeworyt przedstawia Chrystusa idącego pośród zwierząt, w pejzażu zimowym, wśród drzew, z płynącym pośrodku zakoliście potokiem. Chrystus ubrany jest w tunikę opadającą sztywno, dzwono wato do samej ziemi. Otacza go sześcioro zwierząt. Jest tam i pies, i świnia, i lew, i mityczny jednorożec. Przednimi łapami „wdrapują się” na szatę Chrystusa. Zachowanie zwierząt wskazuje na radość ze spotkania z Nim. Chrystus ma w lewej ręce kij-laskę. Na prawej ręce i ramieniu trzyma słonia i owcę (oboje równej wielkości). Na aureoli-glorii Chrystusa duży ptak z rozpostartymi skrzydłami (orzeł? pelikan?) uwił sobie gniazdo z młodymi. Wokół aureoli-glorii widać inne ptaki. Tylko zadumana (a może zadufana w swoją mądrość) sowa trzyma się z daleka, w lesie. W lasku odpoczywają baranki. Widać też postać niewieścią z owieczką u stóp (przykład, jak i my powinniśmy się zachowywać wobec zwierząt?).

Tak! Chrystus pośród zwierząt. Chrystus — przyjaciel zwierząt. Chrystus, który podczas czterdziestu dni na pustyni „żył wśród zwierząt”, po to by nas nauczyć żyć w przyjaźni z nimi. By ziemia nie stała się pustynią!

„Czcciele krzyża”

1. Gdy jezuici dotarli do Chin pod koniec XVI wieku, zaczęli tam skwapliwie szukać śladów obecności dawnych chrześcijan, którzy przyjęli naukę Chrystusową od misjonarzy ze Wschodu, od nestorian z Syrii i Persji (począwszy od połowy VII wieku) lub później od misjonarzy z Zachodu, od franciszkanów włoskich (XIII/XIV wiek). Odkrycie w Xi'an w prowincji Shenxi w latach 1623–1625 steli, wzniesionej w 781 r., dostarczyło misjonarzom jezuickim niezbitego dowodu na istnienie chrześcijaństwa w Chinach od tysiąca lat. Stela z Xi'an to płyta wapienna o 2,79 m wysokości, 1,02 m szerokości i 0,29 m grubości, zapisana 1756 znakami chińskimi i 70 słowami w języku syryjskim. Zawiera niezwykle pod względem literackim i treściowym tekst: *credo* „religii świetlistej z Daqin” (Daqin — regiony na wschód od Imperium Rzymskiego, głównie Syria i Persja). „Religia świetlista” to — oczywiście — chrześcijaństwo, wiara w Chrystusa, Światło świata, a nie kult światła, oparty na tradycjach perskich. Stela przechowywana jest do dzisiaj w muzeum prowincji Shenxi. Niepowodzeniem jednak zakończyły się poszukiwania w XVI wieku żyjących wspólnot chrześcijańskich. Że takie istniały, jezuici wiedzieli choćby od Żydów z Kaifeng. Ci ostatni dostarczyli im nawet imion rodzin nestoriańskich w tym mieście. „Konfrontacja” misjonarzy z nimi nie przyniosła pozytywnych rezultatów. Najwidoczniej krypto-chrześcijaństwo nie ufali przybyszom z Zachodu, co jest w pełni

zrozumiały, zważywszy na straszliwe prześladowania, jakim zostali poddani ich przodkowie w ciągu minionych stuleci. Część z nich znalazła duchowe oparcie u muzułmanów (nazywano ich „Saracenami krzyża”). Inni — u Żydów, jak np. w Kaifeng. Modlili się z Żydami z tych samych ksiąg świętych, głównie z psalterza, jako że nie posiadali już Nowego Testamentu. Reszta rozplynęła się w buddyzmie i konfucjanizmie, choć niektórzy starali się zachować swoją odrębność. Nazywano ich „czcicielami krzyża”. Bo krzyż wyróżniał ich spośród wyznawców innych religii. Robili znak krzyża nad wszystkimi potrawami, które spożywali. Dzieciom kreślili znak krzyża na czole. Nie znali już jednak imienia Chrystusa. Zagubili je. Na pytanie, dlaczego czczą krzyż, nie umieli dać odpowiedzi. Odwoływali się do tradycji rodzinnych.

2. W XV wieku pojawia się w sztuce europejskiej — w malarstwie — nowy wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego, tak zwany „żywy krzyż”. Z czterech końców krzyża wyrasta ręka. Ta u dołu otwiera (zazwyczaj za pomocą młotka) drzwi do otchłani. Ta u góry zaś otwiera (zazwyczaj za pomocą dużego klucza) bramy nieba. Ręka wyrastająca z lewego zakończenia belki horyzontalnej, do której przybita jest prawa ręka Chrystusa, nakłada koronę na głowę niewiasty symbolizującej Kościół. Niewiasta siedzi na zwierzęciu (często jest ono „zbudowane” z symboli czterech ewangelistów). Ręka wychodząca z zakończenia prawego belki horyzontalnej, do której przybita jest lewa ręka Chrystusa, trzyma miecz i przeszywa nim niewiastę symbolizującą Synagogę, judaizm. I tak — by podać konkretny przykład — w kościele w Thörl w Karyntii, w Austrii, na fresku Tomasza z Villach z lat 1475–1480, niewiasta symbolizująca Synagogę jest ślepa, bo ma oczy przewiązane chustą. Z jej głowy spada korona. Siedzi na ośle

z połamanymi nogami, śmiertelnie zranionym w kark. W prawej ręce trzyma złamany proporzec. W lewej — odciętą, krwawiącą głowę kozła, symbol starotestamentowych ofiar. Ręka wychodząca z krzyża przeszywa olbrzymim, nieproporcjonalnie wielkim w stosunku do ciała niewiasty mieczem jej głowę i klatkę piersiową. Obok niewiasty-Synagogi stoi Ewa. Do prawej ręki bierze z paszczy węża jabłko (wąż wychodzi z jej serca), a w drugiej ręce trzyma czaszkę, którą pokazuje grupie przerażonych osób u jej stóp (jedna z nich leży na ziemi i rwie sobie włosy z głowy). Rzecz charakterystyczna: dłoń trzymająca rękojeść miecza otoczona jest nimbusem, glorią kolistą — aby nikt nie miał wątpliwości, że chodzi tutaj o sąd Boży nad Synagogą. Czy można się dziwić, że przy takim rozumieniu krzyża wiele mordów na Żydach w Średniowieczu dokonywało się w obecności tego świętego znaku? Ci chrześcijanie, którzy tak „odczytywali” krzyż Chrystusowy, w rzeczy samej wiedzieli mniej o Chrystusie i o Jego krzyżu aniżeli „czciciele krzyża” w Chinach, których poszukiwali jezuici.

3. Przed laty czytałem wstrząsające wyznanie pewnego duszpasterza akademickiego we Francji. Przyszedł do niego, do pokoju, gdzie mieszkał i pracował, pewien student, jak się okazało, niewierzący. Pierwsze, co zrobił, to wskazał palcem na duży krzyż, który wisiał na ścianie pokoju duszpasterza, i zapytał go wprost, czym ten znak jest dla niego na co dzień. Czy przez to, że wisi on w jego pokoju, jego życie, świat jego myśli, pragnień, postaw jest inny? Duszpasterz wyznał szczerze, pisząc o tym spotkaniu, że uwikłał się w swych odpowiedziach w oczywiste sprzeczności, niedopowiedzenia i niekonsekwencje. W rezultacie tej rozmowy — wyznał — musiał sobie przemyśleć na nowo, czym jest dla niego krzyż i wiszący na nim Chrystus.

Pytanie studenta można by zadać wszystkim, którzy mają w pomieszczeniach, gdzie żyją i pracują, krzyż: biskupom, księżom, katolikom świeckim, ale także i lekarzom, pielęgniarkom, sklepikarzom, posłom oraz senatorom. Spór o krzyże oświęcimskie pokazał, jak się wydaje, że wielu katolików w Polsce ma wiedzę o krzyżu i Chrystusie na poziomie chińskich „czcicieli krzyża” (czy nawet gorzej: czcicieli „żywego krzyża”).

marzec 2001

Cuda Matki Boskiej

Cezary z Heisterbach, długoletni mistrz nowicjatu i przeor nie istniejącego już dzisiaj klasztoru cysterskiego w Niemczech, żyjący na przełomie XII i XIII wieku, jest m.in. autorem obszernego łacińskiego dzieła pt. *Dialogus miraculorum* (*Dialog cudów*). Jest to zbiór siedmiuset czterdziestu sześciu osobliwych historii, w większości „cudów”, pomyślany jako pomoc edukacyjna dla młodych zakonników i kopalnia przykładów dla kaznodziejów. Zdaniem historyków, gdyby nie było tego dzieła, to nasza znajomość Średniowiecza, przynajmniej jeśli idzie o wiek XII i XIII, byłaby o wiele uboższa, zwłaszcza co się tyczy poznania mentalności ludzi tej epoki.

Beatrycze była piękną, młodą zakonnica, odznaczającą się przede wszystkim wielką pobożnością do Matki Najświętszej. Przełożona powierzyła jej urząd kustoszki kaplicy klasztornej. Niestety, jeden z duchownych (Cezary używa terminu *clericus*, który może oznaczać kapłana, jak i osobę mającą niższe święcenia, np. tonsurę), zaczął zawracać w głowie młodej mniszce, czyniąc jej wręcz lubieżne propozycje. Beatrycze była początkowo bardzo dzielna. Stanowczo odrzucała wszystkie „miłosne” oferty duchownego. Przeliczyła się jednak z własnymi siłami. „Płomień miłości” — także za sprawą szatana, „pradawnego węża”, według Cezarego — zawładnął jej sercem z tak niebywałą mocą, iż w żaden sposób nie umiała sobie poradzić z rozbudzoną namiętnością, aż wreszcie skapitulowała. Sprawę

odejścia z klasztoru załatwiła na swój sposób uczciwie. Poszła przed ołtarz Matki Najświętszej, patronki klasztor- nego oratorium, i oświadczyła: „Pani, służyłam Ci, jak tylko mogłam, najpobożniej. Oto przekazuję Ci klucze. Nie jestem już więcej w stanie znieść pokus ciała”. Po czym zostawiła na ołtarzu klucze i po kryjomu opuściła klasztor wraz z duchownym. Niestety, osobnik ten wykorzystał ją seksualnie i po kilku dniach bez skrupów porzucił. Beatrycze, pozbawiona środków do życia, wstydząc się powrócić do klasztoru, została prostytutką. Była nią przez piętnaście lat. Któregoś dnia w przebraniu przyszła do swego dawnego klasztoru i zapytała portiera (widocznie odźwiernym był w owym klasztorze mężczyzna), czy nie znał przypadkiem siostry Beatrycze, która w tych murach kiedyś przebywała. Zdziwiony portier odparł: „Ależ oczywiście. To wspaniała niewiasta, uczciwa, święta, bez zarzutu. Od swych najmłodszych lat żyje w tym klasztorze aż do dzisiaj”.

Beatrycze w pierwszej chwili nie zrozumiała tych słów, ale oto ukazała się jej Matka Boża z obrazu czczonego w klasztornej kaplicy i przemówiła do niej tymi słowami: „Przez piętnaście lat zastępowałam cię na twoim urzędzie. Wracaj teraz na moje miejsce, czyn pokutę, ponieważ nikt z ludzi nie zna twojego wykroczenia (*excessum*)”.

Drugi cud jest wyjęty z *matutinale* (brewiarza z tekstem jutrzni) opactwa benedyktyńskiego z Scheyern koło Monachium w Niemczech. Rękopis, pochodzący z pierwszej połowy XIII wieku, przechowywany jest obecnie w Bawarskiej Bibliotece Państwowej (*cod.lat.* 17401). Opactwo w Scheyern wciąż istnieje.

Źle się dzieje, gdy przełożeni nie troszczą się, by ich podwładni przestrzegali choćby minimum dyscypliny zakonnej. Ale jeszcze gorzej się dzieje, gdy przełożeni są bardzo wymagający wobec podwładnych, a jednocześnie

bardzo pobłażliwi względem samych siebie. Takie stosunki panowały — według bawarskiego rękopisu — w pewnym opactwie żeńskim w Niemczech. Ksieni była bardzo surowa wobec zakonnic. Karciała je ostro za niezachowanie nawet najdrobniejszych przepisów reguły klasztornej. Sama jednak pozwalała sobie na wiele, m.in. miała romans z pewnym młodym pracownikiem opactwa, z „podczaszym”. Zaszła w ciążę. Wszelkimi sposobami starała się ukryć przed współsiostrami swój stan błogosławiony. Jak jednak kobieta może zataić ciążę, żyjąc pośród samych niewiast? Siostry doniosły biskupowi o ciąży ksieni. Ta, dowiedziawszy się o grożącej jej w najbliższym czasie konfrontacji, udała się, cała pogrążona w strachu, w nocy, w tajemnicy przed siostrami, do kaplicy klasztornej. Rzuciła się do stóp Matki Najświętszej z prośbą o pomoc. Matka Boża zesłała na nią głęboki sen, podczas którego ksieni urodziła dziecko, syna. Akuszerami byli dwaj aniołowie. Tymże samym aniołom Matka Najświętsza poleciła, by zanieśli niemowlę do pustelnika i oddali mu je na wychowanie. Rano zjechał do klasztoru biskup. Dwom towarzyszącym mu duchownym polecił zbadać ksienię. Ci nie doszukali się jednak żadnych oznak ciąży u przełożonej. Biskup oskarżył obydwu o to, że zostali przez ksienię przekupieni. Sam postanowił sprawę zbadać. I rzeczywiście — ani śladu ciąży! Teraz to biskup upadł do stóp ksieni i zaczął ją prosić, by mu przebaczyła, że z taką łatwością dał wiarę oskarżeniom zakonnic. W porywie gniewu postanowił przepędzić z klasztoru na cztery wiatry wszystkie mniszki, poza oczywiście ksienią. *Happy end* jest na miarę Średniowiecza. Ksieni wyznała swoją winę i opowiedziała biskupowi i zebranych siostram, jakiego cudu doznała od Matki Najświętszej. Biskup nie mógł się nadziwić dobroci Maryi, szczególnie temu, że Matka Najświętsza broni dobrego imienia nawet tak wielkich grzeszników. Gdy syn

ksieni ukończył siedem lat, biskup wziął go do siebie i wykształcił na księdza. Został on później — o dziwo, nieślubne dziecko ksieni! — jego następcą na stolicy biskupiej.

W starym chrześcijaństwie troska o dobre imię bliźnich była stawiana na równi z wystrzeganiem się grzechu nieczystości. Tak było np. u ojców pustyni. Z czasem górę wzięło szóste przykazanie. Jest rzeczą znamioną, że z okresu nazizmu nie znamy ani jednego przykładu wzięcia w obronę przez pasterzy Kościoła (papieży, biskupów, księży) dobrego imienia Żydów. A spadały na nich posądzenia i oskarżenia o wszelkie możliwe zło.

Czy dzisiaj jest lepiej? Czy Kościół stał się bardziej wrażliwy na dobre imię także tych, którzy widzialnie nie należą do jego owczarni? Potrzebne są nam znowu cuda Matki Bożej.

grudzień 2001

Wyrzuty sumienia

Jurij Gagarin szukał Pana Boga w kosmosie. Był zawiedziony, bo Go nie znalazł. Inni kroili ludzi na stole operacyjnym na drobne kawałki, bo szukali duszy ludzkiej. Też się zawiedli. Doprawdy, Pan Bóg chyba nie lubi materialistów. „Ukrywa” się przed nimi i załania przed ich oczami rzeczywistości najważniejsze. Jak na złość okazuje się potem, że to, co oni uważali za nieistniejące, niebyłe, działa, objawia się, ba, niepokoi i gryzie. Takie jest sumienie! Jest niewykrywalne przez żadne laboratorium. „Ulatnia” się z każdej próbówki. Ten „mały człowieczek” (jak niektórzy złośliwcy nazywają sumienie), siedzący w mózgu i sercu ludzkim, feruje bez przerwy wyroki, nie znając miłosierdzia, odporny na wszelkie „łapówki”. Łatwiej jest psu odczepić rzep od swego ogona, aniżeli nam wyciszyć skutecznie ów „głos” w sobie.

Nie ciekawią mnie uczone rozprawy o sumieniu (na ogół nudziarskie). Interesuje mnie sumienie *in flagranti*. Trzeba się naszukać niemało, by „przyłapać” kogoś, w literaturze historycznej, na tym, co nazywamy wyrzutem sumienia. Chodzi oczywiście nie o deklaracje retoryczne, których nie brak, tylko o przypadki, kiedy ludzie w wielkiej dyskrecji mówią lub piszą prawdę, i to absolutnie prawdę. Czynią to, by się właśnie uwolnić od wyrzutów sumienia, tego paskudnego „robaka”, który ich gryzie.

Zacytuję dwa przypadki, zaczerpnięte z petycji skierowanych do papieża Jana XXII, który rządził Kościołem

w XIV wieku. Sprawował swe rządy nie z Rzymu, choć każdy papież jest równocześnie biskupem tego miasta, tylko z Awinionu, jako drugi z kolei papież tam osiadły. To za jego pontyfikatu umocniła się kuria papieska na francuskiej ziemi. Wybrano go na papieża po przewlekłych, bo aż dwuletnich, burzliwych „deliberacjach”. Miał wtedy siedemdziesiąt dwa lata. Liczono na krótki pontyfikat. Przeliczono się. Był papieżem przez osiemnaście lat (1316–1334), mimo spisków (nawet biskupich). Rządził Kościołem mocną ręką. Był znakomitym organizatorem i świetnym prawnikiem, ale marnym teologiem. Na łożu śmierci — rzecz dotąd u papieży niesłychana — odwołał swoje „herezje”, które głosił: przede wszystkim to, że zbawieni, aż do czasu Sądu Ostatecznego, nie oglądają Boga „twarzą w twarz”, tylko muszą się zadowolić widzeniem samego Chrystusa jako człowieka.

Obydwie petycje skierowane do Jana XXII mają związek z Żydami. W przeciwieństwie do innych papieży awiniońskich czy w ogóle średniowiecznych, ten papież nie był im zbyt przychylny (na krótki nawet czas wypędził ich ze swych posiadłości we Francji i w 1321 r. z Rzymu). W przypadku jednak poważnego zagrożenia ich życia występował w sposób zdecydowany w ich obronie. Kiedy w 1320 r. ogarnęła Francję kolejna rewolta (krucjata) „pastuszków” — bandy chłopskie przemieszczały się tym razem z północy Francji na południe, pod wodzą dwóch mnichów renegeatów, siejąc terror i spustoszenie, zwłaszcza wśród Żydów — Jan XXII ostro wystąpił przeciwko nim, nakazując biskupom i panom świeckim traktować ich surowo jako bandytów. W styczniu 1321 r. Guyard Gui, sędzia królewski z Tuluzy, zwraca się do papieża z prośbą o absolicję za popełniony grzech: skazanie na śmierć duchownego (*clericus*). Chodzi o niejakiego Raineriusa z Montgeard, z diecezji tuluskiej, który zaczął głosić

pogląd, iż na cześć Boga, Matki Najświętszej i (wspomnianych) „pastuszków” należy wymordować wszystkich Żydów i przejąć ich majątek. Sam „w porywie szaleństwa” zamordował „w okrutny sposób” trzech Żydów mężczyzn i jedną Żydówkę. Postawiony przed sądem, został skazany na śmierć (bez zastosowania jednak tortur) właśnie przez owego sędziego (senesza). Wyrok wykonano. Później okazało się, że skazany był „klerykiem”, a zatem sędzia królewski nie miał prawa go skazać na śmierć. Za ten „grzech” sędzia prosi papieża o absolicję, ponieważ sumienie nie daje mu spokoju. Papież oczywiście przychylił się do prośby senesza.

Drugi przypadek jest jeszcze jaskrawszy. Trzeba wiedzieć, że Jan XXII, niezwykle sprawny organizator, uzdrowił doprowadzone do katastrofalnej sytuacji przez poprzednika finanse kościelne, zostawiając w chwili swej śmierci szkatułę papieską pękającą od złota i klejnotów (mówiło się o bajecznych sumach i kosztownościach). Dokonał tego, rozdzielając beneficja i równocześnie opodatkowując je na przeróżne, wymyślne sposoby. Trzeba pamiętać, że przez kancelarię papieską za jego pontyfikatu przeszło sześćdziesiąt pięć tysięcy próśb o beneficja (wymagało to skądinąd doskonałej organizacji i rzeszy sprawnych sekretarzy i urzędników). Otóż niejaki Odoardus z St. Ferréol, kanonik w Beauvais w północnej Francji, posiadający bardzo lukratywną prebendę, przypomniał sobie po latach (nie wiadomo ilu), że jako dziesięcioletni chłopiec był świadkiem egzekucji Żyda. Skazaniec wisiał na szubienicy głową w dół. Gapie rzucali w niego kamieniami. On też pochwycił duży kamień i uderzył nim Żyda w głowę. Nie jest teraz pewien, pisze do papieża, czy był to cios śmiertelny. Ma jednak wielkie wyrzuty sumienia, bo mógł popełnić grzech, który pozbawiłby go prawa do posiadania prebendy. Prosi zatem papieża o absolicję, żeby mógł w spokoju

sumienia korzystać ze swego beneficjum. Papież przychylił się do jego prośby, bez jakichkolwiek dalszych dociekań.

Warto tutaj wspomnieć, że ten rodzaj kary, wieszanie za nogi głową w dół, nosi nazwę „niemieckiej egzekucji”, ponieważ był praktykowany przede wszystkim w krajach germańskich (przypomina się wiersz Celana *Fuga śmierci* z jego frazą: „Śmierć jest mistrzem z Niemiec”). Była to kara za mniejsze przestępstwa, jak np. kradzież. Bardzo często obok Żyda wieszano także dwa psy łbami do dołu, po to by mogły go jeszcze gryźć. W przypadku bluźnierstwa podwajano okrucieństwo. Wieszano Żyda za nogi głową w dół, oczywiście w towarzystwie psów, i podpalano pod nimi ogień. Podtrzymywanie przez wielu prawników świeckich i kanonistów aż po XVIII wiek nierówności kary w stosunku do Żydów (za to samo przestępstwo) jest wielką plamą na historii prawa w Europie. Trzeba jednak przyznać, że wraz z odkryciem prawa rzymskiego w późnym Średniowieczu coraz częściej domagano się jednakowego traktowania Żydów i chrześcijan. Pomysłowość bowiem Średniowiecza, zwłaszcza we wcześniejszym okresie, była wyjątkowa. I tak prawodawstwo karolińskie przewidywało, że Żydowi, który odważył się pozwać przed sąd chrześcijanina, w czasie gdy ten ostatni składał przysięgę, należało nałożyć na głowę cierniową koronę, związać mu mocno kolana i między udami przeciągnąć różgę z ostrymi kolcami. Czy można się dziwić, że Europa urządziła później Żydom Holokaust?

Nasuwają się dwie konkluzje: Czy nie wypadaloby — po pierwsze — żeby zjednoczona Europa (po wejściu Polski i innych krajów kandydackich do Unii) oczyściła swoje sumienie, „odżegnując” się solennie nie tylko od samego Holokaustu, ale i od tego wszystkiego, co do niego prowadziło? Czy — po wtóre — nie byłoby dobrze, żebyśmy

odbywając w wielkim poście nabożeństwa Drogi Krzyżowej, pomyśleli o tym, jaką „drogę krzyżową” zgotowali Żydom w Europie nasi przodkowie w ciągu wspólnej z nimi dwutysiącletniej historii? By nas nadal nie gryzło sumienie!

marzec 2002

Mój Boże!

Nie wolno się pomylić! Na liście do księdza wikarego piszemy: „Wielebny Ksiądz”. Na liście do księdza proboszcza: „Przewielebny Ksiądz Proboszcz”. Na liście do biskupa: „Najprzewielebniejszy Ksiądz Biskup” (mile widziany jest też dodatek: „Jego Ekscelencja”, a w przypadku kardynała obowiązkowo: „Jego Eminencja”). Oczywiście wewnątrz listu obowiązują odpowiednie formuły grzecznościowe.

A tymczasem do Boga zwracamy się przez „Ty”, posługując się wołaczem, i to gołym („Boże!”), bez „asysty” uświętniających przymiotników czy rzeczowników (tak na przykład w oracjach w Mszaie Rzymskiej). Czy nie powinno być jednak przeciwnie? Wszystkie honory dla Boga, a zero samochwały dla śmiertelników?!

Przypominam sobie pobyt w opactwie trapistów w Engelszell w Austrii, w latach osiemdziesiątych. Któregoś dnia wpada do mego pokoju opat klasztoru, o. Klaus Jansen (w czasie wojny lotnik w armii niemieckiej), i pokazuje mi całostronicową klepsydrę w jednej z niemieckich gazet, informującą o śmierci jednego z biskupów niemieckich. Trzeba tutaj zaznaczyć, że w języku niemieckim nie ma odpowiednika polskiego słowa „ksiądz”. Duchowni są tytułowani przez „pan”, np. „pan proboszcz”, „pan biskup” (ale zwracając się do papieża, pisze się lub mówi: „Ojciec Święty”, „Wasza Świątobliwość”). Podobnie jednak jak w języku polskim, słowo „Pan” służy także na określenie Boga, Chrystusa. Klepsydra zaczynała się od słów: „Pan

powołał do siebie”, po czym następowały szczególnie wyróżnione tłustym drukiem i wielkimi literami słowa: „Najprzewielebniejszego, Najdostojniejszego i Najczcigodniejszego Pana Biskupa” (imię i nazwisko) i mniejszymi literami dalszy tekst. „Popatrz, powiedział do mnie opat, tutaj samo — i to mniejszymi literami — «Pan», a potem wielkimi literami «Pan» z tyloma przymiotnikami”, i pokiwał na znak zdziwienia głową. Dodał przy tym nie bez ironii: „Chyba niełatwo będzie św. Piotrowi «rozpakować» zmarłego z tych wspaniałych przymiotników i posadzić gołego na wadze Bożej sprawiedliwości”.

Zwracanie się do Boga przez „Ty” towarzyszy ludziom chyba od zawsze. Jest ono prawdopodobnie starsze od wszelkich innych ludzkich odkryć, nawet od wynalazku krzesiwa do rozpalania ognia, nie mówiąc już o kole. Tę właśnie formę spotykamy w modlitwach tzw. prymitywnych, ale też i w modlitwach odznaczających się wysokim kunsztem poetyckim, jak na przykład w hymnach egipskich lub greckich. Dopiero jednak w czasach nowożytnych forma modlitewna „Ty” zaczęła być kwestionowana przez niektórych filozofów.

Ludwik Feuerbach (1804–1872), uczeń Hegla, uważał, że zwracając się do Boga przez „Ty”, w rzeczy samej zwracamy się do naszego *alter ego*, odbicia i projekcji naszego ja — z tym tylko, że inwestujemy w owo odbicie wszystko, co w nas jest najlepsze, czyli alienujemy się. Modląc się zatem, modlimy się do nas samych. Feuerbach, konsekwentny ateista, nie mógł mieć innego poglądu na modlitwę w ogóle, skoro uważał, że to nie Bóg stworzył człowieka, tylko człowiek Boga.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w świątyniach sintoistycznych w Japonii odpowiednikiem naszego ołtarza głównego jest zwierciadło. Ale nawet i to nie musi świadczyć o tym, że modlimy się do samych siebie, bo w naszym

własnym obrazie i poprzez niego możemy szukać Rzeczywistości, która powołała nas do istnienia i z którą nie możemy się utożsamiać.

Inny filozof niemiecki, Karl Jaspers (1883–1969), uważał, że zwracanie się przez „Ty” do Absolutu zubaża tenże Absolut, bo go redukuje do bytu osobowego. Wydaje się jednak, że odmawianie Transcendencji charakteru osobowego jest jej prawdziwym zubożeniem.

Karawana ludzi modlących się, a więc zwracających się do Boga przez „Ty”, toruje sobie zwycięsko drogę przez historię, niewiele bacząc nawet na „zasieki” myśli filozoficznej Feuerbachów, Jaspersów czy innych. Rzeczywistość jest silniejsza aniżeli ludzka myśl o niej. „Ty” w odniesieniu do Boga wydaje się być owym tajemniczym kluczem, który otwiera przed nami bezbrzeżne obszary Inności, a równocześnie daje nam uszczęśliwiające przeżycie, że ta Inność jest nam pokrewna, bo odkrywamy w Niej znane nam „kształty” duchowe umysłu i serca. Jest owo „Ty” inne od wszystkich „ty”, ono jedno, jak twierdził Martin Buber, „z wielkiej litery”.

Czy można się dziwić, że u modlących rodzi się potrzeba pójścia dalej? Aż do wołania „mój Boże!” Gdzie ów posiadacz „mój” wcale nie wyraża chęci przywłaszczenia sobie Boga czy woli zawładnięcia Nim, tylko chce być znakiem zawierzenia i miłości. Kotwicą zarzuconą w Boga. Mój Boże!

maj 2001

Nie psujmy najlepszego

Nie dowiemy się najprawdopodobniej nigdy, ile osób w Polsce zmarło w wyniku strajków anestezjologów — bo i kto mógłby nam taki „rachunek” przedstawić. A już z całą pewnością nie dowiemy się nigdy, ile osób wcześniej pożegna się z tym światem, bo zbyt długo czekało na operację, nawet jeśli ona została w końcu przeprowadzona. Nie będziemy też wiedzieć, ilu chorych ludzi zarzuciło w ogóle myśl poddania się operacji wobec ustawicznego chaosu przy stołach operacyjnych. Doprawdy, zawsze wiedzieliśmy, że jesteśmy śmiertelni, ale dopiero teraz zakosztowaliśmy nowego smaku owocu z drzewa zakazanej wiedzy: jesteśmy „bogatsi” o pewność, że gdy śmierć pojawi się u naszych wezglowi, może tam nie być lekarza. Jak mogło dojść do tej bezprecedensowej zapaści w naszej służbie zdrowia?

Horrendalnie niskie wynagrodzenia dla lekarzy i pielęgniarek nie tłumaczą wszystkiego. Ostatecznie jest na świecie kilkadziesiąt krajów, gdzie płace pracowników służby zdrowia są jeszcze niższe, a warunki wykonywania zawodu jeszcze gorsze, i do żadnych „rewolucji” tam nie dochodzi.

Na początku strajków ich rzecznicy i organizatorzy uzasadniali swoje racje dobrem pacjentów: zła aparatura, niedomogi zaplecza materialnego, niedobre warunki pracy, odbijające się źle na zdrowiu osób chorych. Obecnie o tym się już nie mówi. Dziwne! Czyżby chodziło o coś zupełnie innego?

Przyczyna strajku służby zdrowia leży głębiej. Coś musiało się dokonać w umysłach i sercach strajkujących — w ich sumieniach. Ten protest to nie jest tylko krzyk rozpaczy, bicie na alarm, że tak dalej być nie może. Choć trzeba zrozumieć np. głębokie zaniepokojenie reformą zdrowia, zwłaszcza u młodych lekarzy, do których nikt się nie zgłosi, bo są jeszcze mało znani. Pękły postawy etyczne. Pękły cicho, prawie niedostrzegalnie, bo etyki jako takiej się nie widzi, można jedynie odczuć jej brak poprzez skutki. U wielu lekarzy, wydaje się, etyka została zawieszona, czy wręcz przegrała, pod naporem pospolitego ruszenia „na kasę”, jakie obserwuje się obecnie w wielu środowiskach w Polsce (wystarczy przyjrzeć się przykładowi samorządowców, gdzie występują tragikomiczne przypadki, iż podrzędni urzędnicy pozwalają sobie przydzielić gáže większe od poborów osób sprawujących najwyższe urzędy w państwie).

Powołanie

Z powyższych uwag nie wynika wcale, że o pieniądzu w zawodzie lekarskim nie powinno się mówić. Pieniądz towarzyszył medycynie nawet wtedy, gdy była ona praktykowana przy świątyniach, jak np. w starożytnej Grecji. Niejaki Phalysius, uzdrowiony w cudowny sposób przez Asklepiosa, nie miał najmniejszych wątpliwości, że odzyskał wzrok: pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był rachunek, opiewający na zawrotną sumę dwóch tysięcy złotych staterów, za cudowne uzdrowienie.

W przeszłości lekarz był postrzegany jako ktoś, kto pełni posługę, pracuje z powołania, a nie jako ktoś, kto wykonuje wyuczony zawód. Ta forma swoistej „sakralności”, w jaką wtłoczony był lekarz, oznaczała przede wszyst-

kim większe bezpieczeństwo dla pacjentów. Bo jeśli ktoś pracuje z powołania, to można od niego żądać poświęcenia bez granic. Materialnie lekarze nie wychodzili na tym najgorzej. Galen (zm. ok. 200 r. po Chr.), bezdyskusyjny — wówczas i przez długie jeszcze wieki — autorytet w medycynie, twierdził, że nigdy nie żądał pieniędzy za swe usługi medyczne, przyznał się jednak kiedyś, że otrzymał w darze od małżonka, któremu uleczył żonę, ogromną sumę czterystu złotych monet.

Dzisiaj jesteśmy świadkami daleko idącej „sekularyzacji” medycyny i zawodu lekarza. Ktoś powiedział, że medycynę i lekarzy zaczęto traktować na serio, gdy ci ostatni zaczęli ubierać się normalnie (w Średniowieczu lekarza obowiązywał specjalny strój, podobny do „egzotycznych” ubiorów niektórych dygnitarzy w parlamencie angielskim). Bogu dzięki, system płacowy w lecznictwie funkcjonuje dzisiaj na nowoczesnych zasadach, jak we wszystkich innych zawodach. „Co łaska” wyparte zostało przez przejrzyste cenniki (czy całkowicie przejrzyste, to już jest inna kwestia; być może, że „niedostrzegalność” posługi anestezjologa w porównaniu np. z dobrą „widzialnością” pracy chirurga pozbawia tego pierwszego dobrodziejstw ludzkiej wdzięczności). Lekarz obecnie jest już mniej postrzegany jako „kapłan”, a bardziej jako fachowiec. Czy jednak w tym nowoczesnym obrazie lekarza nie ma już miejsca na jego poświęcenie się swemu powołaniu? Czy lekarze dzisiaj mogą zawiesić przysięgę Hipokratesa (pierwszy autor starożytny, który o niej wspomina, to Scribonius Largus, ok. 30 r. po Chr., choć sam Hipokrates żył na przełomie V i IV wieku przed Chr.), która każe im pomagać, a nie szkodzić, ratować życie, a nie zabijać? I tutaj dochodzimy do sedna sprawy: dlaczego lekarze nie powinni strajkować? Wszystkie grupy zawodowe mogą strajkować, tylko lekarze nie mogą. Dla żadnej innej grupy

zawodowej człowiek nie jest takim „warsztatem” pracy, jak dla lekarzy. Nikt nie wnika w człowieka tak głęboko jak lekarz. Lekarz pracuje, po pierwsze, na żywym ciele ludzkim. Pracuje, po wtóre, na owym żywym organizmie w okolicznościach szczególnych: kiedy jest on zagrożony. Każdy kłopot zdrowotny uderza w życie człowieka: albo w jego jakość, albo w jego trwanie, a często w jedno i drugie równocześnie. Dlatego lekarz strajkujący, który odmawia pomocy, staje po stronie wrogiej życiu. Tutaj tkwi sedno niemoralności tej postawy. Bo wszystko, co jest przeciw życiu, jest nieetyczne, niemoralne.

Służba

Tak naprawdę to my nie wiemy ostatecznie, dlaczego mamy się poświęcać dla drugich, dlaczego mamy narażać swoje zdrowie i życie na szwank z powodu innych ludzi. Wierzący usiłują tę postawę służby i poświęcenia uzasadnić przykazaniami Bożymi, autorytetem samego Boga. Niewierzący uzasadniają ją inaczej. Ale wszyscy jesteśmy w tej kwestii trochę bezradni. Nasze rozumowania i uzasadnienia są bardzo kruche. Na szczęście nie zastanawiamy się nad tym wiele, gdy zachodzi potrzeba pomocy. Bywa, że sami angażujemy się, poświęcamy. Potrafimy nawet ryzykować swoje życie dla drugich. Nasze kruche „tak trzeba” zanosimy pod jeden adres. Sądzimy, że pod tym adresem owa kruchość znajdzie pewne oparcie. Tego oczekujemy od lekarzy, pielęgniarek, całej służby (!) zdrowia. Mają tak postępować, jak my sami często nie jesteśmy w stanie. Obarczamy ich misją strzeżenia tej wartości. I wiemy, że jej będą strzegli nawet w sytuacji dla nich najtrudniejszej, bo najbardziej upokarzającej, gdy ich służba i poświęcenie z winy państwa nie są odpowiednio

wynagradzane i nie cieszą się uznaniem i prestiżem, na jakie zasługują.

Państwo powinno szczególnie dbać o wartości, bez których społeczeństwo nie może dobrze funkcjonować. Nie można do służby zdrowia przykładać tej samej miary co do jakiegokolwiek bądź sektora życia publicznego. Wszystko inne da się odrobić: nawet straty w nauce, nie mówiąc już o stratach w gospodarce. Trudno będzie jednak odrobić stracone zaufanie do tych, którzy przez swą posługę mają ucieleśniać najwyższe ideały etyczne. Mówi łacińskie przysłowie: *Corruptio optimi pessima* („zepsucie najlepszego jest najgorsze w skutkach”).

luty 1999

Przed świątyniami pogańskimi nie było żebraków

Ilu ludzi w Polsce zamarzło tej zimy? Ponoć już ponad dwustu. Zresztą na próżno szukać w naszych mediach dokładnych danych na ten temat. Milczenie ze wstydu? Z poczucia winy? Zwykła znieczulica? Wystarczy powiedzieć, że ani władze, ani Kościół w naszym kraju nie mają woli, a może i odwagi, by temu problemowi spojrzeć prosto „w oczy”. Wszystko wskazuje na to, że wyjątkowo ostra zima zbierze wielkie „żniwo” śmierci. Ale — pocieszmy się! — za kilka miesięcy nastanie, jak co roku, piękna polska wiosna i o ofiarach przebytej zimy będziemy tyle myśleć, co o „zeszłorocznym śniegu” (a może i jeszcze mniej). Bo kto dzisiaj w Polsce wie, ile ofiar pochłonęła zima 2000/2001, i kogo to martwi?

Znieczulica jest „chorobą” uleczalną. Może ją uleczyć już nawet szczypta wczucia się w biedę i cierpienie drugiego człowieka. Oczywiście trzeba wpierw ową dobroć w swoim sercu wyzwolić, bo ona tam jest. Najskuteczniej przy pomocy szoku. Przykład Francji sprzed prawie pięćdziesięciu lat może być tutaj bardzo pouczający. Gdy podczas wyjątkowo ostrej zimy w 1954 r. zamarzło w Paryżu dziecko, Abbé Pierre w apelu radiowym wezwał ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Francji, by wziął udział w pogrzebie małej ofiary w geście skruchy i ekspiacji za zaniedbania w stosunku do najbiedniejszych. Zaapelował równocześnie do Francuzów o pomoc dla bezdomnych i potrzebujących. I rzeczywiście, minister spraw wewnętrz-

nych wziął udział w pogrzebie dziecka, a rząd francuski rozpoczął niezwłocznie budowę czternastu tysięcy mieszkań dla osób bez dachu nad głową. To właśnie wtedy też Abbé Pierre powołał do życia organizację Emmaus, która uczy najbiedniejszych, jak brać swój los we własne ręce, ale też jak pomagać innym, jeszcze biedniejszym. Warto wspomnieć w tym miejscu, że dziewięćdziesięcioletniego Abbé Pierre'a („Ksiądz Piotr” — w rzeczywistości Henri Grouès — posługiwał się tym pseudonimem jako członek francuskiego ruchu oporu, był wtedy już księdzem, i przy tym imieniu pozostał) wybrano we Francji na „człowieka roku 2001” (prezydent Francji Jacques Chirac uplasował się dopiero na trzydziestym którymś miejscu).

Co by się stało, gdyby proboszcz, u którego w parafii zamarzył człowiek, zaprosił na jego pogrzeb nie tylko ministra spraw wewnętrznych, ale i miejscowego biskupa czy wręcz Prymasa Polski? Może udział tych osób w pogrzebie podziałałby jak zbawienny szok na naszą znieczulicę?

Obecnie w Paryżu nikt nie zamarza. Kloszardzi mają do dyspozycji bardzo wiele miejsc, gdzie mogą się przed zimnem schronić. Gdy temperatura spada poniżej zera, stoją przed nimi otwarte także i... kościoły. Tak, kościoły!

Czy nie można by tego gestu miłosierdzia przeszcześcić znad Sekwany nad Wisłę?

Nie wiem, ilu jest bezdomnych w Krakowie, w mieście, gdzie mieszkam. Wiem tylko, że jest ich więcej aniżeli miejsc w noclegowniach, które stoją do ich dyspozycji. Bardzo wielu z nich szuka schronienia na noc w kanałach ciepłowniczych, czy wręcz w przejściach podziemnych, gdzie układają się do snu na przyniesionych przez siebie tekturowych matach. Tymczasem obok stoi kilkadziesiąt świątyń z zamkniętym w ich murach ciepłem. Czy nie byłoby lepiej i bardziej zgodnie z naszą świętą wiarą chrześcijańską, żeby to ciepło ogrzewało podczas wielkich chło-

dów żywe świątynie Boże, jakimi są przecież ludzie, a nie tylko martwe figury i obrazy w naszych kościołach? Wiem, że taka inicjatywa wymagałaby rozwiązania wielu dodatkowych problemów. Nie trzeba by robić z naszych świątyń hoteli. Nie chodzi też o to, żeby wnosić do kościołów na noc łóżka i materace. Najważniejsze, aby nasze kościoły w czasie wielkich chłódów zostawić całą noc otwarte, oczywiście nie bez pewnego nadzoru, jak też przy zapewnieniu dostępu do sanitariatów. Wszystkie te trudności można pokonać, jeśli się tylko chce. Ostatecznie wiara coś „koszuje”. Wymaga czegoś od swych wyznawców. Największą trudność do pokonania stanowi opór psychiczny, który rodzi się z fałszywego pojęcia sacrum. Trzeba wziąć do ręki — dla przykładu — kazania św. Augustyna, wygłaszane przez niego z okazji rocznicy konsekracji kościołów, by się przekonać, ile wysiłku musiał wkładać, żeby uwrażliwić wiernych i przekonać ich, że to oni są w pierwszym rzędzie żywymi świątyniami Boga, a mury świątyń cieszą się dopiero sakralnością wtórną, podporządkowaną. Notabene zagadnieniu temu u św. Augustyna poświęcił swą rozprawę doktorską prawie pół wieku temu (w 1954) nie kto inny, tylko kard. Joseph Ratzinger, obecny prefekt watykańskiej Kongregacji Doktryny Wiary. Niestety, od czasu Reformacji nastąpiło w Kościele katolickim niebezpieczne przesunięcie akcentu z sakralności żywego człowieka na sakralność murów świątynnych. Zazwyczaj księża wkładają najwięcej serca i wysiłku w upiększanie murów kościołów, o serca ludzkie dbają znacznie mniej.

Kiedy Kościół zagubił troskę o ubogich (chodzi o troskę prawdziwą, a nie tylko o inicjatywy natury „kosmetycznej”)? Gdzie są biskupi, jak św. Bazyle Wielki (IV wiek), Ojciec Kościoła, autor wschodniej reguły zakonnej, który jako biskup w swym rodzinnym mieście, Cezarei Kapadoc-

kiej, każdego ranka rozdawał ubogim pożywną zupę, nad której przygotowaniem czuwał najczęściej osobiście? Od innego wielkiego biskupa z tego okresu, także Ojca Kościoła, św. Jana Chryzostoma, dowiadujemy się, że w atriach, u wejść do świątyń chrześcijańskich, stały nie tylko fontanny lub wielkie misy z wodą, by wierni mogli przed Eucharystią symbolicznie umyć swe ręce, lecz także gromadzili się ubodzy, i to na wyraźne życzenie władz kościelnych. „Umyłeś ręce wodą”, mówił w jednym ze swych kazań biskup Jan, „umyj także jałmużną ręce duszy”! Jakież wspaniałe świadectwo dawała chrześcijanom IV wieku (także i pasterzom Kościoła) skarga cesarza Juliana Apostaty (361–363), że przed świątyniami pogańskimi nie ma żebraków i biednych!

styczeń 2002

Biskup Jan potrzebny od zaraz

Wystarczy niekiedy jedno słowo w tekście, by uruchomić naszą wyobraźnię i wzbudzić w naszym sercu bezgraniczne wręcz współczucie. W piątym kazaniu na temat Księgi Rodzaju Jan, zwany później Chryzostomem (Złotoustym, ok. 349–407), wówczas kapłan i kaznodzieja w swej rodzinnej Antiochii, trzecim co do wielkości mieście Cesarstwa Rzymskiego, podaje, że miejscowi zebracy najgłośniej zawodzą, jęczą i lamentują oraz najbardziej natarczywie wyciągają ręce po jałmużnę „pod wieczór” (*en hespéra*).

Właśnie to wyrażenie „pod wieczór” nadaje informacji Jana dramatyzmu. Zebracy postępują tak, bo jak mówi Jan: „ubodzy, lękając się głodu jak rozbicia okrętu, spieszą się, by zdobyć przed wieczorem parę groszy na zakup jedzenia. W przeciwnym razie, gdy ludzie rozejdą się do swoich domów, oni pozostaną poza portem. Portem dla nich są ich ręce, trzymające datek”.

Niektórzy zebracy, podaje Jan w innym kazaniu, posuwają się nawet do tego, że oślepiają swe własne dzieci, by wymóc na przechodniach obfitszą jałmużnę. Nie da się czytać tak na zimno, chłodnym sercem, wspomnianego na początku kazania. Bogaci antiocheńczycy zasiadają wieczór do suto zastawionych stołów i są zupełnie nieczuli na dochodzące ich z ulicy, w środku nocy, głośnie, nieludzkie wręcz zawodzenia i wołania tych, którzy nie mają kawałka chleba na zaspokojenie głodu. W szczególnie ostrych słowach Jan piętnuje obłudę religijną pobożnych: „Los ubogich ani nas ziębi, ani grzeje. Owszem, mimo tak nie-

ludzkiej postawy mamy jeszcze czelność podnosić ku Niebu ręce i przypominać Bogu słowa o Jego miłosierdziu, nie bojąc się, że po takiej modlitwie z powodu naszego okrucieństwa i braku człowieczeństwa powinien w nas uderzyć piorun”.

Czy Jan przesadził? Nie! Jedno ze swych arcydzieł oratorskich, kazanie o jałmużnie, wygłosił spontanicznie, kiedy idąc w porze zimowej ze swego domu do kościoła, natknął się na leżących na ulicy, półżywych żebraków. Powiedział wtedy, że czuje się „ambasadorem” zebrzących, mianowanym przez nich nie „słowami czy dekretami pisanymi, lecz przez sam widok ich straszliwego cierpienia”. Według Jana, liczba ubogich w obydwu miastach, gdzie „duszpasterzował”, była bardzo wysoka. W Antiochii stanowili oni jedną dziesiątą mieszkańców, czyli dwadzieścia pięć tysięcy, a w Konstantynopolu, stolicy Wschodniego Cesarstwa, więcej, bo aż pięćdziesiąt tysięcy.

Właśnie wybór Jana na biskupa stolicy w 398 r. sprawił, że mógł on teraz występować w obronie ubogich nie tylko słowem, ale także w pewnej mierze — czynem. Od razu zniósł zwyczaj urządzania wystawnych przyjęć, które jego poprzednicy regularnie wydawali na cześć miejscowych notabli. Sam spożywał posiłek raz dziennie, wieczorem. Targnął się nawet na swój pałac biskupi, który jego poprzednik po pożarze w 388 r. tak rozbudował, iż rywalizował teraz z pałacem cesarskim. Biskup Jan polecił m.in. sprzedać kolumny z cennego marmuru i pieniądze przeznaczył na rzecz ubogich. Nadal piętnował w swoich kazaniach przepych i skąpstwo bogaczy, co walczyło się do tego, iż po kilku latach pasterzowania został skazany definitywnie na wygnanie aż w poblizę Armenii, gdzie zmarł.

Nie głosił idei rewolucyjnych. Rozwiązanie problemu ubóstwa widział w jałmużnie, choć jałmużna wtedy ozna-

czała coś innego niż dzisiaj, bo obowiązywała ze sprawiedliwości (podobnie jak teraz podatek). Potrafił używać ciętego języka. Tłumaczył na przykład, że gdyby w jakimś mieście zgromadzić tylko samych bogatych, umarliby wszyscy z głodu. Gdyby natomiast zgromadzić w nim samych biednych, na pewno by jakoś przeżyli. Wniosek z tego: bogaci żyją „bogato” tylko dzięki wyzyskiwaniu biednych. Niezwykłym rozczarowaniem dla biskupa Jana był upadek jego przedsięwzięcia: budowy schroniska i szpitala dla trędowatych, poza miastem, „w okolicy bardzo zdrowej”. Bogaci sprzeciwili się budowie i co więcej, przywłaszczyli sobie zebrane przez biskupa Jana na ten cel fundusze.

Szkoda, że chrześcijaństwo nie poszło od samego początku bardziej zdecydowanie w kierunku miłości bliźniego, tylko położyło nacisk na „klucze”, czyli na władzę i mechanizmy jej utrzymania. Biskup Jan wkłada Chrystusowi w usta takie oto słowa: „Stać mnie na to, by się wyżywić samemu, wolę jednak pędzić życie zebracze, wyciągać rękę przed Twymi drzwiami i być żywiony przez Ciebie. Robię to z miłości ku Tobie”.

Jestem przekonany, że gdyby biskup Jan żył dzisiaj w Polsce, mielibyśmy zamiast monstrualnej bazyliki w Licheniu fundację stypendialną dla dzieci z byłych pegeerów. Zamiast sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie budowałibyśmy Zakład Helców nr 2 i zamiast o pomniki Papieża, w których ani on, ani Pan Bóg nie mają upodobania, zadbalibyśmy o darmowe katechizmy i Pismo Święte dla dzieci z ubogich rodzin.

Zaiste, biskup Jan potrzebny od zaraz!

czerwiec 2001

Przerost liści

Zwięzłe słowo nie zawsze jest przyjacielem jasności myśli. Tak było, jak sądzę, w przypadku moich dwu sformułowań, zawartych w rozdziale *Biskup Jan potrzebny od zaraz*: „Jestem przekonany, że gdyby biskup Jan żył dzisiaj w Polsce, mielibyśmy zamiast monstrualnej bazyliki w Licheniu fundację stypendialną dla dzieci z byłych pegeerów. Zamiast sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie budowałibyśmy Zakład Helców nr 2...” Wiem, że te dwa zdania zabolowały wielu czytelników, choć wyznać muszę, że otrzymałem także od pewnego bardzo czcigodnego kapłana z Krakowa, budowniczego świątyni w tym mieście i współinicjatora wielkiego dzieła miłosierdzia, kartkę z następującymi słowami: „Muszę powiedzieć, że w [...] *Bp Jan potrzebny od zaraz* napisał Ojciec najprawdziwszą prawdę”.

Myliliby się ten, kto by sądził, że zarzucam Kościołowi w Polsce, iż niewiele lub prawie nic nie robi na polu charytatywnym. Wprost przeciwnie. Uważam, że każda diecezja mogłaby podać długą, niekiedy bardzo długą, listę dzieł miłosierdzia, które prowadzi (niestety, trudno by mi było powiedzieć to samo o wszystkich zakonach i zgromadzeniach zakonnych męskich). Problem polega na tym, czy działalność charytatywna Kościoła daje temuż Kościołowi wystarczający tytuł do tego, żeby mógł on z czystym sercem angażować się w budowę wielce kosztownych świątyń. Innymi słowy, czy wolno ludziom Kościoła rozumować

w ten sposób: ponieważ bardzo dużo robimy na polu charytatywnym, niech nam będzie wolno inwestować także okazałe środki materialne w okazałe budowle sakralne. Mam tutaj pewne wątpliwości. I miałbym te wątpliwości nawet wtedy, gdybyśmy byli krajem tak zamożnym jak Kuwejt i o tak niskim zapotrzebowaniu na instytucje charytatywne jak państwo watykańskie.

Zarzucono mi, że występuję przeciw sanktuariom. Jest to drugie nieporozumienie, wynikłe z lakoniczności moich sformułowań. Trzeba by rzeczywiście zagubić całkowicie więź z Kościołem, żeby występować przeciw sanktuariom jako takim. Są one nie tylko miejscami kultu Bożego, ale równocześnie „szkołami” wychowującymi ludzi do wiary, w tym również do czynnej miłości bliźniego (także do hojności na cele charytatywne). Wydaje mi się jednak, że wielkie, okazałe, a co za tym idzie, bardzo kosztowne świątynie, które budujemy przy istniejących już sanktuariach, „zabijają” ducha tychże sanktuariów. Po prostu jakby „wyparował” z nich Boży *genius loci*. Dam dwa przykłady: jeden pozytywny i jeden negatywny.

Pozytywny. Największe sanktuarium maryjne w Niemczech, w Altötting, do którego pielgrzymuje rocznie grubo ponad milion wiernych, zachowało, moim zdaniem, swoją duchową siłę przyciągania dzięki temu, że nie popełniono błędu budowy wielkiej bazyliki dla łaskami słynącej figurki Matki Bożej z Dzieciątkiem (początek XIV wieku). Sanktuarium położone jest na głównym placu miasteczka i nie jest większe od kościółka św. Wojciecha na Rynku krakowskim. W ciągu wieków pobudowano w Altötting kilka kościołów, w których pielgrzymi spowiadają się i organizują swoje grupowe nabożeństwa. W święta maryjne na placu przy sanktuarium odbywają się wielkie procesje, niezależnie od pogody (przemoknięcie, zimno, skwar należą do trudów pielgrzymich).

Przykład negatywny. Znam kilka sanktuariów, gdzie łaskami słynące obrazy lub figury przeniesiono do nowo wybudowanych okazałych świątyń. Wierni odchodzą teraz od tych sanktuariów. Nie odnajdują w nich tego, co znajdowali przedtem, często w ubogich, skromnych, drewnianych kościółkach.

Boleję nad brakiem wyobraźni duszpasterskiej i religijnej u niektórych ludzi Kościoła. Czy zamiast wielkiej bazyliki Miłosierdzia Bożego w Krakowie (wyjątkowo brzydki kościół: wieża jak nadpalony papieros, a bryła świątyni jak dziób okrętu czy hangar na samoloty) nie mogło powstać wokół istniejącego sanktuarium Miasto Miłosierdzia, zabudowane nie tyle klasycznymi instytucjami charytatywnymi, ile nowymi, jak pawilony-schroniska dla bitych przez małżonków kobiet czy maltretowanych przez rodziców dzieci, dla narkomanów, bezdomnych itp.? Powstaje w Krakowie dzielnica Nowe Miasto. Czy Łagiewniki-sanktuarium, Miasto Miłosierdzia, nie mogłoby być wspaniałym akcentem chrześcijańskim w mieście Jana Pawła II? Jeśli idzie o bazylikę w Licheniu, to koszt utrzymania tej „faraońskiej” budowli będzie tak wielki (i z biegiem lat będzie tylko rósł), że „pożre” wszelką ofiarność wiernych, a na planowane dzieła miłosierdzia przy sanktuarium zostanie niewiele środków. Obym był fałszywym prorokiem!

Jestem przekonany, że budowniczowie jednego i drugiego sanktuarium kierują się zbożną intencją. Chodzi im tylko o wzrost chwały Bożej i o wyjście naprzeciw ludziom szukającym Boga. Czy jednak droga, którą obrali, wiedzie do celu? Dla religii najgroźniejszą rzeczą jest przerost formy nad treścią, tak jak dla winnego krzewu rzeczą katastrofalną jest przerost liści.

„Kamienowanie” Papieża

Spodobało mi się wyrażenie, które wyczytałem w jednym z czasopism, że Polacy tak bardzo kochają Ojca Świętego, iż go „kamieniują” na potęgę, tzn. prześcigają się w budowaniu mu pomników (w domyśle: z kamienia — choć tak naprawdę większość pomników papieskich w Polsce to są odlewy z metali). Dowcipna gra słów. Rzecz sama w sobie nie jest jednak pozbawiona pewnej grozy. Widać bowiem, jak powoli parafie (a nawet diecezje) zaczynają się dzielić na te, które bardziej Papieża kochają i stawiają mu pomniki, i te, które wydają się Papieża mniej kochać, bo mu pomników nie budują. Niemały wkład w ten „wyścig” mają katolickie środki przekazu, które podawaniem najnowszych statystyk i za pomocą małego słowa „już” zachęcają do współzawodnictwa: „już” mamy tyle a tyle papieskich pomników!

Miałbym niezawodny środek leczniczy na tę narodo-wo-kościelną pomnikową gorączkę. Broń Boże, nie zakazywałbym stawiania pomników (chyba że byłbym Papieżem). Wprowadziłbym tylko pewne kryterium: które parafie mogą Ojcu Świętemu stawiać pomnik, a które tego przywileju by nie miały. Moje kryterium jest całkiem proste: pozwoliłbym stawiać pomniki tylko tym parafiom, w których kościoły mają podjazd pochyły, umożliwiający niepełnosprawnym na wózkach inwalidzkich dostęp do świątyni — plus drugi warunek: przynajmniej jedno wejście do kościoła z drzwiami wahadłowymi, które niepeł-

nosprawna osoba mogłaby otworzyć samym pchnięciem. Ciekaw jestem, ile kościołów katedralnych w Polsce, które powinny być wzorami dla wszystkich świątyń w diecezji, posiada te, chyba niewielkie, udogodnienia dla niepełnosprawnych.

Ileż więcej troski o człowieka dostrzega się choćby na autostradach zachodnich (a więc w krajach okrzyczanych przez niektóre media katolickie w Polsce jako hołdujące „cywilizacji śmierci”). Tam wszystkie pomieszczenia toaletowe wyposażone są w specjalną kabinę dla niepełnosprawnych: bezprogowy wjazd, drzwi otwierane przez pchnięcie wózkiem, możliwość umycia rąk bez potrzeby uruchamiania ręką kurka wodnego...

Zobowiązany jestem czytelnikowi wyznać jeden z powodów, dlaczego mam dystans do wszelkich inicjatyw związanych z budową pomników (także i dla papieży). Nigdzie przemijalność tego świata nie jest bardziej widoczna niż na przykładzie pomników. Nie dlatego, że przed dziesięciu laty poburzone zostały pomniki, które miały trwać wiecznie. Z rzymskich pomników z okresu starożytności ocalał tylko jeden, spiżowy, a mianowicie pomnik cesarza Marka Aureliusza na koniu, który stoi teraz na Kapitolu. Nie przetopiono go, bo sądzono, iż przedstawia Konstantyna Wielkiego, który chrześcijanom dał wolność. Może dlatego Rzym, bogaty w tę naukę z historii, jest tak ubogi na swych ulicach i placach w pomniki papieskie.

sierpień 1999

Pocałunek Boga

Pewien młodzieniec — jak podaje mnich cysterski z XII/XIII wieku, Cezary z Heisterbach — pragnąc zostać rycerzem, zaciągnął się w służbę u bogatego suzerena. Zamieszkał w jego domu, traktowany jak jeden z członków rodziny. Młodzieniec był bardzo cnotliwy, czego nie omieszkął podkreślić z naciskiem mnich Cezary. Ale właśnie dlatego stał się celem kusicielskich ataków ze strony diabła. Młody rycerz „za przyczyną nienawistnego (sobie) diabła” zakochał się na umór w żonie swego pana. Warto tutaj zwrócić uwagę, mimo całego okrucieństwa, jakie panowało w Średniowieczu, na pewien rys humanitarny tej epoki, często zapoznany. Wszystko zło, którego dopuszczali się wówczas ludzie, dokonywało się również i „za poduszczeniem szatańskim”. Nie zdejmowało to wprawdzie odpowiedzialności ze sprawcy złego czynu, ale było postrzegane przez postronnych, a zwłaszcza przez sędziów, jako okoliczność łagodząca. Dzisiaj stoimy wobec naszej winy sami. „Poduszczenia diabelskie” nie są już w ogóle brane pod uwagę, nawet przez sądy kościelne, łącznie z papieskimi. Nasz młodzieniec, po roku wielkich cierpień i zmagañ z namiętnością, zdobył się na odwagę godną kandydata na rycerza. Wyznał wprost swoją miłosną pasję osobie „zainteresowanej”, czyli żonie swego pana. Niestety, niewiasta okazała się bardziej cnotliwa niż przypuszczał. Nie przejawiała najmniejszego przyzwolenia ani ochoty na miłosną przygodę z młodzieńcem. Aliści odmowa damy tylko spotęgowała

jeszcze miłość młodego rycerza do niej. W swej rozterce młodzieniec udał się do pewnego pustelnika, który był jego doradcą w sprawach duchowych, i poprosił go o radę, a w zasadzie tylko o to jedno, jak mógłby dopiąć celu. „Tylko taki masz kłopot?!” — zdziwił się pustelnik. I poradził mu, że zamiar swój osiągnie, jeśli przez cały rok — w miarę możliwości — będzie odmawiał do Matki Boskiej w pobliskim kościele sto *Zdrowaś Maryjo*. Młodzieniec zrobił, co mu pustelnik polecił. Gorliwie odmawiał zdrowaśki i liczył czas. Kiedy nadszedł ostatni dzień, cały podniecony, dosiadł konia i pojechał na modlitwę do kościoła. Po jej odmówieniu, wychodząc ze świątyni, zobaczył — o dziwo! — jak jakaś nieznana niewiasta, której „uroda przewyższała wszelkie ludzkie piękno”, trzyma jego konia za uzdę. „Czy ci się podoba mój wygląd?” zapytała niewiasta bez ogródek młodzieńca. Ten, urzeczony jej urodą, odpowiedział: „Nigdy nie widziałem w życiu piękniejszej kobiety od ciebie!” „Czy by ci to wystarczyło, gdybyś mnie miał za żonę, czy też nie?” — zapytała prosto z mostu. Na takie *dictum* młody człowiek sięgnął po najwyższy wówczas komplement (jesteśmy w czasach głębokiego feudalizmu!), a zarazem i szczere z jego strony wyznanie: „Twoja uroda, pani, spodobałaby się każdemu królowi na ziemi. Wszyscy uważaliby się za szczęśliwych, mogąc przebywać w twoim towarzystwie”. Reakcja niewiasty była natychmiastowa: „Będę twoją żoną! Zbliź się do mnie i pocałuj mnie!” Młodzieniec spełnił jej oraz (jak się można domyślać) swoje najgorętsze życzenie i pocałował ją. Z dalszej rozmowy między dwojgiem „zaręczonych” wynikało, że ową niewiastą była sama Matka Boża, we własnej osobie. Pocałunek Maryi uwolnił młodego rycerza całkowicie od niemożliwej miłości do małżonki suzerena. Był to pocałunek Maryi? Nie! To był pocałunek samego Boga!

Seksualność jest siłą kosmiczną, tak mocną i powszechną jak siła przyciągania ziemskiego. Zaprogramował ją i stworzył sam Bóg. Użyta dobrze, jest źródłem szczęścia i radości. Używana źle, może zniszczyć każdego. Zamienia się wtedy w siłę demoniczną. A nie użyta wcale? Czy jest to możliwe, by jej nie używać? Czy można w ogóle jej się oprzeć? Tak! Pod warunkiem, że przeciwstawi się jej inna, ponadkosmiczna „siła”, Chrystusa, miłość do Niego. Odnosi się to w szczególny sposób do katolików i katoliczek, którzy składają ślub lub przyrzeczenie czystości. Nie mówię tutaj o celibatariuszach i celibatariuszkach innych wyznań, czy też o osobach niewierzących, jako że nie są mi dostępne ich doświadczenia i przeżycia duchowe. Miłość do Chrystusa nie zawsze musi przyjmować formy „uczuciowe” (choć i tak może być). Może i powinna się objawiać przede wszystkim wiernością w modlitwie, znoszeniem cierpień i w szczególny sposób miłością do bliźnich, zwłaszcza biednych i tych wszystkich, których nikt nie kocha. Osoby Bogu poświęcone powinny być znakami powszechnej miłości Boga do ludzi, która sprawia, że słońce świeci nad dobrymi i złymi. Nie sądzę, żeby celibat mógł „bezkolizyjnie” współistnieć ze stylem życia konsumpcyjnym u jednej i tej samej osoby. Brat Egidiusz, jeden z pierwszych towarzyszy św. Franciszka z Asyżu, gorący orędownik surowości reguły franciszkańskiej, gdy go oprowadzono po nowo, przy grobie Świętego, wybudowanym klasztorze, po zwiedzeniu budowli (imponuje nam nawet dzisiaj swoją okazałością!) powiedział, zwracając się do współbraci: „A zatem macie już wszystko! Brak wam tylko jeszcze żon!” I faktycznie. Znam kraj, gdzie duchowni pobierają stosunkowo wysokie pensje, tak jak wyżsi urzędnicy państwowi (oczywiście w tym kraju). Mogą sobie zatem pozwolić na dostatni tenor życia, łącznie z podróżami do odległych krajów. U siebie dysponują wszyst-

kimi dobrodziejstwami cywilizacji. Pytam, jakiej siły ducha potrzeba, żeby przy takiej „ofercie” nie popaść całkowicie w styl życia konsumpcyjny i nie ulec pokusom, o których bratu Egidiuszowi wręcz się nie śniło?

Kościół w Polsce uratują nie obchody, wielkie programy, czy nawet (aż strach powiedzieć!) papieskie wizyty. Uratuje go siła i jakość miłości do Chrystusa w sercach Jego wiernych, zwłaszcza tych, którzy się oddają Bogu całkowicie na Jego służbę. Skarżył się przede mną jeden z seminarzystów, że młodzi adepci kapłaństwa w czasie posiłków rozmawiają tylko o samochodach, o karierze i o tym, które parafie są „najlepsze”, czytaj: najbogatsze (nie biorę tego młodym ludziom za złe, jako że przykład idzie z góry). Wszelkie reformy w Kościele na przestrzeni jego dwutysiącletniej historii zaczynały się od ubóstwa: od miłości do Chrystusa ubogiego, przejawiającej się przede wszystkim miłością do tych, dla których nikt nie ma czasu, którym nikt się nie kłania, którzy nic nie znaczą. Uratuje Kościół w Polsce całkowite zawierzenie się owej ponadkosmicznej sile, jaką jest Chrystus. Ona jedna jedyna wyposaży go w odporność na wszelkie pokusy tego świata. Ustrzeże przed nimi zwłaszcza tych, którzy piszą się na szczególną służbę Bogu i bliźnim: biskupów, kapłanów, zakonników, zakonnice, a także inne osoby życia konsekrowanego. Muszą oni wszyscy jednak wpierw otworzyć się na miłość do Chrystusa. Potrzebny jest pocałunek Boga!

marzec 2002

Miecz Damoklesa

Miałem kolegę, przyjaciela, nie-Polaka. Jego rodzice rozwiedli się przed wojną, a potem w czasie zawieruchy wojennej obydwójce zginęli. Mój kolega jako kilkunastoletni chłopiec natknął się w piwnicy rodzinnego domu na papiery rozwodowe rodziców. Doznał szoku. Rodzice rozeszli się z jego powodu, zanim zdążył się narodzić. Jedno z rodziców chciało, żeby dziecko nie zobaczyło światła dziennego. Drugie broniło jego życia. Szok, który mój kolega wtedy przeżył, trwa do dzisiaj, oczywiście z różnym nasileniem. Wiele razy słyszałem z jego ust, zwłaszcza w sytuacjach niepowodzeń i trudności, że przecież on nie powinien żyć, że pisana mu była jako żywo śmierć, że szkoda, iż w ogóle przyszedł na świat. Co dziwniejsze: raz miał żal do rodzica, który chciał go zabić, innym razem do tego, który go ocalił. Kiedyś wyznał mi: „Wiesz, czuję się jak wisielec, który się urwał ze sznura i uciekł spod szubienicy, ścigany przez kata”.

Przykład odwrotny (proszę mi wybaczyć, że będę mówił o sobie i moich rodzicach). Moi rodzice byli bardzo biedni. Pamiętam, wiele razy byłem głodny. Było nas sześćoro rodzeństwa (dwoje zmarło w wieku niemowlęcym). Gdy moja mama była już śmiertelnie chora (umarła, mając pięćdziesiąt dwa lata), mogłem odwiedzić po raz pierwszy dom rodzinny po dziewięciu latach od wstąpienia do zakonu. Studiowałem wtedy teologię w Warszawie. Byłem już dojrzałym dwudziestotrzylatkiem, półtora roku przed

święceniami kapłańskimi. Pozwolono mi pozostać u chorej mamy przez cztery dni (zmarła w kilka dni po moim wyjeździe). Prowadziliśmy rozmowy na różne tematy, także o życiu wiecznym, trochę jak św. Augustyn ze swoją umierającą matką w Ostii. Zapytałem mamę wprost, czy byłem dzieckiem chcianym. Uśmiechnęła się zamiast odpowiedzi. Usłyszałem natomiast od niej dziwne i zarazem piękne wyznanie: w dniu ślubu, w kościele, prosiła Boga o światło i pomoc w „planowaniu” rodziny (nie chciała być jedną z kobiet, które miały — jak to często wówczas bywało — po kilkanaścioro dzieci). Równocześnie jednak powiedziała mi, że przyrzekła wtedy Bogu, iż każde życie w swoim łonie przyjmie jako dar od Niego. Mogę szczerze powiedzieć, że nigdy w życiu nie doświadczałem rozterek i załamań, jak mój kolega: po co przyszedłem na ten świat i czy nie lepiej byłoby, żebym w ogóle nań nie przychodził. Sądzę, że zawdzięczam to temu, iż w żadnym momencie moje życie przed narodzeniem, w moim domu rodzinnym, nie było zagrożone.

Bogu dzięki, przeważa na świecie liczba tych, którzy narodzili się, bo zostali zaakceptowani przez rodziców jako „dar Boży” czy zrządzenie losu. Co będzie jednak, gdy wraz ze wzrostem zastosowania diagnostyki prenatalnej i wraz z „postępem” inżynierii ludzkiej wszyscy ludzie na świecie, zanim się narodzą, będą musieli przejść przed „trybunałem” rodzicielsko-medycznym, który orzeknie o ich prawie do życia? Nie wiem, jakie to będzie pokolenie. Jakie będzie mieć ono poczucie wartości życia? Jakim szacunkiem będzie darzyć życie innych, a także swoje własne życie? Już teraz jesteśmy świadkami procesów na Zachodzie, wytoczonych przeciw rodzicom przez ich własne dzieci, niezadowolone z jakości swego życia.

Dzisiejsze państwo w krajach tzw. „cywilizowanych”, które stawiamy sobie za wzór, skapitulowało na najważ-

niejszym odcinku życia ludzkiego, bo w jego fazie początkowej, podczas pierwszych trzech miesięcy. Państwa „cywilizowane”, których zadaniem powinna być ochrona życia ludzkiego od chwili poczęcia aż po naturalną śmierć, zdają się mówić: „Kochani! Jak się wam uda przeżyć pierwsze trzy miesiące waszego życia, to potem możecie liczyć na nas. Będziemy was bronić wszelkimi dostępnymi środkami. Prawem i jeśli zajdzie potrzeba — orężem. Wybaczcie, ale będziemy to mogli zrobić dla was dopiero wtedy”. Jakże wspaniały jest sposób liczenia ludzkiego wieku w buddyjskiej Korei Południowej — nie od chwili narodzin, lecz od chwili poczęcia!

Scenariusz na przyszłość jest, niestety, jeszcze czarniejszy. Wszystko wskazuje na to, że drugim okresem nie chronionym przez państwo będzie krańcowy etap życia ludzkiego: starość lub przypadek nieuleczalnej choroby. Prawodawstwo niektórych krajów zachodnich mocno nad tym pracuje. Mówił mi pewien ksiądz z diecezji akwizgrańskiej w Niemczech, że ilość zgłoszeń z Holandii do domów starców prowadzonych przez siostry zakonne po stronie niemieckiej wzrasta w niesłychanym tempie. Ja sam, na podstawie moich doświadczeń duszpasterskich w Niemczech, odnotowuję gwałtowny przyrost u ludzi starych i chorych gotowości „cichego” odejścia z tego świata, by nie być nikomu ciężarem, zwłaszcza dzieciom i rodzinie. Już teraz procent pogrzebów „anonimowych” jest bardzo wysoki, zwłaszcza w Niemczech północnych. Polegają one na tym, że zainteresowani składają notarialną deklarację, iż po swej śmierci chcą być spaleni „bez śladu”. Nikt, nawet najbliżsi, nie może wiedzieć ani prawie dochodzić, kiedy odbyła się ich kremacja i gdzie zostały rozsypane prochy. Gdy rozmawiałem z osobami, które były sygnatariuszami takich kontraktów, prawie wszystkie podawały jako rację to jedno, że nie chcą swoim najbliż-

szym sprawiać kłopotu troską o grób lub urnę z prochami na cmentarzu.

Jest to przerażający dramat cywilizacji współczesnej: może się ona pochwalić cudownymi osiągnięciami i równocześnie hołdować degeneracjom, które w tej skali dotychczas nie występowały. Jedną z nich jest właśnie fakt, że największym potencjalnym zagrożeniem dla rozwijającego się życia ludzkiego jest nie kto inny, tylko właśnie matka. Nie chcę przez to stwierdzenie kłaść cienia na wszystkie bez różnicy matki ani rzucać kamieniem na te, które mają na swym sumieniu grzech przeciw życiu własnych dzieci. (Wiemy aż nadto dobrze, jaką tragiczną rolę odgrywają tutaj niektórzy ojcowie czy mężczyźni w ogóle — kobiety bywają zwykle ich ofiarami). Stwierdzam tylko fakt: jeśli dziecko przeżyje w łonie matki pierwsze trzy miesiące, może dopiero wtedy wydać z siebie westchnienie ulgi: „Uf! Udało się! Są szanse, że ujrzę światło dzienne”.

Gdyby mnie ktoś zapytał, po czyjej jestem stronie, jeśli idzie o życie ludzkie, odpowiedziałbym bez wahania: jestem po stronie młodych, którzy cieszą się życiem i często tę radość celebrują! To, że memu życiu w pierwszych trzech miesiącach ani nigdy potem nic nie groziło ze strony bliskich, nie zwalnia mnie od obrony zagrożonych (to tak, jakby ktoś powiedział: ja osobiście nie myślę posiadać niewolników, ale jeśli ktoś chce ich mieć, to proszę bardzo, mnie to wcale nie przeszkadza). Chciałbym, żeby nad żadnym poczętym dzieckiem nigdy nie wisiał miecz Damoklesa.

marzec 2002

Grzech zaniedbania

Tego jeszcze brakowało! Łzy w „prezencie” na moje urodziny. W przeddzień mego święta przyszła do mnie nieznajoma młoda kobieta, cała we łzach. Nie wiedziała nic o mojej rocznicy. Czysty przypadek? Nie! Bo „przypadki” to *incognito* Boże. Trzymała w ręku tegoroczny jedenasty numer „Tygodnika Powszechnego”. Od razu domyśliłem się, co ją do mnie sprowadziło. Opublikowałem w tym numerze mały tekst przeciw aborcji, pt. *Miecz Damoklesa*. Wyznała mi, ciągle płacząc, że ma na sumieniu ciężki grzech przeciw życiu i po przeczytaniu mojego tekstu nie może znaleźć sobie spokoju. Wywiązała się długa rozmowa. Co ją pchnęło do aborcji? Egoizm? Chęć zaoszczędzenia dziecku przyszłych cierpień (badanie prenatalne miało wykazać, że dziecko urodziłoby się najprawdopodobniej jako niepełnosprawne)? Niewiedza, że chodzi tutaj o istotę ludzką? Niech prawdę pokryje płaszcz miłosierdzia i milczenia. Na zakończenie powiedziałem mojej rozmówczyni: „Siostró, nie jesteś morderczynią! To prawda, zgrzeszyła Pani ciężko przeciw życiu, ale nie jest Pani morderczynią. My wszyscy grzeszymy przeciw życiu. Każdy inaczej. W różnoraki sposób. Różnorako ciężko. Nikt wobec życia nie jest bez winy”.

Odbyłem przed nieznajomą „spowiedź” z mego zasadniczego „grzechu” przeciw życiu (proszę nie oczekiwać na tym miejscu ani budujących, ani skandalicznych wynurzeń). Trochę, by ją pocieszyć, ale także, by jej pokazać,

jak nasza sytuacja jest podobna, choć diametralnie różna. Od pewnego czasu melduje się u mnie regularnie przedziwne poczucie winy, że nie „otworzyłem” świata żadnej nowej istocie ludzkiej. Gdybym był niewierzący, to nie robiłbym sobie z tego tytułu większych wyrzutów. Trudno, powiedziałbym sobie. Nie dałem życia nikomu, to wielka szkoda. Ale szkoda ograniczona w czasie. Bo i tak nasze życie, postrzegane tutaj moimi oczyma „niewierzącego”, zapala się i gaśnie jak świeca. Przeżywamy je „od do”, jak meteoryty, ukazujące się „znikąd” i zapadające w „nikąd”. Uważam się jednak za człowieka wierzącego (choć tak naprawdę udaje się mi nim być i „przeżywać” siebie jako takiego tylko od czasu do czasu, „błyskowo”, jak aparat fotograficzny w akcji). Jako wierzący powinienem wiedzieć, że każde życie znajduje swe dopełnienie w wieczności, w Bogu, i jako takie będzie przemierzaniem bez końca niepojętych Szczęśliwości Bożych. Czy wolno „pozbawić” kogoś udziału w szczęśliwości wiecznej przez to, że nie da mu się życia? (Czy można mówić o prawie do zaistnienia?) Zdaję sobie sprawę, że można by to rozumowanie posunąć aż do absurdu: iż powinno się dawać życie ludzkie, w porę i nie w porę, wedle biologicznych możliwości — byleby tylko „zapełnić” Niebo szczęśliwymi istotami. Przyznam się, że nie mam gotowego argumentu, by tę makabryczną logikę zastopować.

Starcza erotyka? Poszukiwanie utraconych szans? Uszczknięcie przez szybę wyobraźni zakazanego owocu? Nie! Moje przeżywanie „grzechu zaniedbania” w wymienionej materii jest prawdziwym bólem, rzeczywistą bezradnością intelektualną, jak uporać się z tym problemem. Moja wyobraźnia się uaktywnia. Zaczyna mi dostarczać obrazów z krainy możliwości. Może któreś z moich dzieci, gdybym je był splodził, byłoby bardzo szczęśliwe w życiu, albo też nieszczęśliwe i przeklinające tych, którzy wydali

je na świat. Może któreś byłoby wyjątkowo uzdolnione albo upośledzone umysłowo czy niepełnosprawne fizycznie. A może któreś zostałyby księdzem lub siostrą zakonną albo wyrosłyby na świętego/świętą lub przestępcę/przestępczynię. Nie wiem. Jedno wiem na pewno, że wszystkie — jak każda istota ludzka — byłyby powołane do szczęścia wiecznego. Teraz wiem, nie będzie dla nich ani szczęśliwych, ani nieszczęśliwych dni na tym świecie, ani wiekuistej szczęśliwości czy nieszczęśliwości, bo nie zaistniały w ogóle. Z „winy”? Dyscypliny kościelnej? Moich ślubów zakonnych? Z mego zakochania się w Chrystusie? A może całkiem po prostu z „winy” mego wygodnictwa, właściwego celibatariuszom (z przerażeniem stwierdziłem kiedyś, że po pięciu godzinach pilnowania czteroletniego synka moich znajomych czułem się tak zmęczony, iż przez całą resztę dnia nie byłem zdolny do jakiegokolwiek pracy).

Mówiłem nieznanym, która przyszła do mnie z „Tygodnikiem” w rękę, także o innych grzechach przeciw życiu, popełnianych przez nas, przez wszystkich ludzi: przez świętych i nieświętych, przez papieży, biskupów, księży, zakonników i zakonnice, i ludzi świeckich. Różnako i w różnym stopniu. Bo fakt — by podać choćby kilka przykładów — że średnia wieku mieszkańców niektórych krajów wynosi czterdzieści lat, nie płynie z tego, że „tak im jest pisane u góry”, tylko — obok innych powodów — również i z racji beczynności nas, sytych obywateli „krajów zachodnich”, wobec niesprawiedliwości, jaka panuje w stosunkach pomiędzy krajami bogatymi i biednymi. Albo nie tak dawno nie kto inny, tylko kard. Joseph Ratzinger, stróż prawowierności w Kościele, zwracał uwagę, że Kościół jakby jeszcze nie dostrzegł problemu przeludnienia w świecie, zwłaszcza w niektórych krajach. A ilu świętych, których czcimy dzisiaj na ołtarzach, czy też ludzi Kościoła

miało odwagę dostrzec, by nie powiedzieć już — napiętnować, niesprawiedliwość społeczną? Papież Leon XIII ze swoją encykliką *Rerum Novarum...* (1891) — pierwszą encykliką papieską o tematyce społecznej — spóźnił się w stosunku do *Manifestu komunistycznego* o czterdzieści trzy lata.

Katalog grzechów przeciw życiu jest tak „bogaty”, jak samo życie we wszystkich swoich przejawach. I każdy z nas pisze swoją własną długą listę grzechów przeciw życiu, także — a może przede wszystkim — grzechów zaniedbania. Nie wolno nam rzucać kamieniem na nikogo.

By nie stanął przy nas Chrystus i nie zaczął pisać palcem na piasku naszego życia naszych własnych grzechów.

czerwiec 2002

Pochwała chwastów

Mówi się, że podczas seansu psychoanalitycznego terapeuta tylko czyha na to, aby jego pacjent się przejęzyczył. Daje mu to bowiem wgląd w skomplikowane pokłady psychiczne u pacjenta, zepchnięte w jego głęboką podświadomość. Nie trzeba jednak aż przejęzyczeń, żeby „objawić” innym swoje wnętrze, wyraziście i całościowo, jak fotografowany obiekt w świetle lampy błyskowej. Rolę tę pełnią niektóre nasze wypowiedzi, gesty i zachowania.

Dla mnie błyskiem reflektora, który rozświetla znaczne połaci bogatej osobowości Franciszka z Asyżu jest polecenie wydane bratu ogrodnikowi, by sadząc warzywa, zostawiał zawsze pewną część uprawnej grządki nieobrobioną, tak by mogły na niej rósć także i chwasty. To samo zalecenie wydał w sprawie miedz, okalających uprawiane działki. Przyznanie przez Franciszka chwastom obywatelstwa w tym świecie, na równi z użytecznymi kulinarnie warzywami i cieszącymi oko ludzkie kwiatami, wykracza daleko poza ekologię. Jest bowiem wyrazem czegoś więcej aniżeli tylko postawy szacunku dla stworzeń. Na marginesie trzeba zauważyć, że w tym szacunku Franciszek jest po prostu nieprześcigniony. Wystarczy przypomnieć, że pilnie uważał na to, by woda, w której mył ręce (i w której może mył się cały? Tutaj biografowie nie tylko Franciszka, ale wszystkich innych świętych, i to od starożytności aż po czasy nowożytne, są pruderyjnie powściągliwi), nie

padała na ziemię, po której się chodzi, bo byłby to, według niego, dowód nieposzanowania wody.

Czym zatem jest immunitet nadany przez Franciszka chwastom? Przed paroma dniami moi przyjaciele postanowili mi pokazać jeden z najnowszych i chyba najokazalszych supermarketów w Krakowie (oczywiście nie polskich). Nie lubię tych „świątyń”. Moje świątynie, te, które znam od dzieciństwa, wskazują swoją innością na Tego z Wysoka. Te laickie, supermarketowe, wskazują tylko na same „niskości”, na rzeczywistość, powleczonej sztuczną, mieniącą się fałszywym blaskiem, uwodzicielską powłoką. Wszystko w tym supermarkecie było sztuczne, nierealne: wykładziny z „marmurów”, których nie uświadczy się w „naturze”, światła na ścianach w kształcie „prawdziwych” pochodni ze sztucznym, jaskrawoczerwonym płomieniem z plastyku, sztuczne strumyki, bukiety sztucznych kwiatów i niezliczona liczba innych sztuczności! Jestem przekonany, że wkrótce klienci będą obsługiwani przez sztuczne ekspedientki-roboty, duże lalki Barbie. Już teraz w Japonii zakup czegokolwiek w automacie „wynagradzany” jest metalicznym „dziękuję!”. Po dwu godzinach „zwiedzania” stwierdziłem, że nie mogę oddychać. Zrozumiałem, że do wszystkich wymienionych wyżej sztuczności doszło także i „sztuczne”, klimatyzowane powietrze (współczuję tym osobom, które muszą tam pracować, i to, jak się mówi, za małe grosze; sądzę, że los niewolników rzymskich, pracujących na polach Kampanii w Italii, był pod wieloma względami lepszy). Zabrakło tylko sztucznych chwastów.

Franciszek żywił tak wielki szacunek do natury, że — według przekazu — trzymając świecę w ręku, zwracał uwagę na to, aby dłonią nie przesłonić blasku jej światła. Opowiadał się za prawdziwym, „nieprzesłoniętym” światem. Już dawno temu zwrócono uwagę na fakt, że mieszkańcy wielkich miast żyją w sztucznym, „przesłoniętym”

dzielami rąk ludzkich, świecie. Są odcięci od kontaktu z naturą. Wszystko, począwszy od asfaltu aż po anteny na dachach, jest „stworzone” przez człowieka. Byłoby dziwne i niezrozumiałe, gdyby taki świat nie dał ludziom fałszywego poczucia wszechmocy, nie mówiąc już o zaburzeniach, jakie powoduje w ludzkich zachowaniach, zwłaszcza u młodzieży!

Franciszek był wrażliwy na piękno natury. Lubił bardzo kwiaty. Miał wielką słabość przede wszystkim do kwiatów polnych. Dla nich także kazał rezerwować miejsce na uprawnych grządkach. Ale w jego świecie, jak wspomniałem, było miejsce też i na chwasty, a więc na to, co wydaje się być bezużyteczne, czy nawet bywa postrzegane jako coś zawężającego naszą przestrzeń życiową. Dla niego chwast również był częścią tego świata, i to częścią świata pięknego.

Można spojrzeć na Franciszkowe chwasty jako na metaforę tego wszystkiego, co szare, codziennie, pozornie bezużyteczne. Nie tylko w świecie, ale i w naszym życiu. Także w naszej psychice. Wielu ludzi oskarża się o lenistwo. Tymczasem może to być forma samoobrony organizmu przed wyczerpaniem. Trzeba w życiu dużo „stracić”, także i czasu, żeby coś zyskać, czy czegoś dokonać. Nawsuwa mi się tutaj obraz miedzy, także cenionej bardzo przez Franciszka. Jeszcze w niedawnej przeszłości nie było można wyobrazić sobie pola uprawnego bez miedzy. Tylko pozornie chodziło tutaj o „nieużytki”. W rzeczy samej miedza pełniła wielką rolę w utrzymywaniu równowagi ekologicznej w przyrodzie (czy nie najwyższy czas, żeby wszcząć akcję na rzecz przywrócenia miedz na naszych polach, w naszych gospodarstwach, zwiększających obecnie w tempie przyspieszonym swój areał uprawny? Miedza jako azyl dla rzadkich roślin, „chwastów”, mikroorganizmów, ptaków i zwierząt). „Miedze” występują w naszym życiu.

Pełnią w nim ważną rolę. Noszą różne imiona. Mogą nimi być utracone szanse, wszelkiego rodzaju ograniczenia, niepowodzenia czy też cierpienia, szarzyzna codziennego dnia. Franciszkowa „pochwała chwastów” jest także ich „pochwałą”. Bo taki jest realny świat. Wszelka ucieczka w sztuczne światy kończy się, wcześniej czy później, bolesnym powrotem do rzeczywistości.

Franciszek nie „ubóstwia” natury. Nie zatrzymuje się na stałe na niej. Idzie dalej. Ku Stwórcy. Zachwyty nad światem jest dla niego tylko „częstką” zachwyty nad Bogiem. Dla wielu współczesnych ludzi, także ekologów, to Franciszkowe religijne przeżycie świata jest obce. Nie nadążają tutaj za nim. Czyżby zapomniano o drżącej dłoni Franciszka dbającego o to, żeby nie przesłonić światła świecy? Człowiek swoją małą dłonią może przesłonić wielkie słońce (pamiętam, w dzieciństwie, wracając ze szkoły, często bawiliśmy się w ten sposób). Także swoim niewielkim mózgiem może usiłować przesłonić sobie i innym „widok” na Stwórcę.

Recepta Franciszka na nasze życie na ziemi? Nieprzesłanianie świata powłoką, „uszytą” z fałszywych „rzeczywistości”, a tym bardziej nieprzesłanianie naszą dłonią i mózgiem Stwórcy, w poczuciu fałszywej wszechmocy i pychy. Ale do tego potrzebna jest pochwała „chwastów”!

marzec 2002

Ku cywilizacji „słodkiej śmierci”

Wysoki, chudy mężczyzna. Włosy szpakowate. Żonaty. Ojciec rodziny. Profesor Tom Voute. Jest jednym z szefów oddziału onkologii pediatrycznej w Medycznym Centrum Akademickim w Amsterdamie. Znany jest w Holandii jako lekarz, który praktykuje „eutanzję dziecięcą”.

„Sądzę, że każdy ma prawo do decyzji, jeśli idzie o swe życie i o swą śmierć” — przedstawia profesor Tom Voute swoją filozofię życiową włoskiej dziennikarce Marinie Corradi, wysłanniczce dziennika katolickiego „Avvenire”, i kontynuuje: „Jeśli ktoś jest chory na raka bez żadnej szansy na wyleczenie i zwróci się do mnie, żebym mu pomógł umrzeć, to myślę, że nie mogę mu tego odmówić. Nawet jeśli ten ktoś ma piętnaście lat. Uważam bowiem za rzecz słuszną, żeby chory mógł rozstać się z życiem, nie cierpiąc, w swoim łóżku. Jeśli zwraca się do mnie o pomoc, to mu odpowiadam: czuję się szczęśliwy, że mogę ci pomóc. Dam ci to, czego potrzebujesz, żebyś mógł umrzeć. Do ciebie jednak należy decyzja”.

„Ile mają lat pacjenci, którym pan «pomaga» umrzeć?” — pyta dziennikarka. „Piętnaście, szesnaście, a nawet i mniej. Najmłodszy miał dwanaście lat” — odpowiada profesor.

Pomoc prof. Toma Voutego ogranicza się do postawienia na stoliku przy łóżku chorego, w zasięgu jego ręki, kubka z wodą i „odpowiednim” proszkiem w niej rozpuszczonym. „Doktorze, jak wyglądała pierwsza pańska

«pomoc»?» Profesor odpowiada: „Było to kilka lat temu. Chodziło o siedemnastoletniego chłopca, który był chory na raka kości i miał już przerzuty. Marzył o tym, żeby umrzeć na plaży nad Morzem Śródziemnym, w słońcu, mając swoją dziewczynę przy sobie. Wy tłumaczyłem mu, że byłoby to zbyt kosztowne dla jego rodziców i zbyt skomplikowane, jeśli idzie o sprowadzenie zwłok do Holandii, że lepiej byłoby dla niego umrzeć w domu. Chłopiec przystał na to bez protestu. Dałem mu papierowy woreczek z trucizną, żeby mógł ją zażyć, kiedy zdecyduje się odebrać sobie życie. Dowiedziałem się później, że wkrótce, pewnego wieczoru, podjął «decyzję». Matka nakryła odświętnie do stołu. Ojciec otworzył butelkę najlepszego wina. Pili razem. W pewnej chwili chłopiec wsypał do kieliszka z winem proszek. Za kilka minut już nie żył. Zmarł pogodnie na rękach swoich najbliższych”.

„Jak zareagowali na to jego rodzice?” — pyta dziennikarka. — „Byli dumni ze swego syna. Z jego odwagi. «Nasz syn umarł jak przystało na mężczyznę» — powiedzieli”. — „A pan, jak się pan czuł?” — „Byłem przekonany, że zrobiłem to, co mogłem najlepszego dla niego uczynić”.

W czasie ostatniej wojny lekarze holenderscy odmawiali udziału w realizowaniu niemieckiego programu eutanazyjnego. Ryzykowali wówczas więzienie i deportację. Po wojnie lekarz, który by „pomógł” świadomie i rozmyślnie umrzeć choremu, skazywany był na karę więzienia i tracił swój dyplom lekarski. Dzisiaj w Holandii eutanazja praktykowana jest przez lekarzy nagminnie. Szacunki liczbowe wykazują od sześciu do osiemnastu tysięcy przypadków rocznie. Stanowi to od pięciu do piętnastu procent wszystkich zgonów w Holandii (łącznie ich liczba sięga stu dwudziestu tysięcy w roku). Przypuszcza się, że tylko około dwóch tysięcy chorych prosi o eutanazję. Reszta, od czterech do szesnastu tysięcy, umiera

wbrew swej woli. Eutanazja jest w Holandii karalna. W praktyce jednak sądy nie reagują nawet na akty auto-denuncjacji ze strony lekarza (byleby chodziło tutaj o przypadek „pomocy” na wyraźne życzenie chorego). Siedemdziesiąt procent mieszkańców Holandii opowiada się za eutanazją.

Dr Isaac van der Sluis z Amsterdamu, lat siedemdziesiątych, od wielu lat prowadzi krucjatę przeciw eutanazji. Nie zraża go nawet fakt, że czasopisma lekarskie odsyłają mu jego artykuły. Jak to się stało, że Holandia posiada reputację kraju „słodkiej śmierci”? Odpowiada dr van der Sluis: „Do lat pięćdziesiątych XX wieku czterdzieści procent ludności naszego kraju stanowili katolicy. Uchodzili oni za bardzo gorliwych chrześcijan, wręcz za dewocyjnych. Ponadto znaczny procent Holendrów wyznawał kalwinizm, religię bardzo rygorystyczną. Później, w latach sześćdziesiątych, religijność Holendrów dosłownie się załamała. Nagle odkryli oni rzeczy, o których nigdy przedtem nie słyszeli: narkotyki, wolność seksualną, przerywanie ciąży i eutanazję. Rzucili się na to wszystko z zapalem neofitów. Mogę śmiało powiedzieć, że doszło w Holandii do rzeczywistego odrzucenia kultury chrześcijańskiej”.

Dr van der Sluis nie jest chrześcijaninem. Nie jest nawet człowiekiem wierzącym. Jeśli walczy z eutanazją, to czyni to w imię etyki lekarskiej, by bronić życia i walczyć ze śmiercią. Niestety, zdaniem doktora, wszystko wskazuje na to, że eutanazja w Holandii wykroczy wkrótce poza oddziały szpitalne z nieuleczalnie chorymi i przejdzie na takie kategorie ludzi, jak starcy, chorzy umysłowo, dzieci upośledzone, osoby „zmęczone życiem”. Pojęcie życia, które byłoby „warte życia”, zacieśnia się coraz bardziej do kategorii ludzi tryskających zdrowiem, roześmianych od ucha do ucha, młodych i przedsiębiorczych.

NVVE, Holenderski Związek Zwolenników Eutanazji, z siedzibą przy Lairesestraat 152 w Amsterdamie, ma trzydzieści tysięcy członków. Walczą o legalizację eutanazji aktywnej: by każdy mógł otrzymać zastrzyk lub pigułkę, kładące kres jego życiu. Każdy, kto zechce. Nie tylko chorzy. Także i ten, komu obmierzło życie. Związek propaguje specjalny „paszport eutanazyjny”, by w razie nagłego przypadku lekarze wiedzieli, co z pacjentem mają zrobić.

Pani Margaretha Bakker, lat sześćdziesiąt osiem, przewodnicząca Związku, mówi o sobie: „Jako młoda dziewczyna wierzyłam w Boga. Później przyszedł czas wojny. Holandia została zajęta przez okupanta. Oświęcim. Utraciłam wtedy wiarę. Bóg nie istnieje, inaczej nie dopuściłby do tego, żeby to wszystko się stało. Teraz wierzę tylko w wolność i wolność. W samorealizację”.

Są także przypadki „nawróceń”: ze zwolennika eutanazji na jej wroga. Sumienie nie daje się uśpić. Nie pozwoli się zabić. Nie zna „słodkiej śmierci”. Prof. Henry Bakker z Wolnego Uniwersytetu w Amsterdamie przed ośmiu laty zaaplikował choremu (całkowity paraliż), na wyraźne jego życzenie, w obecności jego żony, zastrzyk penthotalu w żyły. Wspomina po latach: „Poczułem się potem bardzo źle, zrobiłem coś, co jest sprzeczne z tym, czego mnie uczono na uniwersytecie. Przez wiele nocy walczyłem z koszmarami. Śnił mi się ciągle ów mężczyzna: oskarżał mnie we śnie, że go zabiłem. Miesiącami całymi dyskutowałem ten przypadek z przyjaciółmi. Pewnego dnia nie wytrzymałem, wsiadłem do samochodu i pojechałem do wdowy. Powiedziała mi, że zrobiłem dobrze, dając mężowi zastrzyk. I to mi dało trochę spokoju. Zgłosiłem się na policję, ale sprawa nie miała dalszego ciągu”.

Dr Bakker ma na swym sumieniu trzy przypadki eutanazji aktywnej. Nawrócił go „przypadek”, w którym życie zwyciężyło śmierć: dwudziestodwuletni młodzie-

niec, zapalony sportowiec, nie wyobrażający sobie życia bez piłki nożnej, w wyniku wypadku samochodowego został całkowicie sparaliżowany. Prosił dra Bakkerę ciągle tylko o jedno, żeby mu „pomógł” umrzeć. Ten jednak zawsze zwlekał. Namawiał chorego, by kontynuował przepisany mu program rehabilitacyjny. Z czasem chory odzyskał władzę w rękach. Mógł się już swobodnie poruszać sam, za pomocą wózka. Ciągle jednak prosił dra Bakkerę o „pomoc”, nie wyobrażał sobie, jak może żyć przykuty do wózka inwalidzkiego. „Doktorze, nie mogę już więcej, proszę mi pomóc” — mówił. Opowiada dr Bakker: „Przekonałem go pewnego razu, żeby pojechał na weekend do domu. Powiedziałem mu, że jeśli jego rodzice wyrażą zgodę i on sam nie zmieni zdania, to dam mu upragniony środek, po powrocie, w poniedziałek. Ta niedziela była dla mnie straszna. Mogę śmiało powiedzieć, że wyszły na mnie krwawe poty. W poniedziałek chory zjawił się u mnie. Dyskutował z ojcem przez dwa dni. Matka przez cały czas milczała. W niedzielę wieczorem zwróciła się do niego z prośbą, by nie decydował się na śmierć”.

„Teraz zrozumiałem, że przynajmniej moja matka mnie kocha, i jest sens, żebym tutaj pozostał” — powiedział młody człowiek doktorowi Bakkerowi.

Dr Pieter Admiraal ze szpitala św. Hipolita w Delft — czołowy apostoł „słodkiej śmierci” w Holandii, autor poradnika, jak stosować eutanazję, rozdanego dziewiętnastu tysiącom lekarzy holenderskich — przyznał w jednej z dyskusji, że racje, dla których ludzie domagają się eutanazji dla siebie, to nie lęk przed bólem, tylko „samotność, opuszczenie przez drugich, poczucie bycia ciężarem dla innych”.

„Teraz zrozumiałem, że przynajmniej moja matka mnie kocha...” A gdyby tak pomyśleć, że kocha nas przede wszystkim Ktoś Inny, sam Bóg... Wraca wtedy odwaga, by

żyć. Wraca radość życia nawet pośród cierpienia. Czy jest skuteczniejsze lekarstwo na wszystkie biedy ludzkie aniżeli świadomość, że jest się kochanym, po wszystkie wieki, przez Tego, który stworzył ziemię i niebo?

lipiec 1989

Tawerna „Jedenaste Przykazanie”

Zobaczyć... Antwerpię i umrzeć! Co za piękne miasto! Jak zresztą mogłoby być inaczej, skoro tutaj urodzili się i pracowali tacy mistrzowie, jak Rubens, van Dyck, Jordaens! Wspaniałe kościoły, pałace, place i muzea (tych ostatnich jest aż dwadzieścia jeden)!

Tawerna „Jedenaste Przykazanie” znajduje się tuż obok katedry, największej świątyni gotyckiej w Belgii (wieża ma sto dwadzieścia trzy metry wysokości). Już samo wejście do lokalu każe przypuszczać, że jego wystrój będzie nietypowy. Nad drzwiami umieszczona jest wielka kamienna płaskorzeźba przedstawiająca baranka paschalnego z krzyżem, symbol Chrystusa. Wchodzących do wnętrza wita kilkuset świętych. Ich figury rozmieszczone są wszędzie, jedna przy drugiej, w wielkim nieładzie, duże obok małych. Stoją w niszach, na oknach i na specjalnych półkach. Zawieszane są u sufitu, na filarach.

Pomieszczenie jest duże i wysokie; część sali, ta od ulicy katedralnej, posiada emporę, na którą wchodzi się po drewnianych schodkach za ladą wyszynkową. Szafa lady to dziewiętnastowieczny drewniany neogotycki ołtarz, zaadaptowany do potrzeb wyszynku. Widać flaszki z trunkami. Łaciński napis u podstawy „ołtarza”: *Ave Maria gratia plena* („Zdrowaś Mario, łaskiś pełna”), jest mylny. W niszy, gdzie pierwotnie musiała być figura Matki Bożej, znajduje się Dzieciątko Jezus, w geście błogosławienia prawą rączką. Na ladzie dwie prawie metrowej wysokości

figury św. Joanny d'Arc. W kikuty jej rąk, bez dłoni, zatknięto sztandary z napisem: „Jesus, Maria”.

Niektórzy ze świętych są podpisani. Inni nie. Czasem można ich zidentyfikować po atrybutach. Święty Dionizy, pierwszy biskup Paryża, męczennik, trzyma w rękach własną głowę (według legendy, po wykonaniu na nim wyroku śmierci przez ścięcie, wziął swą głowę i powstał). Tu i ówdzie u sufitu widać figlarną postać anioła. Nie brak także rzeźb Chrystusa i Matki Najświętszej.

W lewym rogu, patrząc od wejścia, u końca sali, znajduje się mała ambona, zawieszona prawie u sufitu, a na niej młody kaznodzieja, św. Jan Berchmans, jeden z trzech świętych jezuickich „młodzieniaszków” (dwaj pozostali to św. Stanisław Kostka i św. Alojzy Gonzaga). W jednej ręce trzyma krzyż, w drugiej książeczkę z regułami zakonnymi. Siedząca przy stoliku pod ambonką para zakochanych nie wydaje się być zażenowana obecnością patrzącego na nią z góry surowego świętego młodzieńca.

Gdy wszedłem do tawerny, tak mnie zaskoczyło jej wnętrze, że wcale nie zauważyłem ludzi siedzących przy stołach. Widziałem tylko ów ogromny tłum świętych. Pomyślałem: oto stoję oko w oko z bluźnierstwem do którejś potęgi. Postanowiłem wyjść na chwilę na zewnątrz, by nieco ochłonąć. Gdy wszedłem do lokalu po raz drugi, zacząłem tym razem przypatrywać się ludziom, bo chciałem zobaczyć, jak oni reagują. Jedli, pili, rozmawiali, śmiali się, w ogóle nie zwracając uwagi na towarzyszących im świętych. Zachowywali się tak, jakby siedzieli w najzwyklejszej sali o czterech białych ścianach. Od kelnera dowiedziałem się, że figury uratowano z zamykanych i likwidowanych kościołów. Idea ponoć wyszła od żony właściciela, Rosjanki.

Do „Jedenastego Przykazania” wróciłem tego wieczoru po raz trzeci. Dopiero teraz uświadomiłem sobie

w pełni, jakim kiczem „karmiliśmy” wiernych przez całe stulecia w naszych kościołach. Wręcz upiornie wyglądała seria figur św. Teresy od Dzieciątka Jezus, małych i dużych, umieszczona na jednej z półek (pomyślałem sobie, że podobnie musiałyby wyglądać papieskie pomniki w naszej ojczyźnie, gdyby je ustawić razem — prawie wszystkie uwłaczałyby banalnym, szablonowym i nic nie mówiącym wyrazem artystycznym i treściowym godności Ojca Świętego). Pochwała należy się Kościołom prawosławnym, które zakazują rzeźby religijnej, w tym także krucyfiksów, by ustrzec wiernych przed pokusą bałwochwalstwa, z uwagi na trójwymiarowość, a co za tym idzie, iluzyjność owego gatunku sztuki (niebezpieczeństwa tego nie ma, w rozumieniu Kościołów prawosławnych, w przypadku sztuki dwuwymiarowej, malarskiej, zwłaszcza tam, gdzie nie jest stosowana perspektywa). Surowszą postawę wobec przedstawiania kształtów ludzkich w sztuce zajmuje islam, chociaż Koran milczy na ten temat. Dopuszczalne są tylko formy geometryczne i roślinne, a także napisy koraniczne i maksymy wyjęte z tradycji islamskiej, jak też imiona pierwszych kalifów i samego Mahometa.

Gdyby św. Pawłowi dane było wejść do któregoś z naszych kościołów dzisiaj, uciekałby z niego w największym popłochu, jak z jakiejś świątyni pogańskiej. Kościół trzech pierwszych wieków nie dopuszczał obecności obrazów (a tym bardziej rzeźb) w miejscach, gdzie sprawowany był kult, z uwagi na niebezpieczeństwo bałwochwalstwa. Niebezpieczeństwo to istnieje także i dzisiaj, choć w innej postaci.

Artystyczna nadreprezentacja człowieka w naszych kościołach przyczyniła się bez wątpienia do sekularyzacji chrześcijaństwa, tak jak wydaje się być prawdą, że jedną z przyczyn ekspansji, żywotności i odporności islamu na prądy sekularyzacyjne jest jego całkowite skupienie się na

słowie, przy równoczesnym odrzuceniu pokusy pomocy, jaką religii rzekomo ma dostarczać sztuka o formach antropomorficznych. Tradycja islamska opisuje w przerażających kolorach los na Sądzie Ostatecznym tych artystów, którzy przedstawiali w swych dziełach postacie ludzkie w niedopuszczalny sposób i w miejscach zakazanych (mogą oni np. przedstawiać człowieka lub zwierzę z odciętą głową albo na dywanach, po których się chodzi, bo tutaj nie ma niebezpieczeństwa bałwochwalstwa).

Ile zła wyrządziło chrześcijaństwu przedstawianie Boga jako starca z siwą brodą (także przez Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej)? Może więcej, aniżeli przyniosła pożytku cała sztuka chrześcijańska. W budynku Katolickiej Akademii Archidiecezji Fryburskiej w Niemczech została poświęcona w 2000 r. kaplica, którą świadomie pozbawiono jakichkolwiek malowideł i rzeźb. Czyż Boga nie można chwalić pięknem architektury, bogactwem kolorów tęczy i bielą? Nic nie będzie nas wtedy rozpraszać i odwodzić od Niego. A może to jest właśnie „jedenaste przykazanie”?

Kelner w tawernie nie umiał mi odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nadano jej nazwę „Jedenaste Przykazanie”. Być może zgromadzono w tym lokalu tyle okazów „sztuki” chrześcijańskiej, żeby (podświadomie) zaprotestować w ten sposób przeciw spoganieniu chrześcijaństwa. Nie chodziłoby zatem o nic innego, jak tylko o przywrócenie w pełnym brzmieniu drugiego przykazania Dekalogu (Wj 20, 4–5, i Pwt 5, 8–9). To smutne, że trzeba do tego tawerny w Antwerpii.

listopad 2001

Dyskusja o wystawie *Irreligia* Nie o „cenzurki” chodzi!

Nie zgadzam się z opinią Katarzyny Bik, wyrażoną w „Gazecie Wyborczej” z 11 stycznia 2002 w artykule *Cenzurki dla Irreligii*, że dyskusja w krakowskim Bunkrze Sztuki 9 stycznia „była równie absurdalna jak protesty jej przeciwników przed wejściem do galerii. Ani bowiem uczestnicy spotkania, ani protestujący pokazu w Brukseli nie widzieli”.

Dla przypomnienia: chodzi o głośną (tylko w Polsce!) wystawę *Irreligia. Morfologia tego, co niesakralne w dwudziestowiecznej sztuce polskiej*, pokazaną w Brukseli w ramach „Europaliów — Polska 2000”, na której zaprezentowano sto trzydzieści prac czterdziestu trzech polskich artystów. Oczywiście, nie była to dyskusja o wystawie jako takiej. Przed dyskusją jednak pokazano półgodzinny film, poświęcony wystawie. Dostępne też były reprodukcje niektórych wystawionych prac. Tak więc „uczestnicy spotkania” mieli dość materiałów, by wypowiedzieć się nie „absurdalnie” na temat, co wolno artyście, a czego mu nie wolno.

Mam zastrzeżenie co do podtytułu wystawy. Sugeruje on, że sztuka polska w XX wieku dzieliła się na sakralną i niesakralną. Lepiej byłoby podać bez ogródek: „Morfologia tego, co antysakralne w dwudziestowiecznej sztuce polskiej”, przymiotnik bowiem „niesakralny” znaczy tyle co „świecki”.

Z trudem budował swoją definicję „irreligii” kurator wystawy, dr Kazimierz Piotrowski, który jako pierwszy zabrał głos w dyskusji. Przyjął w końcu, za socjologiem

Colinem Campbellem, że irreligia to taka postawa wobec religii, która nie kwestionując istnienia przedmiotu wiary (jak ateizm), podaje w wątpliwość podstawy doktryny religijnej, z którą jednostka jest kulturowo związana. Nie ukrywam, że podana „definicja” mnie nie zadowala. Jest to typowe wylewanie dziecka z kąpielą! Bo cóż innego znaczy „niekwestionowanie” przedmiotu wiary przy równoczesnym „podawaniu w wątpliwość” jej podstaw. Brakuje też w „definicji”, moim zdaniem, elementu kwalifikowanej negatywności wobec religii jako takiej. Na ten jej komponent wskazuje przedrostek „ir-”. Dla przykładu: nigdy nie powiemy o zwierzęciu, że ma „irracjonalny” stosunek do czegoś, tylko o człowieku, od którego wymaga się zachowań „racjonalnych”.

Jak ocenić wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej z domalowanymi wąsami? Ponoć artysta wzorował się na geście „obrazoburczym” Marcela Duchampa w stosunku do Mony Lizy. Dla mnie jest to po prostu akt desakralizujący, i co więcej, gest desakralizujący do piętrowej potęgi, bo wyjątkowo prześmiewczy. Notabene, zasmuciła mnie odpowiedź obecnej za prezydialnym stołem artystki, która na pytanie, jak czułaby się, gdyby ktoś na fotografii jej matki domalował wąsy, „Nie miałabym nic przeciw temu!” — stwierdziła. Nie chciałem być niegrzeczny i zapytać, czy nie miałaby nic przeciw temu także w przypadku, gdyby chodziło o nagrobny wizerunek jej matki. Jak ocenić jeden z aktów „Madonny”, i to chyba najniewinniejszy z serii: siedząca, zażywna młoda kobieta, obnażona do pasa, trzyma w geście Piety zblazowanego nagiego mężczyznę, z twarzą zwróconą do widza z wyzywająco kpiarską miną? Nie ma odrobiny cierpienia w tej „Piecie”! Nie mam nic przeciw aktom w sztuce, ale nie rozumiem, dlaczego trzeba „angażować” na modeli i modelki osoby czczone przez miliony ludzi, czyli wchodzić na teren

sakralny i podpierać się symboliką religijną przy uprawianiu tego rodzaju sztuki. Jest to, moim zdaniem, wyjątkowo brutalna forma przemocy wobec innych. Jakże uczciwy i czysty wydaje mi się pod tym względem Picasso!

Dyskusja toczyła się początkowo wokół tematu, czy artyście wszystko wolno. Wkrótce jednak okazało się, że każdy z dyskutantów ma własną, mniej lub bardziej „rozcagliwą” definicję wolności. Dopiero pytanie, czy artyście wolno zadawać innym cierpienie, w znacznej mierze ukonkretniło debatę. Należy się szczerze podziękowanie kierownikowi Klubu Bunkra Sztuki, Adamowi Budakowi, za zorganizowanie tego spotkania. Artyści „dowiedzieli się” bowiem od nie-artystów, że dla chrześcijan Chrystus, Matka Najświętsza to osoby żywe, czczone i kochane, i to ponad własne życie. Stąd wszelkie akty „desakralizacyjne” wobec Nich są i będą odbierane przez osoby wierzące bardzo boleśnie. Z kolei nie-artyci, dowiedzieli się — zwróciła na to bardzo słuszną uwagę Anna Maria Potocka — że nie trzeba być zbyt przewrażliwionym i inkwizytorskim wobec artystów, a już w żadnym przypadku nie-artyci nie powinni powodować się uczuciem nienawiści czy zemsty wobec twórców-„skandalistów”.

Surowo ocenił *Irreligię* Jerzy Bereś, który jako jeden z pierwszych zabrał głos w dyskusji. Jego zdaniem każdą wystawę może „położyć” jeden kicz, a w *Irreligii* było ich więcej. „Dobrze zatem zrobiłem — powiedział — że nie wziąłem w wystawie udziału”.

Trzeba mieć nadzieję, że twórcy nie będą ulegać pokusie szarżowania przemocą „artystyczną”. Wolność kończy się tam, gdzie zaczyna się czyjeś prawdziwe cierpienie. Inaczej żyłoby się nam wszystkim trudniej na tym świecie. O to chodziło w krytyce *Irreligii*. Nie o rozdawanie „cenzurek”.

Żłóbek z pytaniami

Zdradzone ubóstwo

„Och, gdybym mógł widzieć ów żłób, gdzie spoczywał Bóg! W rzeczy samej, pod pozorem, by uczcić bardziej Chrystusa, zamieniliśmy żłób ulepiony z błota na srebrny. Dla mnie cenniejszy był ten, który został usunięty. Złoto i srebro przystoi poganom. Wiara chrześcijańska domagała się żłóbka z gliny. Ten, który się w nim urodził, gardził złotem i srebrem. Co do mnie, nie potępiam tych, którzy tak uczynili z pobożności, tak jak nie potępiam tych, którzy sporządzili złote naczynia dla Świątyni Jerozolimskiej, ale podziwiam, że Pan, Stwórca świata, narodził się nie w złocie i srebrze, ale w błocie”.

Tak pisał św. Hieronim. Osiedlił się w Betlejem w 385 r., by móc w spokoju pracować nad przekładem Pisma Świętego na język łaciński — pomylił się. Jerozolima i oddalone od niej o osiem kilometrów na południe Betlejem roily się już wówczas od pielgrzymów, pełne były mnichów, zatrzęsione od kleru, tętniły jazgotliwym życiem świeckim. Święty Hieronim uskarżał się, że obydwa te miasta zastąpiły Rzym, który nazywał Babilonem. Bazylika Narodzenia Chrystusa w Betlejem, zbudowana nad grota, w której przyszedł na świat, tonęła w złocie. Hiszpańska mniszka Eteria, która odbyła pielgrzymkę do Ziemi Świętej może z końcem IV, a może na początku V wieku, taki zostawiła opis Bazyliki Betlejemskiej, przyozdobionej na jedno ze świąt:

„Nie można było zobaczyć w niej niczego innego, jak tylko złoto, drogocenne kamienie i jedwab. Widzicie tapety ścienne, one wszystkie są z jedwabiu, przetykanego złotem. Patrzycie na zasłony, one również są z jedwabiu, naszywanego złotem. Przedmioty kultu wszelkiego rodzaju, używane w tym dniu, wszystkie są ze złota, ozdobione drogocennymi kamieniami”.

Złoto! Inkowie uważali je za „pot słońca”. Mylili się. Jest ono naznaczone potem, krwią i namiętnością człowieka. Złoto i wszystko, co się „świeci”. Żadna inna cząstka materii nie jest tak bardzo „obciążona” grzechem przez człowieka, jak złoto, srebro, drogocenny kamień: owoc, wyrosły najczęściej na krzywdzie ludzkiej, wprzęgnięty w służbę pychy tego świata. Żadna inna cząstka stworzenia nie potrafi też tak skutecznie przesłonić swego Stwórcy, Boga.

Zdradzona obecność

Każdy zapytany, kto był twórcą szopki, odpowie bez wahania, że był nim św. Franciszek z Asyżu. I jest to prawda. Ale jest tylko częściową prawdą, a więc prawdą zagrożoną, chybliwą, łatwą do przeinaczenia.

Pisze św. Bonawentura, trzeci generał zakonu po św. Franciszku, że świętemu Biedaczynie z Asyżu na trzy lata przed śmiercią „przyszła chęć ożywienia pamięci o narodzeniu Chrystusa, aby pobudzić ludzi do pobożności”. Pod koniec 1223 r. św. Franciszek gościł u Jana, pana w Greccio, obronnej miejscowości w Toskanii. Gdy zbliżyły się święta Bożego Narodzenia, św. Franciszek zwierzył się swemu gospodarzowi, że chciałby w szczególny sposób je obchodzić, poprosił go o pomoc. Tomasz z Celano, pierwszy biograf Świętego (tekst jego uratował się, mimo że św. Bonawentura kazał zniszczyć wszystkie żywoty

św. Franciszka, by tylko jego biografia mogła być miarodajna), odnotował: „Z wielu miejscowości zostali wezwani bracia. Mężczyźni i kobiety tej okolicy przygotowali, jak tylko mogli najlepiej, z radosnym sercem, świece i pochodnie, aby oświetlić ową Noc, która życzliwym blaskiem Gwiazdy rozświetliła wszystkie dni i lata. W końcu zjawił się święty mąż Boży, zobaczył, że wszystko zostało należycie przygotowane, i ucieszył się. Teraz został sporządzony żłób, przyniesiono siana, sprowadzono wołu i osła. I oto prostota staje się otoczona czcią, ubóstwo posadzone jest wyżej, a pokora opiewana jest pochwałami. Greccio przemienia się tym samym w nowe Betlejem. Noc staje się jasna jak dzień i dla ludzi i zwierząt rozkoszna”.

Szopka św. Franciszka została ustawiona nie w kościele w Greccio, lecz w lesie, należącym do właściciela osady, Jana. O północy, przy świetle świec i pochodni, została odprawiona nad żłóbkiem Msza św. Święty Franciszek, ubrany w szaty liturgiczne diakona (przyjął on tylko święcenia diakonatu; z pokory nie chciał zostać kapłanem), odśpiewał Ewangelię i wygłosił porywające kazanie. Tomasz z Celano pisze: „Kazał do zebranego wokół ludu o narodzinach ubogiego Króla i rozplýwał się w pochwałach nad małą miejsciną Betlejem. Często, kiedy chciał użyć słowa «Jezus» zamiast «Chrystus», mówił tylko «Dziecię z Betlejem», z przeogromną miłością rozpierającą jego serce, a kiedy wymawiał słowo «Betlejem», wydobywał ze swoich ust dźwięk podobny do beczącego jagnięcia”.

Święty Bonawentura podaje, że w Greccio „w ową noc była bardzo piękna pogoda, i że była tam wielka ilość świateł zapalonych i wielka powaga ze względu na uroczyste śpiewy brewiarzowe, dzięki obecności wielu zakonników, i że cały las, gdzie odbywała się uroczystość, rozbrzmiewał echem śpiewów”.

Na czym polegała nowość szopki św. Franciszka? Już na dwieście lat przed nim znane było tzw. Oficjum Pasterzy, głównie we Francji i we Włoszech. Były to jasełka odgrywane w kościołach. W jednym z nich, w Montpellier z XII wieku, widzimy nadciągających pasterzy, wspierających się na laskach. Anioł pyta przybyszów: „Czego szukacie w żłóbku?” Pasterze odpowiadają: „Zbawiciela Chrystusa Jezusa, dziecię, spowite w pieluszki, jak nam zostało to oznajmione przez anioła”. Wtedy zbliżają się dwaj ministranci i pokazują obraz z Matką Najświętszą i Dzieciątkiem Jezus. Pasterze adorują Maryję i Jezusa. Nowość szopki św. Franciszka polegała na tym, że przeniósł on jasełka ze świątyni, z pomieszczeń sakralnych, na teren niesakralny, świecki, w tym przypadku na łono natury, do lasu, do przyrody. Stamtąd był już tylko krok do szopek w naszych domach.

Ale najważniejsza „odmienność” szopki św. Franciszka polegała na czym innym. W jego szopce nie było ani Maryi, ani Józefa, ani — co najbardziej istotne — Dzieciątka Jezus. Żłóbek był pusty. Zostawało miejsce na tajemnicę, na pytania, na niepokój. Nie była to szopka dzisiejsza: sielska, słodka, która nie zamąca dobrego samopoczucia widza, nie niepokoi go swą „pustką”. Sielanka szopek dzisiejszych może przez moment wzruszyć, chwycić za serce, ale po powrocie do twardej niesielanki życia rodzinnego, codziennego wymazuje się łatwo z pamięci, wypada łatwo z serca. I wszystko jest znowu tak, jak było. Nasze szopki, z dopisaną kropką nad „i” (właśnie owymi figurami), często w sposób tandetny, nie pozostawiają miejsca na żadne pytania i w efekcie nie przemieniają człowieka. Stają się folklorem.

Święty Franciszek swoją „pustą” (a w rzeczywistości jakże „pełną”!) szopką chciał prowadzić ludzi do Eucharystii, owego Chleba Mocnych na Życie Wieczne (i na sensowne życie tutaj, na ziemi!). Przyjście na świat Boga

w Jezusie Chrystusie w Betlejem było dla niego niezwykłym znakiem nieskończonej miłości i nieskończonego miłosierdzia Bożego. Ale jeszcze bardziej niezwykłym znakiem nieskończonej miłości i nieskończonego miłosierdzia Bożego wobec nas było dla św. Franciszka pozostanie Chrystusa z nami w Eucharystii, oczywiście ze wszystkim, co Eucharystia oznacza i czego od nas wymaga w naszym codziennym życiu. Czy nasze szopki, tkliwe, sielskie, prowadzą ludzi bliżej do Boga i czy zbliżają ich bardziej między sobą, zwłaszcza w rodzinach?

*

Tomasz z Celano mówi w swej biografii św. Franciszka, że pewien mężczyzna miał wizję: widział, jak św. Franciszek „zbliżył się do Dzieciątka w żłóbku i zbudził Je z głębokiego snu”. „Wcale nie od rzeczy jest ta historia — komentuje Tomasz — gdyż Dziecię Jezus było w wielu sercach zapomniane. I oto zostało Ono w nich obudzone dzięki Jego łasce przez Jego świętego sługę Franciszka”.

Przywróćmy żłóbek „świętego niepokoju”. Żłóbek z pytaniami.

grudzień 1990

Nie został w niebie

Jeden z rabinów średniowiecznych, któremu szczególnie mocno na sercu leżała prawda o transcendencji Boga, utrzymywał, że Bóg nigdy nie zbliżył się do człowieka więcej aniżeli na odległość dziesięciu piędzi. Nie! Bóg zbliżył się do człowieka tak dalece, że stał się jednym z ludzi. Narodził się jako Dziecię w Betlejem. Niemowlę, które można było brać na ręce. Któremu można było wpatrywać się w oczy.

Starożytni poszukiwali Boga na obrzeżach wszechświata. Skłonni byli widzieć w Nim jedynie siłę rozruchową maszyny kosmicznej. Perspektywy człowieka nie sięgały poza pułap doczesnej rzeczywistości. Wraz z narodzeniem Chrystusa wzbogaca się patrzenie na Boga i wizja człowieka. Zaświaty utraciły swój monopol na „lokalizację” transcendencji Bożej. Człowiek przestał być przypisany li tylko do ziemi. W Jezusie Chrystusie Bóg wstąpił w rzeczywistość natury ludzkiej. W niej rozbił swój namiot. W Chrystusie Bóg dotyka natury każdego człowieka. Wiąże się na zasadzie naczyń połączonych z każdym z ludzi (gdyby tak nie było, czy mógłby Chrystus powiedzieć: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”? Mt 25, 40).

Wydawać by się mogło, że Bóg, stając się człowiekiem, stracił na swej transcendencji. Że odsłonił zbyt swoją tajemnicę. Że stał się zbyt przejrzysty. Czyż postęp wiedzy nie sprawia, że człowiek staje się coraz bardziej

czytelny? A jednak żadna nauka nie rozświetli tajemnicy człowieka do końca! Żadna próbówka laboratoryjna nie da nam ostatecznej odpowiedzi na pytanie, kim jest człowiek. Żadna „wiwisekcja” nie odpowie nam, jaki jest sens życia ludzkiego i jak mamy postępować. Poprzez wejście Odwiecznego Boga w progi naszej ludzkiej natury tajemnica człowieka została wyniesiona ponad porządek przyrodzonych. Została podniesiona ku Bogu. Wpisana w Niego. Zasiedlona w Nim. Transcendencja Boga zamieszkała w człowieku. W sposób niedościgły i jednorazowy w Jezusie Chrystusie. A przez Niego w każdym z ludzi. Człowiek stał się miejscem objawienia Boga.

Tak więc Bóg nie powygaszał światła swej obecności w niebie, zstępując na ziemię. Zapalił tylko nowe. W Chrystusie. I w każdym człowieku. Stąd wywodzi się godność ludzka. Nie pochodzi ona z niczyjego nadania. Nie pochodzi z łaski rządzących. Wywodzi się z udziału człowieka w tajemnicy Boga.

*

„Ojciec nasz, który jesteś w niebie, zostań tam!” — tak pisał Jacques Prévert w swym wierszu *Pater noster*. Nie ukrywał racji swej „modlitwy”. Uważał, że człowiek tylko wtedy może cieszyć się ziemią („która czasami jest tak piękna”), gdy jest sam. Gdy nie ma obok siebie świadka z zewnątrz. Gdy nie stoi nad nim Bóg i nie patrzy mu w jego biesiadny półmisek. Nie! Jeśli Bóg stał się jednym z nas, to nie po to, by psuć nam „zabawę w życie”. By uszczuplać nasze szczęście na tej ziemi. Lecz po to, by dostarczyć innego wymiaru i innych perspektyw naszemu szczęściu i naszemu nieszczęściu tutaj, na ziemi. By życie nasze miało sens w radości i smutku, w zdrowiu i chorobie, w pracy i śmierci. By nas poprowadzić przez tę ziemię

obronną ręką i suchą nogą, doprowadzić nas tam, gdzie już nie będzie rozstajnych dróg ku szczęściu i nieszczęściu. Gdzie wszystko zostanie podniesione ku rzeczywistości pełnej, bo Bożej, bez pęknięć, bez niedosytu. Poprzez zakotwiczenie nas w Bogu, źródle Prawdy, Piękna, Miłości. Na życie wieczne.

*

Nie pozostał Bóg w niebie. Czyż dla Dobrego Pasterza — może być obojętny los Jego owiec w „ciemnej dolinie” (Ps 23)?

„Moje owce słuchają mego głosu, a Ja znam je. Idą one za Mną i Ja daję im życie wieczne. Nie zginą one na wieki i nikt nie wyrwie ich z mojej ręki” (J 10, 27–28).

grudzień 1988

Nigdy nie jest za późno oddać srebrniki

Wszystkie świąty ludzkich uczuć spotkały się pod krzyżem. Pojawiły się na Golgocie jakby na placu apelowym. Do czego tylko ludzkie serce jest zdolne. Tak w dobrym, jak i w złym. W tym ostatnim — hojną, utrzęsioną miarą, jak tylko nienawiść potrafi.

O mobilizację uczuć przeciw Jezusowi na Golgocie zadbał w szczególny sposób sam Piłat (ten sam Piłat, którego Kościół koptyjski czci w swym kalendarzu jako świętego; czyżby niezbadanym wyrokiem miłosierdzia Bózego Piłat się nawrócił?). Kazał bowiem umieścić na krzyżu Chrystusa tabliczkę z wypisaną nań winą: „Jezus Nazarejczyk, król żydowski”, i to w trzech językach: po hebrajsku, grecku i łacinie. (W tych samych zresztą językach, w których umieszczony był napis na terenie świątyni, zakazujący poganom pod karą śmierci wchodzenia na dziedziniec świątynny przeznaczony dla Żydów; dwa napisy: jeden zwiastujący śmierć, drugi zapowiadający Królestwo bez śmierci). Święty Łukasz podaje w swej Ewangelii, że żołnierze rzymscy szydzili z Chrystusa, powołując się na ów tytuł winy. Podobnie „jak i arcykapłani wraz z uczonymi w Piśmie”, co odnotowują w swych Ewangeljach Mateusz i Marek.

Nie dość tego. Piłat, chcąc jeszcze bardziej upokorzyć Żydów (i Jezusa), posunął się do gestu makabrycznego, o rzadkim okrucieństwie. Wiadomo, król nie zasiada na swym tronie bez asysty. Dlatego Piłat polecił ukrzyżo-

wać wraz z Jezusem dwu złoczyńców i umieścić ich, jak to skwapliwie odnotował św. Marek, jednego po prawicy, a drugiego po lewicy Chrystusa. O tym, że miało to być tylko szyderstwo i że Pilat był przekonany o politycznej niewinności Chrystusa, świadczy fakt, że nie ukarał on uczniów Chrystusowych. Zwykle egzekucja wicherzyciela politycznego pociągała za sobą także śmierć jego zwolenników.

Bóg potrafi jednak pisać prosto na krzywych liniach. To, co w zamierzeniu Pilata miało być tylko kpina, uzyskało pod ręką Bożą kształt wielkiego komentarza do Dobrej Nowiny. Bez sceny z Dobrym Łotrem Ewangelia byłaby dla nas uboższa. Wielu ludzi odkrywa, kim jest Bóg i kim jest człowiek, dopiero czytając tę scenę w opisie św. Łukasza, jak zwykle wrażliwego na przejawy miłosierdzia Bożego. „Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego królestwa” — zwraca się do Jezusa na krzyżu jeden ze współkrzyżowanych złoczyńców (Łk 23, 42). Słowa wypowiedziane w pustkę, bo przecież przez jednego skazańca do drugiego skazańca. Czy jedno umieranie może zawierać się drugiemu umieraniu? Jaką drogę wewnętrzną musiał przebyć ów człowiek, by sformułować swą prośbę? Jakiemu przemebłowaniu musiał ulec świat jego wartości? Ile trzeba mu było odwagi, by spojrzeć ze skruchą na swe dotychczasowe „królestwo”, i ile wiary, by zainwestować swą nadzieję w Królestwo Chrystusowe, zaczynające się od krzyża? Czym jest nawrócenie człowieka? Jakimi dokonuje się drogami?

Tołstoj w swej krótkiej noweli pt. *Śmierć Iwana Iljicza* — sfilmowanej przez młodego reżysera radzieckiego Aleksandra Kaidanowskiego — opowiada o człowieku po sześćdziesiątce, który niespodziewanie dowiaduje się, że jest nieuleczalnie chory i że zostaje mu już niewiele dni życia. Dopiero wtedy bohater noweli uświadamia sobie,

że życie jego nie miało żadnego sensu, że je całkowicie zmarnował. Ale właśnie ta refleksja o bezsensie dotychczasowego życia stała się nagle dla niego namacalnym dowodem, że życie może mu dać coś sensownego. Był to początek przemiany wewnętrznej Iljicza. Umiera, wypowiadając słowa: „Koniec ze śmiercią. Śmierć już więcej nie istnieje!”

Bohater noweli Tolstoja nie jest w swych uczuciach osamotniony. Prawie każdy, patrząc na swe życie, może zgłaszać żale do siebie, do drugich, do świata, że było ono lub jest takie, a nie inne, mniej lub bardziej nieudane. Wielu ludzi nie potrafi pogodzić się z myślą, że tyle szans w ich życiu zostało zaprzepaszczonych. Chrześcijaństwo zna lekarstwo na ten ból bólów. Jest nim zawierzenie swego życia Bogu: tego, co było, jest i będzie w życiu człowieka. Wtedy, o dziwo, nawet życie „przebrane” (czy też jego momenty „przebrane”) zaczyna nagle nabierać sensu. Bóg zarzuca na owo życie sieć swego miłosierdzia i dokonuje cudownego połowu. W świetle Bożym poczyną ono nabierać innego sensu. Okazuje się, że było ono — mimo bezdroży — drogą do Boga. Jak w scenie z Dobrym Łotrem.

Latem 384 r. Augustyn z Tagassy jedzie z Rzymu do Mediolanu. Ma objąć stanowisko retora publicznego, najwyższą godność akademicką w mieście, które jest teraz stolicą cesarstwa. Udaje się tam karocą publiczną, na koszt państwa, korzystając z tzw. *evectio publica*. Posyła go do Mediolanu prefekt Rzymu, Symmach, ostatni z wielkich starożytnego świata. Symmach, powierzając urząd retora Augustynowi, manichejczykowi, pragnie w ten sposób upokorzyć wielkiego biskupa Mediolanu, Ambrożego, za to, że przeciwstawił się umieszczeniu posągu bogini zwycięstwa w senacie rzymskim. Za trzy lata Augustyn wracać będzie tą samą drogą do Afryki. Tym razem już bez *evectio publica*. Prywatnymi środkami komunikacji. Bez łaski u władzy, ale za to z łaską Chrystusową w sercu...

Nawrócenie... Nawrócenie Dobrego Łotra... Nawrócenie Augustyna... Nawrócenie niezliczonej rzeszy kobiet i mężczyzn w ciągu historii. Wszystkie owe nawrócenia głoszą jedną wielką dobrą nowinę, a mianowicie, że człowiek może się nawrócić. Że nie jesteśmy zdeterminowani przez zło. Że możemy „wyjść” ponad siebie. Że nie jesteśmy skazani na dożywocie w więzieniu naszych egoizmów, nałogów, grzechów.

Grzech człowieka jest w swej najgłębszej istocie sprzedawaniem Boga za inne, pozorne dobro. Za srebrniki, których wartość nie ma realnego pokrycia. Dlatego każdy grzech nosi na sobie znamię bałwochwalstwa. Grzech jest równocześnie wyprzedawaniem siebie. Poszerzaniem obszaru bezsensu w życiu człowieka. Gdy morze się usuwa, pozostawia za sobą piasek. Gdy człowiek wypiera ze swego życia Boga, pozostaje mu w rękach tylko próchno i pył.

Nigdy nie jest za późno oddać srebrniki.

marzec 1988

Ukrzyżowany „głupstwem dla pogan”

„Grecy szukają mądrości”: „my głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest [...] głupstwem dla pogan” (1 Kor 1, 22b–23) — nikt lepiej niż św. Paweł nie scharakteryzował kultury, która poszukiwała Boga tak wysoko, że nie była zdolna Go dostrzec, gdy pojawił się blisko, w Jezusie Chrystusie. „To, co boskie, nie może mieszać się z tym, co ludzkie” — napisał Platon w *Uczcie*. Jeśli głupstwem dla Greka było wcielenie się Boga, to głupstwem głupstw musiała dłań być śmierć wcielonego Boga na krzyżu. Nie tylko z racji jej zaistnienia. Ale także i ze względu na jej rodzaj. Jeden ze starożytnych pogan będzie pytać z nieukrywanym sarkazmem: jeśli już Bóg uważał za słuszne umrzeć, to dlaczego nie wybrał sobie bardziej godnego rodzaju śmierci aniżeli ten, który nie przystoi wolnemu człowiekowi, nawet gdyby był winny. Filozof Porfiriusz, neoplatonczyk z drugiej połowy III wieku po Chr., tak bardzo zasłużony dla logiki średniowiecznej, żywić będzie pogardę dla Chrystusa „ze względu na hańbę krzyża”. Sto lat wcześniej inny filozof neoplatonicki, Celsus z Aleksandrii, nienawidzący chrześcijaństwa jak żaden chyba z autorów starożytnych, dziwić się będzie, że chrześcijanie czczą jako Boga tego, który został zabity w sposób „najpodlejszy” i „najhaniebniejszy”. Mądrość grecka, pojmująca Boga jako Myśl „przezuwającą” siebie samą, zatarasowała drogi dojścia człowieka do Boga i Boga do czło-

wieka. Absurdem jest, powie Arystoteles, miłować Zeusa, skoro on nie może miłować nikogo poza sobą samym. Dla wykształconego Greka nonsensem było nawet pomyśleć, że Bóg może mieć współczucie dla człowieka. Zenon, założyciel szkoły stoickiej, znany ze swych ciętych, szokujących wypowiedzi, powie nawet (przekáže to Cycero), że „mędrzec nie dopuszcza, by ktoś mógł go wzruszyć, nikomu nie przebacza popełnionej winy; miłosiernym jest tylko człowiek głupi i lekkomyślny; nie jest rzeczą godną mocnego człowieka ulec prośbom i pozwolić się odwieść od wymierzenia sprawiedliwej surowości”.

Myśli te zostaną rozwinięte i podniesione do rangi systemu filozoficznego dwa tysiące dwieście lat później przez człowieka, którego pióro można bez przesady nazwać najbardziej zjadliwym wobec chrześcijaństwa, jakie zna historia. Był nim Fryderyk Nietzsche, który powiedział o sobie: „Jestem Antychrystem po grecku i nie tylko po grecku” i „nie jestem człowiekiem, jestem dynamitem” — dla zniszczenia chrześcijaństwa. Z ostentacyjną chępliwością (widząc w tym głównie swoją zasługę) obiecywał, że „jeszcze za swojego życia doczeka się śmierci ostatniego chrześcijanina”.

Nietzsche uważał chrześcijaństwo za największą katastrofę, jaka spotkała ludzkość w ciągu jej historii. Było ono — jego zdaniem — wyjątkowo perfidną zemstą Żydów nad światem. Posłużyli się ukrzyżowaniem Chrystusa, by w ten sposób obudzić do Niego litość u ludzi i zawładnąć ludzkimi sumieniami, deprawując je bez reszty, to znaczy narzucając im „nihilistyczną” moralność, czyli taką, która jest zaprzeczeniem wszelkich autentycznych wartości. Chrześcijaństwo jest religią, która stała się „zaprzeczeniem woli życia”. Jeśli Porfiriusz miał za złe Chrystusowi, że nie zachował się wobec Kajfasza i Piłata jak

przystało na prawdziwego mędrca: nie zdobył się przed nimi na „słowo gwałtowne i mądre, ale pozwolił się znie-
wazać jak ostatni plebejusz”, to Nietzsche, podobnie, gor-
szy się, że Chrystus, przybity do krzyża, „kocha tych,
którzy mu wyrządzają zło, że się nie broni, nie złorzeczy,
nie przeciwstawia się złu...” Miłość, miłosierdzie, współ-
czucie, dobroć, życzliwość, by wyliczyć tylko niektóre
z postaw moralnych głoszonych przez Chrystusa i przeję-
tych przez chrześcijaństwo, są dla Nietzschego dostatecz-
nym powodem, by uznać moralność chrześcijańską za
„najszkodliwszą ze wszelkich zdrożności”. „Współczucie
z nieudanymi życiowo, ze słabymi — oto chrześcijań-
stwo” — napisze Nietzsche, by sformułować swoją zasadę,
przejętą z wdzięcznością pół wieku później przez hitleryzm:
„Gatunek ludzki wymaga zagłady nieudanych życiowo,
ludzi słabych, w imię zasady konserwacji”.

W swym głośnym tekście z ostatniego roku twór-
czości, z 1888, Nietzsche uzasadnia, dlaczego opowiada
się za „Dionizosem”, bogiem ekstazy i wina, a odrzuca
„Ukrzyżowanego”: „Bóg na krzyżu jest przekleństwem
życia” (chodzi tutaj o takie przejawy życia, jak siła, przy-
jemność, burzenie i budowanie, upojenie, by wymienić
tylko niektóre).

Dokonaną przez Nietzschego krytykę chrześcijaństwa
jako największego nieszczęścia ludzkości odparł lapidarnie,
jednym zdaniem, Giovanni Papini, który sam przebył dale-
ką drogę od wrogości wobec chrześcijaństwa do fascynacji,
która uczyniła go pisarzem chrześcijańskim, jednym z naj-
większych w XX wieku: „Ktoś tutaj kłamie, albo Nie-
tzsche, albo historia; nie widzę tutaj żadnego możliwego
kompromisu”.

Co się zaś tyczy zasady miłości, którą chrześcijań-
stwo stawia na pierwszym miejscu w swym systemie mo-
ralnym, to trafnie odpowiada Max Scheler, zwracając uwa-

gę na różnicę między moralnością starożytną a chrześcijańską. Ta pierwsza widziała w miłości „impuls, tendencję niższego ku wyższemu, niedoskonałego ku doskonałemu, tego, co nie jest, ku temu, co jest”.

Tymczasem w chrześcijaństwie jesteście świadkami odwrócenia tego porządku, „zmiany sensu miłości”: „Miłość objawia się w tym, że to, co szlachetne, zstępuje i pochyla się nad wędrowcem, człowiek zdrowy nad chorym, Mesjasz nad celnikami i grzesznikami”.

Nikt tego głębiej nie ujął niż św. Jan: „Bóg sam pierwszy nas umiłował” (1 J 4, 19).

*

Trzeciego stycznia 1889, plac Carlo Aliberto w Turynie. Nietzsche wychodzi z hotelu, w którym się zatrzymał, i widzi, jak woźnica znęca się nad swym koniem. I oto ten Nietzsche, który z wszystkich odruchów serca najbardziej pogardzał współczuciem, rzuca się koniowi na szyję, zaczyna całować jego łeb, płakać nad bitym zwierzęciem. W kilka dni później jego przyjaciel, młody pastor Overbeck, zabiera chorego do kliniki neurologicznej w Bazylei. W dzień po ujawnieniu się choroby, 4 stycznia, Nietzsche pisze jeszcze kartkę do jednego z przyjaciół: „Mojemu maestro Piotrowi, śpiewaj mi pieśń nową. Świat jest rozpromieniony i cieszą się wszystkie niebiosy”, podpis: „Ukrzyżowany” (*Der Gekreuzigte*). Jedenaście lat trwać będzie zapaść psychiczna (inni mówią: metafizyczna) Nietzschego. Aż do samej śmierci. Pod koniec życia na ramionach siedzącego w pogodne dni w ogrodzie filozofa siadać będą ptaki, jakby aniołowie z zaświatów. Nietzsche, który miał za złe starożytnym Rzymianom, że brali na serio chrześcijan i ich prześladowali, zamiast zamykać w „domach dla wariatów”, spoczął w mogile obok swego

ojca, pastora, w cieniu absydy kościoła, w którym został ochrzczony, a ramiona Chrystusa na krzyżu w prezbiterium świątyni były tak szeroko rozwarte, że zdawały się obejmować obydwie mogiły.

marzec 1988

Ukrzyżowany zgorszeniem dla Żydów

CRUX (krzyż) — już sama „srogość dźwięku tego słowa odpowiada srogości bólu, jaki krzyż sprawia”, powie starożytny pisarz rzymski Warro, cytowany przez św. Augustyna, i dla kontrastu poda przykład innego dźwięku, odbieranego mile przez ucho rzymskie, a mianowicie *voluptas* — przyjemność. Wtóruje mu w tych wywodach jego przyjaciel Cynceron, który ze swej strony dodaje, że podobnie i widok krzyża powinien być odległy dla oka Rzymianina, i nazywa śmierć krzyżową „najwyższą karą”, „najbardziej okrutną i najbardziej ponurą męką”. Lukian zaś, satyryk grecki z II wieku po Chr., uważa, że należałoby „ukrzyżować” literę grecką T (*tau*), ponieważ tyrani zbudowali w oparciu o jej kształt „złowrogie narzędzie” do „wieszania” na nim ludzi. Z trzech głównych rodzajów kary śmierci w starożytnym Rzymie: *ignis* (spalenie), *bestiae* (wydanie na pożarcie dzikim zwierzętom) i *crux* (krzyż), ta ostatnia uchodziła za formę karni najbardziej wyrafinowaną. Z wielu względów. Skazani wisieli niekiedy na krzyżach całymi dniami, zwłaszcza gdy opatrzone były podpórką do siedzenia (właśnie dla przedłużenia cierpień). Żadna inna kara śmierci nie dopuszczała tylu wariantów (np. ukrzyżowanie głową w dół czy też w kształcie litery „X”) i tylu dodatkowych możliwości tortur. Źródła starożytne mówią o psach i sępach szarpiących żywe ciała skazańców. Czy Neron nie nakładał na siebie skóry dzikich zwierząt, wedle świadectwa historyka rzymskiego Diona

Kasjusza, by w tym przebraniu zadawać osobiście cierpienia skazańcom przybitym do krzyża?

Okrutna kara krzyża stała na usługach innych zinstytucjonalizowanych okrucieństw. W pierwszym rzędzie jako środek odstraszający, do utrzymania w karchach milionów niewolników w cesarstwie. Stąd też i inna nazwa tej kary: *servile supplicium* — kara śmierci niewolników. Po zwycięstwie nad Spartakusem w 71 r. przed Chr. Licinius Krassus polecił przybić do krzyży wzdłuż Via Appia, między Rzymem a Capuą, sześć tysięcy ujętych niewolników. Trzeba sięgnąć do poetów, a zwłaszcza do komediopisarzy (oficjalni historycy rzymscy zbyt są zatroskani o *image* swej cywilizacji i piszą bardzo powściągliwie o stosowaniu kary, którą Rzymianie przejęli od barbarzyńców), żeby się dowiedzieć, jak łatwo niewolnicy byli wysyłani na krzyż. Często było to czyste widzimi się pana. Protesty podnoszą się dopiero wtedy, gdy stosowanie kary ukrzyżowania przybiera formy groteskowe, jak pozowanie „na żywo” do obrazu przedstawiającego mękę Prometeusza czy posłanie na krzyż kucharza-niewolnika za skosztowanie zupy rybnej przeznaczonej dla jego pana.

Jeśli do rzadkości należało stosowanie kary krzyża wobec obywateli rzymskich (na ogół tylko w przypadku zdrady stanu), to była ona praktykowana nagminnie wobec podbitych narodów w prowincjach. Wszelkie przejawy walki wyzwoleńczej były tępione bez miłosierdzia, a ich uczestnicy uważani byli przez Rzymian nie za „wrogów” (*hostes*), co mogłoby im dać pewne przywileje, lecz za „rozbójników” (*latrones*), na równi z pospolitymi kryminalistami. Karą dla nich był najczęściej krzyż. Prowincją rzymską, która widziała najwięcej krzyży, była — można powiedzieć bez przesady — Judea (o czym wiemy nie tylko na podstawie świadectwa Józefa Flawiusza). Do tego stopnia, że ukrzyżowanie w okresie pacyfikacji Judei przez Rzymian

uchodziło za żydowską karę śmierci. Mimo to jednak w żadnym okresie dziejów Izraela krzyż nie był uważany przez Żydów za symbol ich cierpienia narodowego. Dlaczego?

Nie pozwoliła im na to Księga Powtórzonego Prawa. Każdy Izraelita znał zawarte w niej słowa: „Bo wiszący jest przeklęty przez Boga” (21, 23b). Dotyczyły one początkowo osób skazanych na śmierć za bluźnierstwo lub bałwochwalstwo, których ciała, po wykonaniu wyroku przez ukamienowanie lub ścięcie, wieszano na palu lub na drzewie. Później, w okresie hellenistycznym, jeszcze przed nastaniem chrześcijaństwa, gdy Żydzi przejęli ukrzyżowanie jako jedną z form kary śmierci (np. głośne ukrzyżowanie ośmiuset faryzeuszy w 88 r. przed Chr. przez Aleksandra Jannai, przywódcę żydowskiego sympatyzującego z saduceuszami), cytowany tekst Księgi Powtórzonego Prawa odnoszony był także i do osób skazanych na ukrzyżowanie, jak to wykazał m.in. Y. Yadin, żydowski badacz rękopisów z Kumran (np. w jednym ze zwójów czytamy, że ukrzyżowani są „przekleci przez Boga i przez ludzi”).

Nie jest przypadkiem, że w czasie procesu Chrystusa niektórzy przywódcy żydowscy i ich poplecznicy, jak to podają Ewangelie, domagali się od Piłata, by skazał Jezusa na śmierć przez ukrzyżowanie, a nie np. przez ukamienowanie czy też ścięcie. Chodziło bowiem nie tylko o wyrok śmierci dla Chrystusa, ale też o odpowiednią kwalifikację teologiczną tej śmierci. By nosiła na sobie piętno przekleństwa przez Boga. A temu mogła zadośćuczynić — w sposób oczywisty i nie budzący żadnej wątpliwości — tylko śmierć na krzyżu. W ten sposób *casus* Jezusa, skompromitowanego w opinii publicznej, nawet w oczach swych zwolenników, miał być rozwiązany raz na zawsze. Święty Justyn, filozof, pisząc w pierwszej połowie II wieku po Chr. swój *Dialog z Żydem Tryfonem*, włoży w usta swego

rozmówcy — właśnie Żyda — następujące słowa na temat Mesjasza: że Mesjasz mógł „cierpieć [...] o tym wiemy; ale być ukrzyżowanym i umrzeć tak bezwstydnie i haniebnie śmiercią przeklętą przez Prawo, to nam udowodnij; tego nie jesteśmy absolutnie w stanie pojąć”.

Święty Hieronim, IV/V wiek, tłumacz Pisma Świętego na język łaciński, podaje, omawiając wspomniane miejsce z Księgi Powtórzonego Prawa, że Żydzi powołują się na ten tekst, by wysunąć zniesławiający zarzut, iż „nasz Zbawiciel i Pan stał się przekleństwem Bożym”.

Można zatem zrozumieć załamanie się uczniów Chrystusowych w Wielki Piątek. Było ono bardziej teologicznej aniżeli psychologicznej natury. Chodziło bowiem o odpowiedź na pytania istotne co do Osoby Chrystusa i Jego misji. Czy rzeczywiście był On posłany od Boga? Pomazańcem Bożym? Czy za tym człowiekiem, który zawisł na krzyżu, stoi naprawdę nadal Bóg, a nie — jak chciałoby tego Pismo (i jego wykładnia) — został on przeklęty przez Boga? Podobnie można usiłować zrozumieć reakcje ludzi pod krzyżem Chrystusa. Tych, którzy złorzeczyli Jezusowi. W wielu przypadkach mogło chodzić o zawiedzione nadzieje. Żyd Tryfon z cytowanego *Dialogu* św. Justyna wierzy w Mesjasza „wspaniałego i wielkiego, a nie takiego, jakiego czczą chrześcijanie, bez czci i bez chwały [...] ponieważ został ukrzyżowany”. Jeśli ów człowiek pozwolił przybić się do krzyża, oznacza to, że jest słaby. Sam zaś fakt śmierci krzyżowej, z wyroku prawowitej władzy, ściąga na niego przekleństwo Boże i przekreśla jego wszelkie roszczenia mesjańskie.

Postać Mesjasza cierpiącego była dla ówczesnych Żydów trudna do przyjęcia. Trzeba będzie dopiero poranka Wielkanocy, żeby upadły wszelkie wątpliwości natury teologicznej co do osoby i misji Chrystusa. Trzeba będzie chrześcijanom długiej refleksji nad Pismem, by mogli

zrozumieć, że „Mesjasz musiał cierpieć i tak wejść do chwały”. Sam Chrystus zapoczątkuje z nimi tę katechezę, tłumacząc Pismo uczniom w drodze do Emaus: „«O, nierozumni, jak nieskore są wasze serca do wierzenia we wszystko, co powiedzieli prorocy! Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swej chwały?» I zaczynając od Mojżesza, poprzez wszystkich proroków wykladał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego” (Łk 24, 25–27).

Niektórzy z pierwszych chrześcijan wezmą to sobie tak do serca, jak wspomniany św. Justyn, męczennik i apologeta, który dopatrywać się będzie, często z pomocą karkołomnych asocjacji, wszędzie w Starym Testamencie, odniesień do krzyża (laska, drabina, palma, kolumna, itp.) i do krwi Chrystusowej.

Dopiero teraz można zrozumieć, dlaczego Nowy Testament, mówiąc o Zmartwychwstaniu Chrystusa, używa najczęściej formuły, że Bóg wskrzesił Jezusa z martwych. Chodziło bowiem o to, aby pokazać, że Bóg wcale nie przeklął Chrystusa. Że nie stoi On po stronie tych, którzy Jezusa skazali na śmierć. I nie aprobuje ich wyroku. Obok tej formuły występuje — choć o wiele rzadziej — druga: że Chrystus sam powstał z martwych, a mianowicie dla podkreślenia, że jest On więcej niż Mesjaszem, że jest Synem Bożym, Osobą Boską, która przybrała naturę ludzką, i że jako taki mocen jest sam powstać z grobu. Ta druga formuła jest nam bliższa. Nikt z chrześcijan nie uważa, że krzyż Chrystusowy mógłby oznaczać przekleństwo Boże. Żaden krzyż nim już więcej nie jest. Wszystkie krzyże zostały w Krzyżu Chrystusowym zrehabilitowane; dzięki Ofierze Krzyżowej Chrystusa mogą być, jak się wyrażał św. Justyn, „drabiną” do Boga. Drogi judaizmu i chrześcijaństwa rozeszły się ze względu na Chrystusa. Chrześcijanie byli skłonni dopatrywać się u Żydów złej woli, że nie opowiedzieli się jako naród za Chrystusem.

Chętnie zapominano o słowach z kazania św. Piotra: „Zaparliście się Świętego i Sprawiedliwego, a wyprosiłiście ulaskawienie dla zabójcy. Zabiliście Dawcę życia, ale Bóg wskrzesił Go z martwych [...]. Lecz teraz wiem, bracia, że działaliście w nieświadomości, tak samo jak zwierchnicy wasi” (Dz 3, 14–17).

Nie mamy w Nowym Testamencie ani jednego przykładu, żeby ten, komu Chrystus Zmartwychwstały się pokazał, nie dostał łaski wiary. Dlaczego Zmartwychwstały Chrystus nie pokazał się całemu narodowi żydowskiemu? — pyta teolog żydowski J. Isaac. Odwieczna tajemnica Bożych przeznaczeń. Wiele krzywdy wyrządzono Żydom, także i w imię Krzyża Chrystusowego, pomnażając przez to ich „zgorszenie” Krzyżem.

Dla Żydów Chrystus pozostał tylko człowiekiem, dlatego skłonni byli patrzeć na chrześcijan jako na bałwochwalców. Stopień obopólnego niezrozumienia ukazuje najlepiej stosunek do symboli religijnych przeciwnej strony, przynajmniej jeśli idzie o przeszłość. I tak podczas pogromów Żydów w czasie pierwszej wyprawy krzyżowej w miastach nadreńskich chrześcijanie, gdy napadali na dzielnice żydowskie, najpierw wdzierali się do synagog i rwali Torę w strzępy, co Żydzi oplakiwali bardziej aniżeli śmierć swych męczenników. Nie brak też przykładów nienawiści i z drugiej strony. Mamy świadectwa o Żydach, którzy godzili się pozornie na przyjęcie chrztu tylko po to, żeby podczas ceremonii opluć krzyż (świadomi, że przypląca ten czyn życiem).

„Z tego przekleństwa Prawa Chrystus nas wykupił — stawszy się za nas przekleństwem, bo napisane jest: «Przeklęty każdy, którego powieszono na drzewie»” (Ga 3, 13).

Chrystus stał się „przekleństwem” (nie „przeklętym” — bo nie był On osobiście „przeklętym”), biorąc na siebie grzech całej ludzkości. Nawet jeśli grzech teraz się

szerzy, to odebrana mu została moc trzymania nas na wieki w „krajnie śmierci”, gdyż przerzucony został pomost z tego świata — do Boga. Jest nim według Ojców Kościoła „Kładka zbawienia” (*Planca salutis*) — Chrystus.

*

„Tak więc gdy Żydzi żądają znaków, a Grecy szukają mądrości, my głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest zgorszeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan, dla tych zaś, którzy są powołani, tak spośród Żydów, jak i spośród Greków, Chrystusem, mocą Bożą i mądrością Bożą. To bowiem, co jest głupstwem u Boga, przewyższa mądrością ludzi, a co jest słabe u Boga, przewyższa mocą ludzi” (1 Kor 1, 22–25).

marzec 1988

Jak okiem sięgnąć, krzyże

Ernst Barlach, jedyny ekspresjonista niemiecki, którego praca trafiła do kościoła (krucyfiks w kościele św. Elżbiety w Marburgu), przesłał w 1916 r. do czasopisma „Bildermann” rysunek zatytułowany: *Anno Domini MCMXVI post Christum natum (Roku Pańskiego 1916 po narodzeniu Chrystusa)*. Rycina, zamieszczona na okładce październikowego numeru pisma, przedstawia Chrystusa, któremu mroczna postać męska pokazuje wymownym gestem ręki bezbrzeżny pejzaż, pokryty, jak okiem sięgnąć, krzyżami (rysunek powstał po bitwie pod Verdun, gdzie śmierć poniosło pół miliona żołnierzy). W swoim pamiętniku Barlach zamieszcza komentarz do tego rysunku. Jego pierwsze zdanie brzmi: „Chrystus został zaprowadzony na wysoką górę przez szatana, który pokazuje Mu królestwa świata i ich wspańiałość (tylko krzyże, jak okiem sięgnąć, krzyże)”.

Żadne światła tego świata, żadna radość tej ziemi nie mogą przesłonić faktu, że życie ludzkie na naszej planecie toczy się pod znakiem krzyża. Jego cień kładzie się na wszystkim, co doczesne. Wszystko na tej ziemi jest w pewnym sensie „ukrzyżowane”. I prawda. I piękno. I miłość. Bo nic nie występuje bez skazy, bez ograniczeń. Właśnie — bez krzyża. Porwane są nici, z których świat nasz jest utkany. Nie dadzą się powiązać w jednolitą całość. Nie potrafimy ułożyć w sensowną spójność dobra i zła, piękna i brzydoty, radości i cierpienia. Próby dojścia rozumem, dlaczego jest tak, a nie inaczej, kończą się kikutami prze-

rwanych ciągów logicznych. Jak zakończenia belek krzyża, które nie dadzą się zebrać w jedną linię.

Nikt na tej ziemi nie potrafi udzielić nam odpowiedzi, dlaczego tyle jest cierpienia. Dlaczego w ogóle cierpimy. Bo nawet gdyby nikt nikomu nie zadawał świadomie cierpienia, zostałyby go jeszcze bardzo dużo „z puli niezawinionej”, jak choroby, wypadki losowe, klęski żywiołowe czy cierpienie zwierząt. Choć z drugiej strony, jak wyobrazić sobie życie na tej ziemi bez cierpienia? Spróbujmy przeprowadzić konsekwentnie do końca hipotezę myślową, że nie ma na świecie cierpienia. Jak wyglądałoby wtedy życie ludzkie na ziemi? Nikt nie potrzebowałby wtedy nikogo. Chodzilibyśmy obok siebie, każdy w glorii swej samowystarczalności. Matka nie musiałaby nachylać się nad płaczącym dzieckiem, bo dzieci by nie płakały. I dziecko nie musiałoby się uśmiechać do matki, bo nie byłaby mu potrzebna jej opiekuńczość. Żylibyśmy obok siebie jak „chodzące” drzewa, z których każde rosłoby na odrębnym terenie i mogłoby obyć się bez drugiego.

A ilu ludziom cierpienie pozwoliło odkryć nowe wymiary rzeczywistości, zobaczyć siebie i świat w innym, często w głębszym, świetle? Herbert von Karajan wyznał kiedyś, że dopiero ciężka choroba, którą przebył, to, że był już jedną nogą na drugim świecie, pozwoliło mu lepiej zrozumieć, czym jest muzyka. — Nie! To nie jest apologia cierpienia ani zachęta, by je kultywować! To tylko przypomnienie, że nasze życie na tej ziemi jest „ukrzyżowane”. Że źle nam jest z cierpieniem (i nie ulega wątpliwości, iż trzeba z nim walczyć), a równocześnie trudno nam wyobrazić sobie życie w obecnym kształcie, materialnym, fizycznym, bez cierpienia.

Jezus Chrystus, Bóg i człowiek w jednej osobie, który dzielił z nami bytowanie ludzkie na tej ziemi przez lat przeszło trzydzieści, nie odsłonił przed nami tajemnicy

cierpienia. Bo i cóż by nam przyszło z tego, gdyby dane nam było rozsupłać intelektualnie tajemnicę cierpienia, jeśli nie potrafilibyśmy równocześnie otrząsnąć się z jego więzów? Claudel, którego twórczość poetycka „żywiła” się cierpieniem wynikającym z poczucia niemożności dania pełnej odpowiedzi Bogu na Jego apel, wzywający go do świętości (25 grudnia 1886 doznał w katedrze Notre Dame w Paryżu olśnienia religijnego), jest autorem maksymy, że Chrystus nie przyszedł po to, by nam powiedzieć, czym jest cierpienie, ale po to, by nam pokazać, jak mamy cierpieć. Przyszedł, by nasze cierpienie przepoić swoją obecnością. Wprawdzie nie znika ono wtedy, jak za dotknięciem magicznej różdżki, ale staje się inne. Zyskuje sens. Im bardziej przesycone jest obecnością Chrystusa, tym łatwiej je unieść.

Stara żydowska opowieść mówi, że kiedy Mojżesz zstępował z Synaju, niosąc kamienne tablice, na których sam Bóg wyrył tekst Prawa, dziwił się, jak może podolać tak wielkiemu ciężarowi. W miarę jednak zbliżania się do obozowiska Izraelitów, pośrodku którego stał złoty cielca, tablice Prawa ciążyły mu coraz bardziej. Gdy doszedł do cielca, kamień tablic stał się dlań tak ciężki, że nie mógł już utrzymać płyt w rękach. Upuszczając je na ziemię, zauważył, że nie było już na nich napisu wyrytego ręką Bożą. Zniknęła z nich obecność Boga i kamień odzyskał miazdzący, przyziemny ciężar.

*

Chrystus wziął na siebie na krzyżu bezmiar cierpienia świata. Przepoił w ten sposób nasze cierpienie swoją obecnością. Odebrał mu jego oścień: nie jest już ono w stanie przytłoczyć nas całkowicie i zgnieść swoją przyziemnością.

Wielkanocna prośba osiołka

Mogę się pochwalić (nieskromnie), że nie przypominam sobie, bym czegoś w życiu komuś zazdrościł. Każdy jest niepowtarzalny, jedyny. Każdego Pan Bóg wyposaża inaczej. I każdego inaczej prowadzi.

Dał mi za to Pan Bóg w obfitości uczucie zazdrości wobec zwierzaków. I to od najmłodszych lat.

Już jako kilkuletni dzieciak zazdrościłem ptakom, że mogą latać, sójkom, że są tak barwnie upierzone, a naszemu Reksowi, że potrafi tak szybko biegać. Wraz z poszerzaniem się mego świata dochodziły coraz to nowe „zwierzakowate” zazdrości. Z czasem — zapewne w związku z moim „zawodem” — stały się „biblijne”. Od wielu lat łapię się na uczuciu zazdrości wobec zwierząt, które miały do czynienia z Chrystusem. Zazdroszczę im właśnie fizycznej bliskości z Nim. Najbardziej — osiołkom.

Po raz pierwszy zobaczyłem osła na własne oczy we Włoszech. Tam też doznałem swoistego mistycznego przeżycia związanego z tym zwierzakiem. Kiedyś wybrałem się do Anagni, miasteczka położonego w Lacjum. Chciałem poznać miejsce, gdzie rozegrał się wielki dramat, który dotknął jednego z najpotężniejszych papieży Średniowiecza, Bonifacego VIII. W nocy z 7 na 8 września 1303 Wilhelm Nogaret, któremu król Francji Filip Piękny powierzył zadanie doprowadzenia Ojca Świętego przed swój trybunał („soborowy”), sforsował wraz ze zbirami księcia Colonna drzwi pałacu papieskiego i uwięził brutalnie pa-

pieza. Mieszkańcy miasteczka uwolnili go następnego dnia rano, ale Bonifacy VIII przeżył taki szok, że umarł po miesiącu.

Anagni należy do tych miast średniowiecznych we Włoszech, które jakby zastygły w czasie i mają swój urok tak we dnie, jak i w nocy. Moja noc okazała się krótsza, niż przypuszczałem. O czwartej rano — było to w czasie wakacji, latem — obudziła mnie niesamowita „muzyka”. Podeszedłem do okna. Trzeba wiedzieć, że Anagni położone jest na szczycie wzgórza, zapewne powulkanicznego kopca. Przede mną roztaczała się bezbrzeżna równina Lacjum, na niej pasły się stada osłów. Przy śniadaniu powiedziano mi, że jest ich tutaj kilka tysięcy.

Niesamowita była ta „muzyka”! Tylko poeta mógłby opisać jej dźwięk i barwę. Łkanie połączone z zadyszką, jęk rozdzierający smutkiem serce. Nie mogłem oderwać się od okna. To ośle powitanie dnia było w moim odczuciu modlitwą całego stworzenia — za psalmem „Z głębokości wołam do Ciebie, Panie!” „Przypomnieniem” Stwórcy, że budzi się życie do nowego dnia, nie tyle do radości, ile do nowego cierpienia. Teraz, w chwilach gdy nie mogę się modlić, przywołuję moje wspomnienie z Anagni. Myślę sobie: modlą się zamiast mnie moje osły z Lacjum. Tę myśl dołączam do „wykrztuszanych” przez nie „modlitw” pod Anagni.

Przeraża mnie zła reputacja oślego rodu. Dotarła ona nawet do nas. Zagnieżdżyła się w naszym języku („ośle uszy”, „ośla ławka” itp.), chociaż osła w naszej szerokości geograficznej spotkać niełatwo. Wypisywałem sobie kiedyś opinie na temat osła w poezji islamskiej. Wiele z nich nie nadaje się po prostu do publikacji, nawet te, które wyszły spod pióra wielkich mistyków arabskich czy perskich.

Mam żal do wspaniałego skądinąd i obdarzonego niezwykle poczuciem humoru pisarza Gilberta Chester-

tona, że posadził jednego osiołka o monstualny grzech pychy. Napisał, że osioł, na którego grzbiecie Chrystus wjeżdżał uroczyście do Jerozolimy w Niedzielę Palmową, był przekonany, iż ludzie wiwatujący, kładący swe szaty na drodze i wyśpiewujący *Hosanna* czynią to nie dla Chrystusa, tylko dla niego.

Bóg zna serca ludzi i zna „serca” zwierząt. Jeśli Chrystus wybrał na swój królewski wjazd do Jerozolimy nie wspaniałego rumaka, tylko osła — a zrobił to nie bez pewnego zachodu, o czym wspomina przedziwna scena u Łukasza (19, 29-34), kiedy to Chrystus posyła dwóch uczniów z poleceniem, by zarekwirowali we wsi w pobliżu Góry Oliwnej pewnemu właścicielowi osła, gdy zaś on będzie protestować, by odpowiedzieli tylko: „Pan go potrzebuje!” — uczynił to ze względu na symbolikę pokory, która przypisana jest do tego stworzenia. Mam reprodukcję średniowiecznego malunku z rękopisu perskiego autora imieniem al-Biruni (X/XI wiek), przechowywanego w bibliotece uniwersyteckiej w Edynburgu. Malunek przedstawia dwóch jeźdźców: Mahometa na wyniosłym wielbłądzie i — obok — Chrystusa na potykającym się, pokornym osiołku.

Tylko malarze i rysownicy ilustrujący sceny biblijne poznali się na walorach „intelektualnych” i „moralnych” osła. Na witrażu w jednym z kościołów francuskich (Albigny, XIX wiek), przedstawiającym ucieczkę Świętej Rodziny do Egiptu, osiołek ze świętym ciężarem na swym grzbiecie, Matką Najświętszą i Jezusem, nie jest prowadzony za lejce przez św. Józefa. „Maszeruje” sam, dziarsko, nie myląc drogi — zapewne prowadzony przez samego Boga. Na dwudziestowiecznym witrażu z tą samą sceną w innym kościele, Mont-Saint-Eloi w Pas-de-Calais, widać, jak osiołek karmiony jest przez anioła.

Moim „faworytem” ikonograficznym jest siedemnastowieczna grawiura Sebastien Bourdona ze sceną ucieczki

Świętej Rodziny do Egiptu. Osiołek, prowadzony za lejce przez św. Józefa, nie jest godzien nieść na swym grzbiecie Jezusa (Maryja idzie obok, niosąc Dzieciątka na rękach), dźwiga tylko bagaże. Święty Józef trwożliwie odwraca głowę, by sprawdzić, czy z Maryją i Dzieciątkiem wszystko jest w porządku. To samo robi osiołek. Wydaje się, że z jeszcze większą trwożliwością: z z troskaniem, miłością, tęsknotą.

Prawda o Zmartwychwstaniu Chrystusa pozwalała chrześcijanom w Średniowieczu dawać w Wielkanoc upust swojej radości, i to nawet w świątyniach. Radość ta przybierała często formy groteskowe, czy wręcz błazeńskie. Mój upust radości chciałbym wyrazić pewną małą śmiałością teologiczną. Otóż wierzę, że niedaleko od Chrystusa Zmartwychwstałego w Niebie przebywają także i te osiołki, które ratowały Mu życie, gdy był pośród nas na ziemi w ciele, i te, które były Mu pomocne w wyrażeniu jego Tajemnicy, że jest Mesjaszem, Synem Boga Żywego (osiołek z Niedzieli Palmowej).

Może nie byłoby nie na miejscu zwrócić się w wielkanocny poranek do osiołka, który uchodził z Jezusem do Egiptu, z prośbą, by odwrócił swoją głowę ku mnie, w Niebie, teraz, jak to zrobił wówczas wobec Jezusa? Może przez to Zmartwychwstały Chrystus spojrzałby prędzej na mnie. To by mi wystarczyło: jedno spojrzenie Chrystusa Zmartwychwstałego! Na wielkanocną prośbę osiołka.

Wielkanoc, marzec 2002

Nie wypuszczę tej nici z ręki

Bronić Boskiego pochodzenia chrześcijaństwa wszelkimi możliwymi argumentami — taki był kiedyś sposób. Rozwinięty zwłaszcza wtedy, gdy oręż fizyczny przestał być skuteczny, a stosy dla heretyków wygasił podmuch tolerancji w Europie u progu ery nowożytniej.

Apologetyka przetrwała omal do czasów Soboru Watykańskiego II. Największy jej rozkwit przypada na wiek XIX. Po jakie argumenty sięgano, by bronić boskości chrześcijaństwa, można się przekonać, biorąc do ręki literaturę z tego okresu. Podam jako przykład jedną z broszur przechowywanych w naszej jezuickiej bibliotece w Krakowie. Pochodzi ona — jak głosi *ex libris* — z „Księgozbioru Rady Stanu J. K. Szaniawskiego, członka Rady Stanu i Rady Wychowania Publicznego w Królestwie Polskiem”. Autor nie jest znany. Ukazała się w Weimarze w 1837 r. W tłumaczeniu polskim jej tytuł brzmi: *Upadek narodu żydowskiego jako najbardziej niezbity dowód na Boskość Chrześcijaństwa i jako tryumf nad wszystkimi niewiernymi i wątpiącymi*.

Nie takiej obrony chrześcijaństwa życzył sobie Chrystus. Jak podają Ewangelie, po Zmartwychwstaniu ukazał się tylko swoim uczniom i niewiastom, które mu towarzyszyły w Jego wędrówkach apostoelskich, czym ściągnął na siebie kpinę ze strony Celsusa, najgłośniejszego krytyka chrześcijaństwa w II wieku. Celsus dziwił się, że Chrystus nie ukazał się Piłatowi i arcykapłanom żydowskim. Dał

tym dowód całkowitego niezrozumienia Chrystusa „od wewnątrz”. Nie było bowiem w postawie Chrystusa ani cienia chęci zapanowania nad swoimi „przeciwnikami” czy choćby śladu woli ich upokorzenia. Co więcej, nie było u Chrystusa w ogóle chęci przyparcia kogokolwiek do muru oczywistością Zmartwychwstania. Chrystus nie chciał nadać prawdzie o Zmartwychwstaniu (jak zresztą żadnej innej prawdzie objawionej) takiej jasności, jaką posiadają pewności matematyczne, że dwa razy dwa jest cztery.

To nie znaczy, że dla Chrystusa jest rzeczą obojętną, czy ktoś będzie wierzył w Jego Zmartwychwstanie, czy też nie. Nie! Dopiero prawda o Zmartwychwstaniu Chrystusa, która jest zarazem i prawdą o naszym zmartwychwstaniu, przynosi nam pełne wyzwolenie. Wnosi prawdziwy pokój w nasze serca. Bo możemy żyć z podniesioną głową, gdyż nikt i nic nie jest w stanie odebrać nam daru życia. Dlatego Chrystus opatrzył tę prawdę znakami, wobec których trudno przejść obojętnie. Są one jednak takiej natury, tak dyskretne, że nie zniewalają nikogo swoją oczywistością.

Każdy posiada inną wrażliwość religijną i inaczej reaguje na owe znaki, przemawiające za prawdziwością Chrystusowego objawienia. Nie wszystkie są jednakowo czytelne. Znakiem, który najsilniej do mnie przemawia, jest forma gramatyczna słów Chrystusa, wypowiedzianych do Marty przy grobie jej brata Łazarza, na krótko przed Męką. Mówię wyraźnie: „forma gramatyczna”. Chrystus nie powiedział: „Ja zmartwychwstanę i będę żył” (ani: wy też zmartwychwstaniecie i będziecie żyć). Takie stwierdzenie nie byłoby w stanie poruszyć mnie wewnątrz. Zostawiłoby mnie chłodnym, obojętnym. Uznałbym je wręcz za próbę pocieszenia mnie, i nic więcej.

Z moich doświadczeń duszpasterskich z osobami przebywającymi w domach starców wynika, że istnieje u nich niewielkie „zapotrzebowanie” psychiczne czy du-

chowe na zmartwychwstanie, na życie wieczne, także u osób wierzących. Wszyscy boją się śmierci i chcieliby żyć. Ale bardzo niewielu pragnie zmartwychwstania, życia wiecznego. Wielu odbiera tę możliwość jako koszmar. Najczęściej chcieliby zasnąć bez bólu i nie obudzić się więcej, choć pragnienie spotkania „na drugim świecie” z najbliższymi jest niekiedy bardzo silne.

Może kogoś zgorzę, jeśli powiem, że i ja osobiście nie jestem zainteresowany tym, by moje obecne życie trwało bez końca. Nie chciałbym żyć wiecznie takim, jakim jestem. Z moim obecnym wyposażeniem fizycznym, psychicznym, duchowym, z tymi, a nie innymi moimi upodobaniami, w „więzieniu” mojego konkretnego kształtu osobowościowego. Czy będziemy mogli „porozumieć się” w życiu wiecznym z tymi, którzy żyli na ziemi w kulturach nam zupełnie obcych, np. z kanibalami, azteckimi kapłanami, którzy wyrwali swoim ofiarom żywe serca i składali je w ofierze bogom, z matkami z Kartaginy w Afryce, które składały swe dzieci w ofierze Saturnowi, wrzucając je w olbrzymią, ziejącą ogniem paszczę bożka wykonanego z metalu? Życie wieczne nie będzie przesiadką do innej karo-cy — złotej, pięknej, bezpiecznej, która powiezie nas szczęśliwych w podróż bez końca po zaświatach.

Co innego życie wieczne w Bogu, w Chrystusie! Będzie to stałe, fascynujące wzbogacanie swej osobowości przy zachowaniu poczucia własnej tożsamości, ekstaza i wyciszenie, poznanie i miłość. W Średniowieczu wierzo-no w istnienie fontanny młodości. Każdy, komu było dane do niej wejść, odzyskiwał fizyczną i duchową młodzięń-czość. Taką fontanną wiecznej młodości i szczęścia bez końca będzie dla nas Bóg w Jezusie Chrystusie.

Może ktoś powiedzieć, że są to wszystko mrzonki, co najwyżej trochę bardziej wysublimowane. Dowód, że to jest prawda? Mój dowód jest maleńki, szary, niepozorny

jak kształt i upierzenie słowika. Ale przemawiający melodią nie z tego świata. Wracam do słów Chrystusa: „Ja jestem Zmartwychwstaniem i Życiem” (J 11, 25). Wydaje mi się, że gramatyka ludzka, taka jaką znamy w świecie podksiężycowym, nie byłaby w stanie wymyślić podobnego sformułowania. „Ja jestem Zmartwychwstały, Żyjący” — takie sformułowanie mieściłoby się w możliwościach logicznych naszego języka, ale „Ja jestem Zmartwychwstaniem i Życiem” jest meteorytem z innego świata, sformułowaniem, które „wymyślić” mógł tylko sam Bóg, Chrystus. By na takie sformułowanie „wpaść”, trzeba było mieć świadomość Boską. I mieć ją prawdziwie, a nie samozwańczo czy szaleńczo.

Zmartwychwstaniemy jako naczynia połączone w Bogu, w Chrystusie. Nasze obecne życie biologiczne nie jest jeszcze pełnym życiem. Sytuuje się na jego obrzeżach. Ma kształt nie rozwiniętego jeszcze pąka kwiatu. Jeśli dla ewangelistów, Mateusza, Marka i Łukasza, zmartwychwstanie i życie wieczne będą naszym udziałem u końca czasów, to dla św. Jana, który podał nam słowa Chrystusowe: „Ja jestem Zmartwychwstaniem i Życiem”, już teraz w pewnej mierze jesteśmy polem działania mocy Zmartwychwstałego Chrystusa i jako tacy już teraz, jeszcze przed śmiercią biologiczną, nosimy w sobie zalążki Zmartwychwstania i Życia Wiecznego.

Czy dla kilkuletniego dziecka jest większy dramat, niż kiedy wiatr wyrwie mu z ręki kolorowy balon, kupiony na odpustowym straganie przez ojca? Taki dramat przeżyłem, gdy ojciec kupił mi na odpuscie w naszej parafii, w Łososinie Górnej, balon mieniący się w słońcu różnymi kolorami. Mocno trzymałem go za sznurek, podziwiając esy i floresy, które zataczał nad moją głową. Nagle wyrwał mi się z ręki i poszybował za las. Marzyłem ciągle o jego powrocie.

Gdy dorosłem, przełożyłem sobie „balonową” metaforę na świat wiary; ten kolorowy balon był pełen niesamowitych rzeczywistości, których nie wymyśliłaby żadna bajka. Mój balon wiary czasami znikał z mego pola widzenia, ale powracał, ciągle piękniejszy, bardziej kolorowy, niesamowity, nieprawdopodobny. I dał mi Pan Bóg wielką łaskę, mocny sznurek, na którym go trzymam, mocną złotą nić, słowa, które nie przestają mnie intrygować: „Ja jestem Zmartwychwstaniem i Życiem”. Nie wypuszczę tej nici z ręki.

kwiecień 2002

„Dlaczego stoicie i wpatrujecie się w niebo?”

Nie! Tytułu nie wzięto z pism Marksa ani z Nietzschego. Nie jest on ilustracją tezy, że religia jest szkodliwa, bo odwodzi ludzi od spraw tego świata. Jest cytatem z Biblii, z Dziejów Apostolskich, wziętym z opisu Wniebowstąpienia Chrystusa: „Mężowie z Galilei, dlaczego stoicie i wpatrujecie się w niebo? Ten Jezus, wzięty od was do nieba, przyjdzie tak samo, jak widzieliście Go wstępującego do nieba” (1, 11).

Religia to dwie postawy. Postawa „wertikalna”: tylko ja i Bóg. „Bóg i moja dusza” — jak mawiał św. Augustyn. Nic obok. I nikt obok. Żadna inna twarz ludzka — poza moją. I żadne sprawy tego świata — poza moimi. Nie można odrzucać tej postawy. Wręcz przeciwnie — jest ona konieczna. Bez niej religia obumiera. Potrzebujemy jej jednak na tej zasadzie i w tym „wymiarze”, w jakim ryba potrzebuje wynurzyć się od czasu do czasu z wody, by zaczerpnąć powietrza. Nie może to być jedyny sposób przejawiania religijności. Nie może ona na tym się wyczerpywać.

Nie ma prawdziwej religijności bez „obok”, bez „horyzontalności”, bez miłości bliźniego. Bez miłości ku drugiemu człowiekowi załamuje się religijność „ku górze”, „wertikalna”.

„Jeśli by ktoś mówił: «Miłuję Boga», a brata swego nienawidził, jest kłamcą [...]. Takie zaś mamy od Niego przykazanie, aby ten, kto miłuje Boga, miłował też i brata swego” (1 J 4, 20–21).

Miłując bliźniego, miłujemy Boga, bo każdy człowiek został stworzony na Jego obraz. W każdym człowieku odbija się jak w lustrze Bóg. Chrześcijanie wiedzą jeszcze więcej (jest to wiedza pokorna). Wiedzą z Objawienia Bożego, że każdy człowiek jest dzieckiem Boga: przybraną córką, przybranym synem w Synu Odwiecznego Ojca, w Jezusie Chrystusie. Naszym przeznaczeniem nie jest „nicość”, rozproszenie się w kosmosie, lecz przez wszczęcie w Chrystusa — udział w życiu Nieśmiertelnego Boga. W Chrystusie i z Nim tworzymy wspólnie jeden wielki organizm, system „naczyní połączonych”.

Będziemy sądzeni z miłości, powiedział ktoś. Z miłości bliźniego. Bo bliźni jest naszą „drogą” do Boga. Kto tej drogi nie zna, nie może znać celu. Nie zna Boga. Jeśli twierdzi inaczej, łudzi się, kłamie, jak mówi św. Jan Ewangelista. Zna tylko siebie i adoruje swoją własną „podobiznę”.

Święty Mateusz zostawił nam opis Sądu: „Bo byłem głodny, a nie daliście mi jeść» [...]. «Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym?» [...] «Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili»” (Mt 25, 42–46).

Wydaje się, że ten tekst nie został nigdy przez nas, chrześcijan, wzięty na serio. Nie odkryliśmy jeszcze jego ładunku ideowego i wszystkich implikacji, jakie w sobie zawiera, nie mówiąc już o przełożeniu owych treści na porządek społeczny, polityczny, ekonomiczny.

Święty Grzegorz z Nazjanzu pisał w dziełku *O miłości ubogich*: „Wyzwólcie Chrystusa, wyzwólcie Go z głodu [...]. Póki nie jest za późno. Przyjdźcie Chrystusowi z pomocą, nakarmcie Go...”

Grożą nam w Polsce, nam, ludziom wierzącym, chrześcijanom, trzy niebezpieczeństwa.

Pierwsze — to wiara bez uczynków. Wiara, która nas nie przemienia. Wychodzimy z kościoła tacy sami, jacy do

niego przyszliśmy. Czym wytłumaczyć fakt, że nie odnotowuje się w Polsce gwałtownego spadku praktyk religijnych, a równocześnie gołym okiem można stwierdzić, że w społeczeństwie nastąpił upadek moralności? Wymieńmy tu choćby wzrost egoizmu, żądzę zysku za wszelką cenę, brak życzliwości i w ogóle przestępczość.

Grożą nam, po wtóre, „uczynki bez wiary” (chodzi ciągle o nas, ludzi wierzących, chrześcijan). Jeden z amerykańskich teologów luterańskich tak scharakteryzował swoje społeczeństwo: „Amerykanie są jak nasi prezydenci. Są religijni, ale ich religia nie ma wpływu na ich decyzje. Większość ludzi, którzy są zadowoleni z tego, że prezydent Bush chodzi do kościoła, wyraziłaby swe niezadowolenie, gdyby prezydent powiedział, że jego wiara tkwi u źródła jego deklaracji i decyzji publicznych”.

Wreszcie niebezpieczeństwo trzecie: nasze — ludzi wierzących, chrześcijan — przekonanie, że zrobiliśmy wszystko, co do nas należało, jeśli jasno i dobitnie sformułowaliśmy wymogi etyczne i, co najwyżej, przypomnieliśmy państwu, jakie na nim spoczywają obowiązki. Święty Jan Chryzostom nie oglądał się na państwo, tylko sam opracował plan, jak przyjść z pomocą biednym w wielkich miastach. Nowo mianowany arcybiskup Pragi, abp Vlk, powiedział: ludzie w społeczeństwie postkomunistycznym nie lubią teraz naszych nauk, ale przyjmą nasze świadectwo. Może właśnie tędy prowadzi droga — świadectwo, jeśli już nie wpierw, to przynajmniej równocześnie z głoszeniem nauk.

*

Chrystus nie odszedł do nieba, żeby być od nas dalej. Przeciwnie. Żeby być bliżej. Jest teraz w „zasięgu” każdego serca. Teraz, gdy nie przebywa pośród nas w ciele, lecz „siedzi po prawicy Ojca”.

Chrystus nie odszedł do nieba, żebyśmy się weń tylko „wpatrywali”. Wstępując tam, posyła swoich uczniów na krańce ziemi, by głosili Ewangelię. Dzieje Apostolskie w opisie sceny Wniebowstąpienia cytują Jego słowa skierowane do uczniów: „Będziecie moimi świadkami”.

Mamy być świadkami Boga. Świadkami miłości Jego, który „sprawia, że słońce Jego wschodzi nad złymi i nad dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych” (Mt 5, 45).

Świadkami Chrystusa. Świadkami Jego miłości. Po krańce ziemi. Po krańce naszych możliwości. Możemy być nimi, bo tkwią w nas siły Zmartwychwstałego, który „wstał do nieba i siedzi po prawicy Ojca”.

maj 1991

Wzięta z ciałem do nieba

Nie przez swoją poetycką wizję nieba wszedł Dante do literatury światowej. Tylko przez opis piekła. Czyż cierpienie nie wydaje się bliższe człowiekowi aniżeli szczęście? Na określenie tego, co nas boli, mamy do dyspozycji wiele słów, pojęć i ich odcieni, a wyobraźnia ludzka roi się od obrazów nieszczęść. Arsenal środków słownych i wyobrażeniowych do opisu szczęścia jest natomiast o wiele uboższy. Wystarczy zresztą przyrzeć się inwencji ludzkiej w ciągu dziejów w wynajdywaniu tortur dla ducha i ciała. Jest ona o wiele bogatsza niż twórczość w przybliżaniu ludziom szczęścia. Piekło i niebo — dwa przeciwstawne bieguny ludzkich doznań. Niczym dwa magnesy, ku którym ciąży wszystko, czego w dobrym lub złym doświadczyć może człowiek. Tutaj na ziemi i w wieczności. Tutaj — gdzie szczęście i cierpienie są przemieszane. Tam — w formie czystej. Kiedyś wizja nieba i piekła malowała się wyrazistym obrazem w ludzkiej świadomości. Wystarczy wziąć do ręki listy św. Cypriana (III wiek). Myśl o niebie pozwalała mu spojrzeć z pogodą ducha, a nawet z radosnym wyczekiwaniem na możliwość śmierci męczeńskiej (która stała się zresztą jego udziałem). Jak intensywnie zaś przeżywany był lęk przed piekłem, może zaświadczyć dowolny podręcznik historii sztuki. Wystarczy choćby przykład *Sądu Ostatecznego* z Kaplicy Sykstyńskiej (Hans Urs von Balthasar w jednym ze swych ostatnich wywiadów wyraził się, że z powodu tego dzieła nie cierpi Michała Anioła; bliższy mu jest Chrystus Fra Angelica).

Piekiełło i niebo były niegdyś nie tylko w zasięgu ludzkiej wyobraźni, ale także bliskie ludziom przestrzenie. Jeszcze dla Piotra Skargi opary unoszące się z wulkanu Etna na Sycylii zdawały się potwierdzać lokalizację czeluści piekielnych we wnętrzu ziemi. Dzisiaj już nikt nie lokalizuje nieba, podnosząc palec ku górze. Wiedza o świecie pozwoliła na oczyszczenie pojęcia nieba i piekła z naiwnych, a często także chorobliwych przerostów wyobraźni. Nie można już doszukiwać się nieba i piekła w kosmosie. Piekło i niebo to stan. Przypieczętowany nim zostaje raz na zawsze los pośmiertny człowieka. A jeśli już ten stan należy „lokalizować”, to można to czynić jedynie, odnosząc go do Boga: w bliskość ku Niemu i w oddalenie od Niego. Stanowi to zarazem o treści owego stanu. Nasza miłość ku Bogu — sama wyrastająca z daru Bożego — otwiera przed nami na oścież wrota Miłości Odwiecznej, którą jest Bóg. Kto przez te wrota przejdzie, ten już więcej z Boga nie „wypadnie” po wszystkie wieki. Jeśli człowiek przekroczy je w momencie zejścia z tego świata, znajdzie się w niebie. Dozna swego ostatecznego dopełnienia. „Niespokojne jest nasze serce, dopóki nie spocznie w Tobie, Panie” — powie św. Augustyn (często zapomina się o zdaniu, które poprzedza to stwierdzenie, a mianowicie, że Bóg stworzył nas dla siebie). Może umysł i ciało protestować przeciw tej prawdzie. Nikt jednak, choćby tego najbardziej chciał, nie jest w stanie porzucić swej łaski pielgrzymiej tutaj na ziemi. Dzierży ją w ręku każde ludzkie istnienie. Bo nikt nie może wyzbyć się tej przypadłości, że jest bytem stworzonym dla Boga. Choć można się rozminąć z Bogiem na wieki, i to jedyny prawdziwy tragizm w życiu ludzkim!

Idea „wiecznego spoczynku” w Bogu — bez komentarza Bożego słowa — nie jest zdolna sama z siebie rozpogodzić oblicza ludzkiego. Trudno też jest wywikłać się umysłowi ludzkiemu z pozornych sprzeczności, w któ-

re popada, gdy się nad nią pochyla. Immanuel Kant w piśmie *Das Ende aller Dinge (Koniec wszystkich rzeczy)* dał wyraz niepokojom, jakie budziła w nim sama już myśl o dopełnieniu w wieczności, które ma się stać udziałem człowieka. Wydawało mu się, że z chwilą przekroczenia progu wieczności każda osobowość ludzka ulega duchowemu skostnieniu, całkowitej wewnętrznej petryfikacji. „Ostatnia myśl, ostatnie uczucie zatrzymują się w myślącym podmiocie i bez zmiany pozostają w tym samym stanie na zawsze”.

Postawa absolutnej statyczności tak zbawionych, jak i potępionych wydawała mu się relatywizować ostatecznie różnicę między jednymi i drugimi. „Jedni intonować będą zawsze tę samą pieśń, ich *Alleluja*, a drudzy wciąż te same płacziwe jęki”.

Powtarzanie jednej i tej samej czynności przez zbawionych i potępionych oceniał równie negatywnie i stan ten wydawał mu się jednakowo nie do zniesienia. Kant jednak nie byłby myślicielem, gdyby nie wysunął — teoretycznie — alternatywy dla swych poglądów na życie wieczne. Miało nią być przyjęcie możliwości stałego, nigdy nie kończącego się dążenia ku osiągnięciu Dobra Najwyższego. Ale i ten model wieczności nie znalazł łaski w jego wyostrzonym filozoficznie umyśle. Każdy przebyty etap poznawczy musiałby zostać oceniony jako niedoskonały. Niedoskonałością naznaczony byłby ponadto cały proces dążenia ku Dobru Najwyższemu, z uwagi na faktyczną nieosiągalność celu. Zamiast radości, udziałem pragnącego posiąść Dobro Najwyższe stałby się nieustanny niepokój. Tak więc obydwie modele — a na trzeci według niego nie ma miejsca — Kant odrzuca. Pierwszy z racji jego statyczności, drugi z uwagi na tkwiącą w nim pełną niepokojem mobilność.

Tylko Bóg, autor życia, może objawić ostatecznie człowiekowi, jaką wieczność mu przygotował. Bóg oczy-

wiecie nie jest na usługach naszej ciekawości, choćby była ona szlachetnej, intelektualnej natury. Jest tylko na usługach naszego zbawienia. A droga do niego nie musi prowadzić przez kolorową krainę ciekawości, lecz przez wiarę. Zawierzenie. Niejednokrotnie z pochylonym w pokorze umysłem. Pismo Święte zawiera wiele obrazów, które chcą nam przybliżyć rzeczywistość wieczności. Wszystkie znajdują się pod dachem jednego imienia: ŻYCIE. Są one pełne symbolizmu, który stanowi kres naszych możliwości językowych; za nim może panować tylko milczenie. Życie w obfitości — pokój wieczny, patrzenie twarzą w twarz — Królestwo Boże, uczta biesiadna — światłość odwieczna. I wiele innych. Będzie wieczność ruchliwa życiem i spokojna pokojem. Będzie pełnym dążeniem i pełnym posiadaniem. Będzie istnieniem w bezpośredniej bliskości Boga, który jest życiem spoczywającym w sobie i spoczynkiem tętniącym życiem, Bóg Jeden w swej naturze i Trójsty we wspólnocie Boskich Osób.

Że możliwy jest — wbrew Kantowi — równocześnie stan spoczynku i stan ruchliwości, pełny spokój przy obfitości życia i pełne życie przy obfitości spokoju, starał się ukazać Karl Rahner, doszukując się śladów wieczności obecnej w naszym porządku ziemskim. Bo jeśli jest prawdą, że wieczność już się „zaczęła”, to okruchy jej światła powinny kłaść się na nasze ziemskie doświadczenia życiowe. Rahner wymienia m.in. takie zjawiska, jak trwałość identyczności ludzkiej jaźni, mimo wartkości potoku doznań i coraz to nowych sytuacji w życiu danej osoby, oraz doświadczenie duchowe, którego doznajemy w procesie myślenia, skupiającym w jedność przeszłość, przyszłość i terażniejszość.

Nie są do pogodzenia z chrześcijańską wizją Boga i stworzenia opinie tych mistyków, którzy mówią o zlaniu się w wieczności ludzkiej osoby w jedną całość z Bogiem, jak kropla ginąca w oceanie.

„Bóg jest prawdziwą, czystą, jasną jednością, oddzieloną od wszelkiej dwoistości. W tę jedność zapadamy się na wieki, przechodząc z czegoś w nicłość” — tak opisywał Mistrz Eckhart swą wizję intelektualną wieczności.

Dogmat o Wzięciu do nieba Najświętszej Maryi Panny z ciałem i duszą „po ukończeniu Jej ziemskiego bytowania” jest zadziwiający w swej suwerenności wobec dyskusji na temat ostatecznych przeznaczeń człowieka. Nie stoi on nawet w pierwszym rzędzie na usługach tych prawd, choć są one wielkie i zasadniczej wagi dla człowieka. Chce być przede wszystkim aktem sławienia Bożej Rodzicielki i wielbienia Dobroci Boga. Stąd jego struktura hymnologiczna, co go wyróżnia od wcześniejszych sformułowań doktrynalnych, zwłaszcza w Kościele zachodnim. Oczywiście ów akt sławienia Maryi i wielbienia Boga nie jest pozbawiony treści. Ale nie treść jako taka zajmuje pierwsze miejsce. Tylko osoba, którą ta treść określa: Maryja, Matka Chrystusowa, która przebywa poza granicami śmierci, żyje, jest w Ojczyźnie Niebieskiej, znajduje się u celu, w pełni posiadania swego człowieczeństwa, z duszą i ciałem, u boku swego Syna, Boga i Człowieka. Papież Pius XII zdefiniował w 1950 r. prawdę o Maryi, którą Kościół zawsze posiadał. Zawarta w Objawieniu od początku, powoli była odkrywana przez Kościół, by stać się dobrem powszechnym od połowy pierwszego tysiąclecia chrześcijaństwa.

Prawda o Wniebowzięciu Najświętszej Maryi Panny jest niezwykle prosta, jak wszystko, co wielkie, Boże. Wszystko, co proste, może jednak jaśnieć takim światłem, że oślepia. Nie da się wtedy patrzeć wprost. Jak nie można wprost patrzeć na słońce. Tylko na to, co ono oświetla. Prawda o Wniebowzięciu Maryi oświetla naszą egzystencję. Uczy szacunku dla ducha i dla materii, i to nie tylko tej, z której zbudowane jest nasze ciało. Stoi na straży

jedności człowieka jako bytu duchowego i cielesnego. Strzeże ludzkiej identyczności. Czyż może ciało zająć przestrzeń wypełnioną drugim ciałem? Ciało odgradza. Ale i służy do komunikowania. Uścisk dłoni może powiedzieć niekiedy więcej niż cała księga. Prawda ta poucza o prawdziwych zamiarach Boga wobec nas. Jeśli wyszliśmy spod Jego ręki jako istoty cielesno-duchowe, to takimi też pozostaniemy u Niego przez całą wieczność. Maryja pierwsza dotarła do tego celu. Z przywileju Bożego.

Racje teologiczne, przemawiające za wzięciem Maryi, Matki Jezusa Chrystusa, z ciałem i duszą do nieba, są rozliczne. Czyż Ta, która dała początek Ciału Boga i człowieka, nieskażonemu Ciału Chrystusa Zmartwychwstałego, mogła sama doznać grobowego skażenia?

Nie najmniejszą racją i wysuniętą przez nie najmniejszego z teologów (Hansa Ursa von Balthasara) jest ta, że Chrystus potrzebował w niebie towarzystwa swej Matki. Towarzystwa człowieka. Człowiek nie może sam istnieć. Byłaby to sprzeczność. Nie może istnieć sam — nawet w niebie.

Maryja jest figurą Kościoła. To, co się stało Jej udziałem, będzie kiedyś i naszym. Gdy Bóg odsieje w Dniu Ostatecznym ziarno naszego życia od plew, które nagromadziliśmy podczas naszej egzystencji. Nastanie wtedy nowa ziemia i nowe niebo. Przyobleczemy się w nowego człowieka. Z ciała i ducha. Pozwólmy się zaskoczyć inwencji Boga, który jest Twórczością ze swej natury. Zawierzmy naszemu Stwórcy, od którego pochodzi wszelkie piękno, dobro wszelakie i każde szczęście. Żadna ludzka świadomość nie zostanie spetryfikowana na progu wieczności w tym stanie, w jakim ją śmierć zastała — czego tak bardzo lękał się Kant. Nie trzeba żywić obaw, że zbawieni zatrzymają się na tym poziomie duchowym, jaki posiadali w momencie śmierci. Nie będziemy mieli trud-

ności w znalezieniu wspólnego języka z fellachem z Egiptu, który umarł lat temu pięć tysięcy i dostał usprawiedliwienia od Boga. To także należy do okruszyn spadających ze stołu Bożej prawdy o Wzięciu do nieba, wraz z ciałem, Najświętszej Maryi Panny.

sierpień 1986

„Dzień narodzin”

„Katylii, najśłodszej córce, w pokoju, matka Ingenua. Pochowana dnia 23 czerwca za trzeciego konsulatu Dioklecjana i za drugiego Maksymiana” (rok 287 po Chr.) — napis na płycie nagrobnej chrześcijanki Katylii, cmentarz św. Hipolita, obecnie Muzeum Watykańskie. Jest to jedno z trzydziestu czterech tysięcy epitafiów chrześcijańskich starożytnego Rzymu, które zostały dotychczas opublikowane w wielotomowej serii (jeszcze nie zakończonej): *Inscriptiones christianae Urbis Romae septimo saeculo antiquiores* (*Inskrypcje chrześcijańskie Miasta Rzymu sprzed VII wieku*). Skąd wiemy, że Katylia była chrześcijanką? Mamy na to dwa dowody. Pierwszy to wyrażenie o charakterze wyraźnie biblijnym: „w pokoju” (*in pace*). Paganie nie posługiwali się tym zwrotem w swych napisach nagrobnych. Początkowo „pokój” (*pax*) na epitafiach chrześcijańskich w Rzymie (najstarsze z końca II i początku III wieku, przede wszystkim w katakumbach św. Pryscylli) używany jest w formie pozdrowieniowo-pożegnalnej: „pokój”, „pokój z tobą”, „pokój tobie”, tak w języku łacińskim, jak i greckim. Chrześcijanie zastępowali nimi formuły klasyczne, w użyciu u pogan, łacińskie i greckie, jak np. *salve, ave, vale, haire* („witaj”, „żegnaj”, „bądź pozdrowiony/pozdrowiona”). Około połowy III wieku zaczynają się pojawiać określenia o wyraźnym profilu eschatologicznym, jak cytowane już „w pokoju” czy też „pokój z tobą w Bogu”, „pokój z tobą w Panu”. Ponadto występuje klasyczny

zwrot życzeniowy, w użyciu wśród żyjących: „obyś żył” (*vivas*), wprzęgnięty w służbę treściom eschatologicznym poprzez dodatek „w Bogu” (*in Deo*): „żyj w Bogu” (po łacinie i grecku). Drugi dowód to przymiotnik „pochowana” (*deposita*). Oznacza on „złożenie czasowe”, „złożenie w depozycie”, „schowanie czasowe”. Paganie w swych napisach nagrobnych używali innych określeń, jak „położony” (*positus*), „pogrzebany” (*sepultus*), „złożony w grobie” (*tumulatus*). Nie trzeba dodawać, że wyrażenie „pochowanie” (*depositio, katathesis*) kryje w sobie oczywistą aluzję do zmartwychwstania ciał.

Czym była śmierć dla starożytnych Rzymian pogan? Dla wielu z nich była powrotem na łono matki ziemi („oby ziemia była ci lekką w tym wiecznym w niej przebywaniu” — głoszą liczne epitafia pogańskie). Stoicy tłumaczyli, że życie jest „długiem zaciągniętym wobec natury”, który należy spłacić. Z wielu napisów na nagrobkach pogańskich przebija głęboki pesymizm: „Nie byłem, byłem, nie jestem, wszystko mi jedno” (*non fui, fui, non sum, non curo*), lub tylko po grecku: „Takie jest życie” (*o bios tauta*). Nie brak też epitafiów, które — w duchu wulgarnego epikureizmu — formułują posłanie hedonistyczne: trzy „V V V”, tzn. łaźnie, wino i Wenus. Nie należy oczywiście wnosić, że temat nieśmiertelności nie istnieje na epitafiach pogańskich. Nie chodzi tu oczywiście o nieśmiertelność w ujęciu poety Horacego: „Nie umrę wszystek” (*non omnis moriar*) — o pragnienie przetrwania w pamięci potomnych. Oblicza się, że 12,5 procenta pogańskich napisów nagrobnych podejmuje temat nieśmiertelności, najczęściej w wydaniu: ciało powraca do ziemi, dusza podąża „ku gwiazdom”. W dwu tylko przypadkach nieśmiertelność pojmowana była jako nagroda: u dzieci zmarłych przedwcześnie i u „mężów wykształconych”. Dla większości Rzymian pogan śmierć była jednak tylko przejściem w smut-

ny świat ciemności („ograbiony ze światła”, tak głosi napis o jednym ze zmarłych). Z człowieka zostaje tylko „zwiewny cień” (*levis umbra*).

„Felikolo, pokój tobie w Panu” (po grecku, cmentarz św. Kaliksta, połowa III wieku).

„O, Ojciec wszystkich rzeczy! Tych, których stworzyłeś, przyjmij do siebie: Irenę, Zoa i Marcela. Chwała Tobie w Chrystusie” (po grecku, cmentarz Pryscylli, druga połowa III wieku).

„Leży Wiktor, katechumen, dwudziestoletni, bezżen-ny (dziewica), sługa Pana Jezusa Chrystusa” (po grecku, cmentarz św. Hipolita, III–IV wiek).

„Aprionianie, córce najśłodszej, która żyła 5 lat i 5 miesięcy, sprawili to epitafium rodzice, ponieważ na nie zasłużyła. Aproniano, wierzyłaś w Boga, będziesz żyć w Chrystusie” (cmentarz św. Panfila, koniec III – początek IV wieku).

„Edezjusz, neofita, eunuch pochodzący z Armenii, wierzył w Ojca, w Syna i w Ducha Świętego. Żył 25 lat i spoczął w pokoju 30 września” (cmentarz św. Sebastiana, IV wiek).

„Kalledromo, błogosławiona w Chrystusie, łono wszelkiej dobroci, źródło najczystszej wstydlivości, oddana bez reszty małżonkowi, żyłaś 19 lat. Godnej małżonce mąż” (cmentarz Giordani, IV wiek).

„Aurellius Elianus z Paflagonii, wierny sługa Boga, zasnął w pokoju. Niech Bóg go zachowa w swej pamięci na wieki” (po grecku, cmentarz Domitylli, IV wiek).

„Ten, który chodząc po morzu, podeptał gorzkie fale, Ten, który daje życie ziarnu, skazanemu na śmierć w ziemi, Ten, który potrafił rozwiązać swe śmiertelne pęta i po upływie trzech dni od śmierci przywrócić żywego brata siostrze Marcie, wierzę, że potrafi z prochów wskrzesić Damazego” (Appia-Ardeatina, tekst zachowany w odpisach

średniowiecznych, epitafium papieża Damazego [366–384], ułożone przez niego samego).

Damazysz skomponował około osiemdziesięciu epitafiów na grobach świętych i męczenników w katakumbach rzymskich — i tak np. informacje o św. Marcelinie i Piotrze miał od dzieciństwa od ich kata, a dane o św. Agnieszce czerpał od jej krewnych. Niektóre teksty wyrył na płytach marmurowych Furius Dionizy Folocalus, przyjaciel Damazego. Kaligrafia tych napisów należy do najpiękniejszych, jakie pozostały ze starożytności.

„Reginie, zasłużonej, ufundowała ten grób jej córka. Reginie, matce, wdowie, która przeżyła 60 lat w stanie wdowim i nigdy nie była ciężarem dla wspólnoty. Miała tylko jednego męża. Żyła lat 80, 5 miesięcy i 26 dni” (cmentarz św. Saturnina, koniec IV – początek V wieku).

„Ojczy, matko, nie przelewajcie smutnych łez, nie bijcie się w wasze piersi: — dotarłam bowiem do królestw niebieskich; nie posiadał mnie mroczny Erebus [najciemniejsza część piekła u starożytnych] ani blade oblicze śmierci, ale pokój bezpieczny. Śpiewam i tańczę wśród dusz szczęśliwych, a śmiejące się łąki zbawionych zdobią Ewodię” (cmentarz św. Agnieszki, koniec IV – początek V wieku, na płycie marmurowej monogram Chrystusa).

„Ja, Tygrynus, kapłan, po dopełnieniu terminu śmierci naznaczonego mi przez naturę, składam tutaj moje kości. Duch czysty i członki odpoczywają, każde w przeznaczonym dla siebie miejscu: członki leżą w grobie, dusza zażywa nieba. Nie czuję żadnego lęku o moje ostateczne przeznaczenie. Jedyłą nadzieją zbawienia jest dla mnie Chrystus, pod którego przewodem śmierć umiera. Oto ja, zniewolony słodyczą królestwa niebieskiego, odnowiłem świątynię w różnych miejscach i tutaj, po naprawieniu dachu i odrestaurowaniu całego budynku, na skutek zaważenia się belek nośnych, zasłużyłem sobie, żeby pełen

radości podążać ku komnatom niebieskim” (Via Latina, tekst zachowany w odpisach średniowiecznych, okres pontyfikatu papieża Leona Wielkiego [440–461]).

Nie należy brać za złe wielkiemu budowniczemu (znanemu z innych źródeł), kapłanowi Tygrynusowi, że nie lękał się śmierci i był wręcz dufny w swoje zbawienie. Z jego epitafium, ułożonego zapewne przez niego samego, przebija nowa świadomość, jaką mieli chrześcijanie o stosunku Boga do nich, że Bóg jest ich przyjacielem. Przyjacielem ludzi.

Nie tak myśleli o swych bóstwach starożytni pogaanie. Hipolit ze sztuki Eurypidesa, noszącej ten sam tytuł, był na ziemi w wielkiej zażyłości z boginią Artemidą, dopóki nie sięgnęła po niego ręka śmierci. Wtedy rozwarła się między nim a boginią przepaść nie do pokonania: on umierający, ona — nieśmiertelna. Nie był wtedy nawet wart jej spojrzenia. „Nie, ja nie mogę patrzeć na umarłych — oświadczyła Artemida — nie mogę niszczyć sobie mego wzroku, patrząc na tych, u których życie zanika”. Dwa różne światy.

Chrześcijaństwo wniosło także w stosunki międzyludzkie nowy wymiar. „Przyjaciół przyjaciół” (*amicus amicorum*), widnieje często napis na grobach pogańskich. Chrześcijanie piszą na swych epitafiach: „przyjaciół wszystkich” (*amicus omnium*).

*

„Z nicości do nicości” (*de nihil in nihil*), z niebytu przed narodzeniem do niebytu po śmierci — głoszą napisy na rzymskich epitafiach pogańskich. Inaczej chrześcijanie: „Rodzice synowi Merkuremu, który żył lat V i miesiący VIII. Narodził się w pokoju (*natus in pace*) 9 lutego” (na płycie z cmentarza Domitylli, wiek IV, przechowywa-

nej w Anagni, dzisiaj zaginionej). „Narodził się w pokoju 9 lutego”, czyli umarł w Panu 9 lutego. W języku chrześcijan „dzień śmierci” to *dies natalis*, „dzień narodzin”. Narodzin do życia w Bogu na zawsze. Do życia w Chrystusie, w którym „śmierć umarła”.

październik 1988

Adwent. Rozważanie o końcu świata

„Przyjdzie dzień, kiedy także i Ziemia jako wielka skamienia krążyć będzie wokół Słońca, cała biała. Nie będzie na jej powierzchni żadnego ruchu. W jej wnętrzu spoczywać będą nasze kości”.

Tak pisał Teilhard de Chardin, dopatrując się w Księżycu „nieubłaganego zwierciadła naszej przyszłości”. Wtórkuje mu inny znany francuski uczyony, Jean Rostand: „Jest rzeczą prawie pewną, że Ziemia któregoś dnia ulegnie do tego stopnia ochłodzeniu, iż nie będzie już możliwa na niej kontynuacja życia ludzkiego. Jakąkolwiek rozwinąłby człowiek energię, żeby przetrwać, pewnego dnia, nieuchronnie, będzie musiał ulec w owej nierównej walce”.

Zapasy paliwa nuklearnego w jądrze Słońca zmniejszyły się w ciągu ostatnich pięciu miliardów lat o połowę. Scenariusz, jak przebiegać będzie przyszłość kosmosu, jest nauce już znany. Za 10^{100} lat wybijie dla świata „godzina śmierci”. Dobiegnie wtedy końca proces rozpromienienia materii. Wcześniej nasza Ziemia wyparuje, po wchłonięciu jej przez „czerwonego olbrzyma”, w którego przepoczwarzy się nasze Słońce. To nic, że proces starzenia się i obumierania kosmosu będzie potrzebował olbrzymiej porcji czasu, której ludzka wyobraźnia nie jest w stanie objąć. Jaki jest jednak sens istnienia świata, jeśli skazany jest on na niechybną zagładę, obojętnie, kiedy ona nastąpi? To tak, powiedział ktoś, jakbyśmy walczyli na statku o sprawiedliwość i szczęście, a nagle stwierdzili, że

okręt nasz tonie. Przemiany w kosmosie nie muszą być bezpośrednim wykonawcą wyroku śmierci na ludzkości. Może to uczynić sam człowiek w geście samobójczym. Wystarczy wymienić tutaj zagrożenie, jakie niesie z sobą dla życia ludzkiego potencjał nuklearny na świecie czy zanieczyszczenie środowiska naturalnego (choć trzeba pamiętać, że wszystko jest w ręku Boga, nawet ręka człowieka, porywającego się na życie świata).

Perspektywa totalnej śmierci gatunku *Homo sapiens* jest szczególnie żenująca dla filozofii materialistycznej. Bo na cóż się zda, że „czerwony bohater” — jak tego chce Ernst Bloch — ujdzie zagładzie przez to, iż zostanie „mocno osadzony w głębi serca klasy robotniczej”, jeśli z kolei owa klasa, wraz z całą ludzkością, ma dni „poli-czone” na tej ziemi? Czy można się zatem dziwić, że Karol Marks unika tematu śmierci (wspomina go tylko w dwu lub trzech przypadkach)? Niewiele też wnosi nadziei w temat śmierci ludzkości optymistyczne *credo* w cykliczną strukturę czasu (opiewaną już przez Greków) Fryderyka Engelsa: „Posiadamy pewność, że we wszystkich przemianach materia pozostaje wiecznie ta sama, i konsekwentnie, jeśli pewnego dnia przyprawi ona o zagładę, z nieuniknioną koniecznością, swój własny najwyższy wykwit, myślącego ducha, to trzeba przyjąć z tą samą koniecznością, iż odtworzy go ona ponownie gdzie indziej w innym czasie”.

Cała trudność polega jednak na tym, że „najwyższy wykwit” następca nie będzie nic wiedział o „wykwicie” poprzednika, nawet, czy istniał on kiedykolwiek. Ateistyczna koncepcja świata nie jest w stanie uporać się ze swym cieniem: z widmem nihilizmu. Żaden argument nie zdoła „wyprosić” go z materialistycznej interpretacji rzeczywistości.

Chrześcijaństwo łączy w sobie zaangażowanie w doczesność z nietraceniem z oczu wieczności, wierność ku

temu światu z Nadzieją na „niebiosa nowe i ziemię nową”. Wie ono, że materia, przetworzona mocami Zmartwychwstałego Chrystusa, wejdzie jako budulec w świat przyszły. Końca świata nie pojmuje chrześcijaństwo jako „końca fizycznego”, tylko jako dopełnienie.

Biblia nie konkuruje z nauką w ustaleniu „kiedy” końca świata. Wiedza o tym jest tajemnicą Boga. Pismo Święte mówi tylko o znakach bliższych i dalszych mającego nadejść końca (bez podawania miar czasowych), wśród których na plan pierwszy wysuwa się pojawienie Antychrysta. Według Nowego Testamentu Antychryst przedstawia największą despotyczną potęgę polityczną świata, jakiej dane było kiedykolwiek istnieć na ziemi; warto w tym kontekście przypomnieć słowa Apokalipsy: „«któż jest podobny do Bestii i któż potrafi rozpocząć z nią walkę?» [...] otworzyła [Bestia] swe usta dla bluźnierstw przeciwko Bogu, by bluźnić Jego imieniu i Jego przybytkowi, i mieszkańcom nieba. Potem dano jej wszcząć walkę ze świętymi [...] i dano jej władzę nad każdym szczepem, ludem, językiem i narodem. Wszyscy mieszkańcy ziemi będą oddawać pokłon władcy” (Ap 13, 4–8).

Nie mamy też w Biblii reportażu na temat „jak” końca świata. Wprawdzie znajdujemy na jej kartach szczególnie sugestywne, pełne grozy opisy końca dziejów, ale ich adresatem nie jest ludzka wyobraźnia, tylko ludzkie serce: by przylgnęło do tej wartości, która nie przemija ani nie potrzebuje dopełnienia, bo jest źródłem wszelkich innych wartości — do Boga.

Konrad Lorenz ukuł wyrażenie „fulguracja” na określenie „błyskawicznego” pojawienia się nowych, wielkich przegubów ewolucyjnych, jak na przykład przejście od materii nieożywionej do organizmu żywego, czy od nieświadomości do istot obdarzonych świadomością. Wyrażeniem tym (o wątpliwej skądinąd przydatności poznawczej

na polu nauk ścisłych) można się posłużyć, chcąc przybliżyć prawdę o ostatecznym dopełnieniu świata u końca dziejów. Przejdzie świat z szybkością błyskawicy w inny, nowy jakościowo stan, jak przeszła materia ciała Chrystusa zmartwychwstałego w stan Chwały. Nikomu nie jest dane zaglądnąć poza kurtynę Wieczności Bożej oczyma ziemskimi, choć każdy ma osobistą — może długą — listę życzeń, co chciałby tam zobaczyć. Czy przetrwa koniec świata *Mojżesz* dłuta Michała Anioła? Czy wejdą w wieczne progi nasi czworonożni przyjaciele? Jeśli Bóg jest w stanie, jak zapewnia Biblia, powołać z kamieni synów Izraelowych, to czyż nie jest On mocen dać człowiekowi wszystkiego, co tworzy w pewnym sensie „peryferie” jego życia? Czy przejdzie w wieczność pamięć o dramatach życia ludzkiego i świata? A czyż nie trwa już w Wieczności Bożej pamięć o największym dramacie historii ludzkiej? Czy Chrystus nie nosi w swym ciele uwielbionym śladów ran krzyżowych? Nie będą one w wieczności wyrzutem dla nikogo, tylko znakiem rodzącym miłość. Miłość będzie patronować wystrojowi Nowego Nieba i Nowej Ziemi. Będzie życie w Wieczności Bożej pochodem od miłości ku miłości, od chwały ku chwale, bez nużącego poczucia trwania „w miejscu” i bez poczucia nieskończonej ciągłości. Będzie otwarciem się pełni możliwości, bezmiaru wymiarów, niezliczonych barw twórczości, bo takim jest Bóg.

Nie należy sobie wyobrażać Dnia Ostatecznego na wzór wielkiej rewii teatralnej. Paruzja w znaczeniu świeckim znaczy po grecku tyle, co odwiedziny panującego księcia w jednym ze swych miast. Księcia, który nie przychodzi, by to miasto zdobywać, ale by pozostać w nim razem z jego mieszkańcami. Przyjdzie Chrystus, by pozostać na wieki wśród nas, a my z Nim. Przyjdzie w chwale i mocy swego miłosiernego Oblicza. Odsiane zostanie ziarno uczynków ludzkich od plew. Nie będzie to drugi sąd,

tylko jak gdyby przydzielenie każdej istocie ludzkiej jej miejsca w Królestwie Bożym — bo Dzień Sądu Ostatecznego będzie równoczesny z nadaniem ostatecznego kształtu Królestwu Bożemu. Osądzi Chrystus każdy grzech. Będzie to Dzień rozrachunku z wszystkimi niehumanitarnymi, drapieżnymi systemami (por. Dn 7), które trapiły i zniewalały ludzi. Będzie to Dzień sprawiedliwości, wymierzonej każdej istocie ludzkiej (bo jeśli ma być sprawiedliwość, to musi ona być także i dla zmarłych).

„I otrze z ich oczu wszelką łzę, a śmierci już odtąd nie będzie. Ani żałoby, ni krzyku, ni trudu już [odtąd] nie będzie, bo pierwsze rzeczy przeminęły». I rzekł Zasiadający na tronie: «Oto czynię wszystko nowe»” (Ap 21, 4–5).

Dla każdego, kto umiera, kończy się ten świat. Gasną w jego oczach gwiazdy i słońce, nie dają mu już więcej światłości. Poza progiem śmierci wchodzi on w Światłość sądu Bożego. Nie potrzeba mu więcej światła gwiazd ani blasku słońca. Bo stać będzie przed pełnym miłosierdzia i mocy Obliczem Chrystusowym.

Świat doznaje wciąż bólów przemijania. I Chrystus wciąż jeszcze zstępuje ku ludziom jako droga. Droga, która prostuje nasze ścieżki ku Bogu. Advent.

listopad 1987

„Imiona wasze zapisane są w niebie”

Gdyby ktoś postanowił nie posługiwać się więcej słowem „śmierć” i wyrażeniami pokrewnymi... Gdyby ktoś podjął taką decyzję, to wtedy — odpowiada poetka Marie-Luise Kaschnitz — musiałby zawahać się już przy samym użyciu określenia „zachód słońca”. Już samo spojrzenie na pożółkły liść jesienny powinno by wywołać u niego lęk. Za każdym wręcz słowem kryłoby się niebezpieczeństwo aluzji do śmierci, do przemijania. Starzejący się Picasso nie życzył sobie, by w jego obecności padało słowo „śmierć”. Otoczenie artysty było zmuszone uciec się do spiętrzonych kłamstw, by ukryć przed nim fakt śmierci jego ulubionego kanarka.

Życie ludzkie przemieszane jest ze śmiercią. Komórki umarłe sąsiadują z żywymi. Śmierć wdziera się w spistość naszego organizmu niczym wróg do warownej twierdzy, wykorzystując brak czujności „załogi”. Obrywa brzegi naszego istnienia, jak morze, które wgryza się w ląd. Obumieramy na raty. Z upływem czasu zamykają się przed nami drzwi do szans, możliwości. Blakną nasze wspomnienia. Nikt nie wygrywa walki z przemijaniem. Pozostaje po nas garść prochu.

Gwiazdy, księżyc, słońce są obojętne na nasz los. Matka ziemia nie płacze, gdy kładą nas do grobu. Jest dla niej rzeczą całkowicie obojętną, czy w czasie wstrząsów jej skorupy cegły walących się domów padają na żywych ludzi czy też na uliczny bruk.

Czy dziwić się poecie i jego bluźnierczej ironii?

„Chwalcie trawę i zwierzęta, które żyją obok was i obok was umierają... Chwalcie drzewo, które wyrasta strzeliście ku niebu w podskokach radości z ziemi użyżnionej padliną... Chwalcie serdecznie słabą pamięć Nieba! I że nie zna Ono ani waszego imienia, ani waszego oblicza! Nikt nie wie, że jeszcze tutaj jesteście... Możecie beztrąsko umierać” (Bertolt Brecht, *Grosser Dankchoral*).

Myli się Brecht. „Byt ku śmierci” — tak nazwał człowieka niemiecki filozof. Malraux poprawił Heideggera: człowiek to „byt «przeciw» śmierci”. Już Izajasz — siedemset pięćdziesiąt lat przed Chrystusem — wiedział, że jest ktoś, kto zna nas po imieniu i zna nasze oblicze. Zna „oblicze” nawet nie narodzonego dziecka.

„Nie lękaj się [...] wezwałem cię po imieniu; tyś moim! Gdy pójdziesz przez wody, Ja będę z tobą, i gdy przez rzeki, nie zatopią ciebie. Gdy pójdziesz przez ogień, nie spalisz się, i nie strawi cię płomień. Albowiem Ja jestem Pan, twój Bóg [...], twój Zbawca” (Iz 43, 1b–3a).

A Jezus Chrystus, Syn Odwieczny Ojca, który stał się człowiekiem, by dopełnić obietnic Bożych (i dopełnić ich ponad wszelką miarę naszych oczekiwań), każe nam się radować: „Cieszcie się, że wasze imiona zapisane są w niebie” (Łk 10, 20b). Nie chodzi tu o zapis rylcem, choćby nawet złotymi zgłoskami, na odwiecznych tablicach — w „kancelariach” niebieskich. Chodzi o coś więcej, o coś nieskończenie więcej. O „wpisanie” nas w Boga Nieśmiertelnego i Żywego. „Wpisanie” nas z całym naszym jestestwem. Z naszą niepowtarzalną jaźnią i — po Sądzie Bożym — z przemienionym, chwalebnyim ciałem. Po odsianiu z naszego serca tego wszystkiego, co nie może ostać się przy Świętości Boga. Już teraz wpisuje nas Bóg w swoje Nieśmiertelne Życie.

Nie ma „święta Zmarłych”. Nie można robić święta ze śmierci! Stąd Kościół zna tylko „święta Żywych”:

świętowanie przez żyjących pamięci wiecznie Żywych. Zna Kościół święto Wszystkich Świętych. Święto tych wszystkich, kanonizowanych i nie kanonizowanych, którzy zostali „wpisani” za zawsze w Boga, którzy zostali przyjęci przez Niego do wiecznej Zażyłości z Nim. Jest to święto tych wszystkich, którzy za życia na ziemi byli oknami na Boga, święto tych wszystkich, których serca dotknął Bóg (czy jest choćby jeden człowiek na ziemi, który nie zostałby „wstrząśnięty”, „dotknięty” przez Boga — choćby jeden raz w ciągu swego życia?). I święto Zaduszek, Dzień Zaduszny. Święto tych wszystkich, którzy są jeszcze „wpisywani” w Boga, którzy pozostają jeszcze w drodze do Boga, chociaż przekroczyli już — w przeciwieństwie do nas — bramy śmierci.

Zaduszki — to „najmiłosierniejsze” ze wszystkich świąt. Oznacza, że jest jeszcze dla nas szansa na oczyszczenie poza progiem śmierci. Dla tych, którzy w chwili śmierci „ukierunkowani” są na Boga. Którzy znajdują się w Jego łasce (któż może o kimś powiedzieć, że nie jest w łasce Boga?).

*

Mówi Chrystus w Apokalipsie (3, 5): „Tak szaty białe przywdzieje zwycięzca, i z księgi życia imienia Jego nie wymażę. I wyznam imię Jego przed moim Ojcem i Jego aniołami”.

*

„Wszystko jest w Tobie, mój Boże — modlił się pielgrzym Makary u Dostojewskiego — ja sam jestem w Tobie; przyjmij mnie”. Przyjmij mnie, mój Boże, gdy każesz mi zakończyć pisanie księgi mego życia. Przyjmij mnie!

Król Żebrak

„Czy jest taki król, który by dźwigał oznaki swej władzy na barkach? Królowie przecież noszą diadem na głowie, a berło w rękę. Jest! Jest nim «nowy król wieków». Chrystus. Z krzyżem na ramionach”.

Tak pytał — i tak sam sobie odpowiadał — Tertulian, adwokat w Kartaginie w północnej Afryce, świetny pisarz polemista, pierwszy chrześcijański autor języka łacińskiego w swoim traktacie przeciw Żydom (X, 12).

Gdy Tertulian pisał te słowa — najprawdopodobniej tuż po 200 r., chrześcijanie w Kartaginie płacili już co najmniej od dwudziestu lat wysoką cenę za swą wierność „nowemu królowi”. Tutaj, 17 lipca 180, została ścięta grupa chrześcijan ze Scili. Gdy sędzia, prokonsul Saturninus — wcale nie zły człowiek, będzie nawet tłumaczył się wobec oskarżonych, że i on jest człowiekiem „religijnym” — zaproponuje chrześcijanom, iż da im czas do namysłu, oni odrzucą tę ofertę. „W sprawie tak słusznej nie ma potrzeby, żeby się zastanawiać” — odpowie jeden z nich w imieniu wszystkich. Sędzia mimo to będzie usiłował ponowić propozycję, dając oskarżonym trzydzieści dni czasu. Nie skorzystają z niej i potwierdzą jednogłośnie, że są chrześcijanami. Dwadzieścia lat później — najprawdopodobniej 7 marca 203 — grupa katechumenów, czyli przygotowujących się do chrztu, poniesie śmierć męczeńską podczas igrzysk. Zostaną rozszarpani na arenie przez dzikie zwierzęta. Posiadamy wyjątkowy dokument

o ich procesie i męczeństwie: zapiski więzienne jednej z oskarżonych, młodej rzymskiej matki, Perpetui (jest to jedyny tekst autorstwa kobiety, jaki zachował się z okresu starożytności), uzupełnione opisem męczeństwa bohaterki i innych chrześcijan. (Autorstwo tej drugiej części wielu badaczy przypisywało do niedawna właśnie Tertulianowi). Kiedy strażnik więzienny będzie sobie kpił z towarzyszki Perpetui, Felicyty, krzyczącej z bólu w czasie porodu w więzieniu: „Jeśli cierpisz teraz tak bardzo, to cóż dopiero będzie, gdy staniesz na arenie wobec dzikich zwierząt?”, ta odpowie: „Teraz cierpię ja, jest to moje cierpienie; potem będzie cierpiał ktoś inny w moje miejsce, ponieważ pójdę na męczeństwo z Jego powodu”.

Postać Chrystusa dźwigającego krzyż była bliska chrześcijanom w czasie prześladowań. Inaczej będzie po 313 r., kiedy chrześcijaństwo uzyska status religii równouprawnionej z kultami pogańskimi, a już całkiem inaczej, gdy w 392 r. stanie się religią państwową w Cesarstwie, a kult pogański będzie surowo zakazany. Święty Augustyn ucieszy się z przyjazdu do Kartaginy w marcu 399 r. wysłanników cesarskich, którzy mieli za zadanie dopilnować „burzenia świątyń i wywracania idoli”. Wydawać mu się będzie, że teraz „cały świat stanowi jeden chór wielbiący Chrystusa”.

Zmiany w postrzeganiu postaci Chrystusa są najbardziej widoczne w sztuce. Przez cały IV wiek Chrystus będzie nabierał cech imperialnych (np. Chrystus pantokrator). Nie bardzo też wiadomo, co zrobić z krzyżem. Najczęściej będzie on przedstawiany jako zwycięskie trofeum, a nie znak pokory i poniżenia. A nawet gorzej. Chrystus na sarkofagu z pierwszych lat V wieku, przechowywanym w Muzeum Laterańskim w Rzymie, przedstawiony jest jako młodzieniec, który trzyma w swej prawej ręce wielki krzyż oparty o ziemię, tuż przy nodze,

zupełnie jak żołnierz rzymski, trzymający przy nodze dzidę lub lancę. Rozpocznie się długa historia krzyża-„oręża”. Czy stało się dobrze, że Kościół pospiesznie ustanowił Święto Chrystusa Króla (1926), gdy padły w Europie trony? Czy Kościół chciał przez to natchnąć chrześcijan do gorliwszego angażowania się w budowę lepszego świata, bardziej wolnego, demokratycznego?

Jak mówić dzisiaj sensownie o Chrystusie Królu bez nostalgii za przeszłością, bez złych skojarzeń, bez zniewalania umysłów i sumień?

Chyba tylko tak, jak o Chrystusie Królu „pisał” Rabindranath Tagore w swej *Ofierze lirycznej*, choć autorowi zapewne na myśl nie przyszło, że pisze właśnie o Nim. Żebrak, idący od drzwi do drzwi i proszący o jałmużnę, zatrzymał się na chwilę na drodze, by odpocząć. Nagle zobaczył nadjeżdżający wspaniały powóz, cały ze złota, a w nim króla wszystkich królów. Ucieszył się ogromnie, myśląc o hojnym datku wielkiego władcy. Oby tylko powóz zechciał się zatrzymać. I rzeczywiście. Złota karoca zatrzymała się tuż przed nim. Co więcej — król osobiście wyszedł z powozu i podszedł do niego. Jakież było jednak zdziwienie żebraka! Wielki król wyciągnął ku niemu swą pustą dłoń i powiedział: „A ty, co masz mi do dania?” Osłupiały z wrażenia żebrak zaczął gorączkowo szukać czegoś w swej torbie podróżnej. Miał w niej garść ryżu. Wziął jedno ziarenko i ostrożnie położył je na dłoni wielkiego króla. Ten skłonił się i odjechał. Wieczorem, gdy żebrak zaczął przygotowywać się do spania, otworzył torbę. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pośród szarych ziaren ryżu znalazł jedno ziarenko... złote.

Wierzę w Chrystusa, który nas przemienia. W Króla Żebraka.

Czy wiedział o tym Moravia?

Stary, niewielki, murowany kościół. W wysokich drewnianych ławkach siedzi skulonych kilkanaścioro wiernych. Sami staruszkowie i staruszki. O siwych włosach, pomarszczonych twarzach, zapadniętych policzkach, wyblakłej i pożółkłej cerze. Jedyne przejawy tłęcego się w tych starcach życia to roziskrzona oczy i szmer poruszających się warg. Tak — w streszczeniu — zaczyna swój opis niedzielnej porannej Mszy św. w jednej z włoskich wiosek Alberto Moravia (1907–1990), znany powieściopisarz i eseista włoski. Moravia wie, że roziskrzona oczy i szmer warg u tych staruszków to znak modlitwy, dochodzący z ich serc. On wie nawet, o jaką modlitwę chodzi: o życie wieczne. Rozśmiesza go ta scena. Jego pióro nie może powstrzymać się od sarkazmu, złośliwych uwag. Jest przekonany, że wieczność nijak nie przystaje do takich „strzępów” życia. Moravia nie byłby Moravią, gdyby nie posłużył się tą sceną do wytoczenia zarzutu chrześcijaństwu, że jest religią wysublimowanego egoizmu. Według niego — chodziłoby w chrześcijaństwie tylko o to jedno: by mieć życie wieczne. A to — według Moravii — oznacza instrumentalne traktowanie Boga. Chrześcijanie wierzą w Boga i biją przed Nim pokłony, mając na uwadze tylko jedno: własne przetrwanie, „życie wieczne”.

To prawda, nie brak jest także chrześcijan „interessownych”. Myślących tylko o sobie, nawet kiedy „myślą” o Bogu czy kiedy Imię Boże mają na ustach. Kręcących się

wokół osi swego „ja”, niczym przysłowiowy kot wokół swego ogona. Krytycy chrześcijaństwa zapominają jednak, że jest ono w swej istocie „religią bezinteresowności”. Zarówno w sferze dóbr materialnych, jak też — co wydaje się dziwne — w sferze dóbr duchowych. O jedno w nim tylko chodzi. O więź osobową z Bogiem. W Jezusie Chrystusie. Nie oznacza to chęci egoistycznego wzbogacenia się Bogiem. Nie jest żadną próbą zawładnięcia Nim czy zamysłem podporządkowania Go sobie. Chodzi jedynie o wejście z Nim w kontakt osobowy, o relację każdego ludzkiego serca z „sercem” Boga.

Nie znam tekstu, który by lepiej ukazywał chrześcijaństwo jako „religię bezinteresowności”, religię poszukiwania więzi osobowej z Chrystusem, nad *Modlitwę dwunastą* Grzegorza z Narek, z jego *Księgi Modlitw*, napisanej w 1002 r. Zawiera ona 95 modlitw, trenów duszy w ucisku. Każda z nich nosi ten sam podtytuł: *Z głębi duszy — rozmowa z Bogiem* (najczęściej adresatem jest Chrystus). Zbiór ten uważany jest za perłę literatury ormiańskiej (za model posłużyły autorowi tylko lamentacje biblijne i rytuał zawodzenia płaczek). Oto niektóre fragmenty wspomnianej *Modlitwy dwunastej*:

To nie tyle nadzieja,
ile raczej miłość przyciąga mnie do Niego.

To nie za darami,
ile za Dawcą odczuwam ustawiczną nostalgię.

To nie wywyższenia pragnę,
tylko wzdycham, by objąć Wywyższonego.

To nie łaknienie życia,
ile pamięć o Tym, który daje życie, spala mnie nieustannie.

To nie odpoczynku szukam,
tylko płacząc szukam oblicza Tego, który daje
odpoczynek.

To nie uczty weselnej wyczekuję z utęsknieniem,
tylko z pragnienia za Oblubieńcem
obumieram.

Modlitwa Grzegorza wyrosła na glebie wielowieko-
wej wierności Armenii Chrystusowi. Nie bez powodu
Armenia szczyli się, że była pierwszym państwem, które
oficjalnie przyjęło religię chrześcijańską (początek IV wieku).

Chrześcijanie wierzą, że ostateczna Rzeczywistość,
która powołała do istnienia kosmos (i nas w nim), posiada
„strukturę” osobową. Można z nią wejść w kontakt po-
znania i miłości. Roziskrzają się wtedy oczy i wargi poru-
szają się szeptem modlitwy.

Ściana, choćby była ze złota, nie nawiąże z nami roz-
mowy. „Odpowie” nam jedynie echem naszego wołania.
Niczym więcej. Czy wiedział o tym Moravia?

kwiecień 2001

Blizszy niż nasza jaźń

Wszystko, co istnieje, jest samotne. I gwiazdy są samotne, bo każda pojedynczo przemierza przestworza. I każde drzewo jest samotne, nawet w puszczy, bo rośnie oddzielnie. I każdy człowiek jest samotny, bo zajmuje przestrzeń, której nikt inny równocześnie zająć nie może.

Filozofowie w okresie humanizmu i renesansu mówili o człowieku jako o myśliwym. Jaźń nasza — według nich — wychodzi ustawicznie na łowy (oczywiście poza czasem snu) i wraca ze zdobyczami. Gromadzimy w umyśle nasze doznania jako „odbicia” rzeczywistości, zebrany materiał potem obrabiamy, wypracowując pojęcia, deponujemy wszystko w skarbcu naszej pamięci i wreszcie wedle potrzeby operujemy posiadanymi przez nas zasobami poznawczymi. „Mędrzec” u Karola Bovillusa (1479–1566) to myśliciel, który przeniósł całą rzeczywistość pod postacią pojęć do gumien swej pamięci i teraz może oddawać się do woli rozmyślaniom, bez potrzeby wychodzenia poza swój umysł, do rzeczywistości, która jest poza nim.

Jesteśmy absolutną samotnią. Nikt nie może wejść do naszej jaźni i rozsiaść się w niej, jak się wchodzi do czyjegoś domu. Owszem, możemy wejść do jaźni innych ludzi, ale tylko jako „materiał” poznawczy. Nie chodzi zatem tutaj o samotność w sensie osamotnienia, poczucia opuszczenia przez innych, tylko o podstawową strukturę naszego ducha, naszej jaźni, owej „przestrzeni”, gdzie każdy jest sam z sobą. Nawet w chwilach najbardziej inten-

sywnego przeżywania obecności innych jesteśmy zawsze sami, bo każdy przeżywa wszystko w sobie, choćby inna osoba obok przeżywała to samo. Ona też przeżywa wszystko w sobie, i w tym sensie oddzielnie, samotnie. Tę fundamentalną samotność, na którą każdy człowiek jest skazany — i o tej swej samotności wie tylko człowiek — najtrafniej ilustruje przykład umierania. Gdy ktoś umiera, to choćby był otoczony tysiącem oddanych, kochających serc, nikt nie może zamienić się z nim tą rolą. Nikt nie może wtedy w niego wejść i umrzeć zamiast niego. Każdy umiera sam. Podobnie sami jesteśmy wobec naszej winy.

Czy jest możliwe, żeby pod dach naszej jaźni weszła rzeczywistość zewnętrzna, ale nie pod postacią doznań, wyobrażeń, pojęć, tylko inaczej, pełniej? Kiedyś wierni mówili przed przyjęciem Komunii św. (w starym tłumaczeniu z łaciny): „Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł pod dach mój, ale rzeknij tylko słowo, a będzie zbawiona dusza moja”. „Pod dach mój” — pod „dach” mojej jaźni, w najgłębszą rzeczywistość mojego jestestwa.

23 stycznia 1945 o. Alfred Delp SJ, skazany dwanaście dni wcześniej na karę śmierci za rzekomy udział w spisku na życie Hitlera, napisał list pożegnalny do Alfreda Sebastiana, o którego narodzinach właśnie się dowiedział. Poproszono go, żeby został ojcem chrzestnym dziecka. O. Delp podaje, że pisze ten list „rękoma w kajdanach”, w celi śmierci w Plötzensee w Berlinie. Zwraca się do chrześniaka z nadzieją, że ten list dotrze do niego i że go kiedyś, po latach, przeczyta: „Żyję tutaj na bardzo wysokiej górze, drogi Alfredzie Sebastianie. To, co nazywa się potocznie życiem, leży daleko w dole, spowite w rozmytą, zagmatwaną czerń. Tutaj na górze spotykają się ludzka samotność i boska samotność na poważnej rozmowie we dwójkę. Trzeba mieć jasne, wielkie oczy, inaczej nie można znieść tutaj światła”.

Dziesięć dni później, 2 lutego, w święto Matki Boskiej Gromnicznej, o. Delp został powieszony.

„Ludzka samotność i boska samotność”. Zwątpienie, beznadzieja? „Na poważnej rozmowie we dwójkę”. Bunt? O. Delp znał św. Augustyna i jego słynne zdanie, że Bóg „jest mi bliższy niż ja sobie samemu” (*intimior intimo meo*). Ale w obliczu śmierci blakną wszelkie pewności i przygasa nadzieja. Jak u Chrystusa na krzyżu: Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił?! Bóg odpowiedział o. Delpowi intensywnym światłem. Bóg prawdziwie nam bliski. A w Nim wszystko prawdziwie bliższe. Bóg nam bliższy niż nasza jaźń.

lutym 2001

Zasłona ze światła

Sporo lat temu o. Józef Maria Bocheński OP w jednym ze swoich wywiadów w „Tygodniku Powszechnym” skarżył się, że Pan Bóg objawił się nam tak niejasno i tak niepełnie. Doprawdy, czy rzeczywiście możemy się na to uskarżać?

Widziałem przed bardzo wielu laty włoski film o końcu świata. Nie pamiętam już jego tytułu. Plaża, bodajże w Neapolu, wypełniona była po brzegi ludźmi. Panowała „włoska” wesołość. Nagle ni stąd, ni zowąd na niebie pojawiła się niewielka czarna chmura, a z niej rozległ się przepotężny, niesamowitej barwy głos obwieszczający, że za ileś tam godzin nastąpi koniec świata. Początkowo wszyscy przyjęli tę zapowiedź jako żart, spreparowany jakimiś sztuczkami technicznymi. Ale gdy rozpoczęło się prawdziwe *count down*, śmiech nieco przycichł. Do akcji wkroczyła policja, wojsko, samoloty, naukowcy. Tak, nie było już żadnych złudzeń, że tajemniczy, przerażający głos dochodzi z przestworzy, z nieba. Ludzi ogarnęła szalona panika. Była ona tak świetnie zagrana i tak udzielała się widowni, że ja już dzisiaj nie pamiętam nawet, jak się film zakończył.

Pan Bóg mógłby dowieść swego istnienia w inny, nie tak drastyczny sposób. Mógłby na przykład na niebie pojawić się świetlisty napis głoszący, że Bóg istnieje — ale taki napis, którego nikt w żaden sposób nie mógłby „wymazać” ani naukowo wytłumaczyć.

Nie! Nie ma racji o. Bocheński, że Pan Bóg objawił się nam zbyt niejasno. Przeciwnie. Objawił się tak genial-

nie, „bosko”, iż tylko On sam potrafił się tak objawić — tak by nie przekreślić naszej wolności. Bóg nie chce z nas mieć marionetek. Nikogo nie przypiera swoim istnieniem aż tak do muru, by ten nie mógł powiedzieć: „Nie ma Cię”. Ci, którzy uwierzyli w Niego, mają po temu dziesiątki racji, ale i ci, którzy w Niego nie uwierzyli, mogą powołać się na dziesiątki racji. I nie jest to tylko sprawa chcenia lub niechcenia czy złej woli — niepojęta do końca tajemnica spotkania Boga i człowieka.

Że Pan Bóg szanuje naszą wolność, wiedzieli o tym wszyscy wielcy wierzący. Izaak Syryjczyk, żyjący w VII wieku, biskup Niniwy, później mnich i pustelnik, w swoich *Traktatach ascetycznych*, podyktowanych uczniom, bo z powodu wyrzeczeń i ustawicznej lektury stracił wzrok, tak mówi: „Bóg w swej wielkiej miłości nie chciał przymusić naszej wolności, chociaż mógłby to zrobić, ale pozwolił nam przyjść do Siebie tylko poprzez miłość naszego serca”.

Tajemnicę poznawalności i niepoznawalności Boga ujął poetycko i obrazowo prorok Mahomet, mówiąc, że „Bóg kryje się za siedemdziesięcioma zasłonami ze światła”. Wielki mistyk perski Al-Ghazali (1058–1111) wyjaśnia, że gdyby Bóg pokazał się bez zasłon, jasność Jego Oblicza spaliłaby wszystko, co żyje i co istnieje. Zasłony te posiadają nierówne natężenie światła i są nierówne rangą, tak jak różnej jasności i wielkości są światła w kosmosie: słońce, księżyc, gwiazdy, ciała niebieskie. Każdy też dociera do Boga poprzez inną zasłonę.

Zasłoną ze światła, która pozwala nam „zobaczyć” rąbek tajemnicy Boga, jest między innymi obecność na tym świecie radości. Nie chodzi mi tutaj oczywiście ani o śmiech, ani o komizm. Dlaczego istnieje w ogóle radość na tym świecie? Jeśli nasz kosmos zbudowany jest tylko z atomów i innych drobnych cząsteczek materii, jak twierdzą niektórzy, to po co jeszcze radość? I czym ona jest?

Może „matka” natura, skądinąd nieczuła na nasze cierpienia, postanowiła w ten sposób „osłodzić” nam gorycz istnienia, ale i tym samym nas oszukać? Czy nie można by sobie wyobrazić świata, gdzie nie byłoby w ogóle zjawiska radości? Co więcej, radość może istnieć nawet pośrodku cierpienia (np. chora matka cieszy się swym dzieckiem), bo sytuuje się ona głębiej w naszym sercu niż ból, cierpienie. Khalil Gibran (1883–1931), poeta i malarz libański, który większą część życia spędził w Nowym Jorku, pisał: „Im głębiej cierpienie będzie wyłabiać wasze jestestwo, tym więcej pomieścicie w sobie radości. Czyż czasa, która mieści wasze wino, nie została wpierw wypalona w piecu garncarza? A lutnia, która koi waszą duszę, czyż nie została wystrugana nożem z tego samego kawałka drzewa?”

Mnich Makary w *Młodziku* Dostojewskiego zwraca się do jednej z osób: „Wy nie możecie być ateistą, ponieważ jest w was zbyt dużo radości”.

Przedziwne światło w tym świecie, któremu na imię jest radość! Radość — przejrzysta zasłona Boga. Zasłona ze światła.

luty 2001

Atom Bożej miłości

Co jest najwyższym przejawem miłosierdzia Bożego względem nas, ludzi, tutaj, na ziemi? Czy może to, że Pan Bóg odpuszcza nam grzechy, czyli że wiąże na powrót zerwaną nić przyjaźni, która łączyła nasze serca z Jego „Sercem”? Nie! Jeszcze coś innego, w wymiarze ziemskim — większego.

Fariduddin Attar, perski teolog i mistyczny poeta islamski, zmarły w 1220 r. (a więc sześć lat wcześniej, zanim zmarł św. Franciszek z Asyżu — autor m.in. *Rozmów ptaków*, gdzie trzydzieści ptaków-dusz poszukuje króla ptaków, Boga), opowiada historię o Jezusie. Historię tę odnaleźć można w *Księdze nieszczęść*, innym jego dziele mistycznym, w którym wędrowiec pyta codziennie przez czterdzieści dni kogoś innego o drogę do Boga. Pewnego razu Jezus, wędrując przez pustynię, spotkał w małej oazie samotnie żyjącego ascetę. Pustelnik wybudował sobie piękny dom Boży pośrodku porośłego bujną zielenią ogrodu, przy źródle tryskającym zimną wodą. Jezus zapytał pustelnika: „O asceto, wielce nabożny czcicielu Boga, powiedz mi, cóżeś tutaj sobie wybudował? Dlaczego? W jakim celu?”

Odpowiedział asceta: „Szlachetny mężu Boży, moje życie chyli się już ku końcowi. Z wielkim trudem udaje mi się przeżyć kolejny dzień. Zdobywam się na ten wysiłek tylko z posłuszeństwa dla Boga. Pragnąłbym jednak przed śmiercią tylko jeszcze jednego od Boga i to byłoby moje ostatnie życzenie tutaj na ziemi”. Jezus zapytał pustelnika, o jakie życzenie mu chodzi. Westchnął głęboko starzec:

„Ach, chciałbym, żeby Bóg dał mi maleńkie ziarnko, choćby jeden atom miłości ku Sobie”.

Jezus poprosił Boga, by raczył spełnić pragnienie starca. I udał się w dalszą drogę. Bóg przychylił się do prośby Jezusa.

Po pewnym czasie wypadło Jezusowi przechodzić tą samą drogą przez pustynię. Jakież było jego zdziwienie, gdy w oazie nie zastał już pustelnika! Dom Boży znajdował się w całkowitej ruinie, źródło wyschło, a po ogrodzie nie pozostało ani śladu. Jezus zwrócił się do Boga z pytaniem, co się stało z pustelnikiem. „Idź na sąsiednią górę — powiedział Bóg — a tam go znajdziesz”. I rzeczywiście. Był tam. Jezus nie mógł uwierzyć własnym oczom. Starzec znajdował się w przerażającym stanie, bardziej podobny do umarłego niż do żyjącego człowieka. Asceta nie zareagował ani na pozdrowienie Jezusa, ani też nie odpowiedział na żadne z Jezusowych pytań. Dopiero Pan Bóg wyjaśnił Jezusowi, co się stało. Pustelnik otrzymał od Niego to, czego pragnął: „atom” doskonałej miłości ku Niemu. Z tą chwilą, w momencie otrzymania daru Bożej miłości, starzec przestał się interesować czymkolwiek na ziemi.

Inny islamski mistyk, teolog sufijski i arabski, Abu Hamid al-Ghazzali, żyjący wiek wcześniej niż Attar, podaje podobną historię o Jezusie w swoim dziele *Ożywienie nauk religijnych*. Księga ta jest kopalnią różnych opowieści o Jezusie. Trzeba pamiętać, że mistycy sufijscy przyjaźnili się często z mnichami i pustelnikami chrześcijańskimi. Ci ostatni nazywali ich „przyjaciółmi Jezusa”. Otóż pewnego razu Jezus napotkał trzech mężczyzn. Byli bardzo wychudzeni i bladzi. Jezus zapytał, co im dolega i co ich doprowadziło do takiego stanu. Odpowiedzieli: „Strach przed piekłem”. Jezus pocieszył ich, że Bóg jest miłosierny i że na pewno nie skaże ich na męki wieczne. Po chwili Jezus natknął się na kolejną grupę trzech mężczyzn. Wy-

glądali jeszcze gorzej. Zapytał ich o przyczynę tego stanu. Odpowiedzieli: „Tęsknota za rajem”. Jezus zapewnił ich, że Bóg w swoim wielkim miłosierdziu na pewno otworzy przed nimi szeroko bramy nieba. Wreszcie Jezus napotkał trzecią grupę, również złożoną z trzech mężczyzn. Wyglądali nieporównanie gorzej od mężczyzn z drugiej grupy. Tylko ich twarze lśniły jak „lustra światła”. Ich także zapytał Jezus, dlaczego ich ciała znajdują się w tak oplakany stan. Padła odpowiedź: „Miłujemy Boga!” Jezus powtórzył trzykrotnie: „O wy, wtajemniczeni, bliscy (Boga)!”

W apokryficznej *Ewangelii św. Tomasza*, jednym z najciekawszych pozaewangelicznych zbiorów wypowiedzi Jezusa z początku II wieku, znajdujemy słowa: „Kto jest blisko Mnie, jest blisko ognia”. Kto jest blisko Boga, jest blisko ognia. Może zatem spłonąć. To dlatego Mojżesz, jak podaje Pismo Święte, widział Boga tylko od tyłu. Nie zniósłby piękna oblicza Bożego. Musiałby w swym ziemskim ciele umrzeć. Z miłości.

Dopóki nosimy śmiertelne ciała, Bóg nie wkłada w nasze serca ziaren doskonałej miłości ku Sobie, bo chce nas zachować przy życiu. Nie moglibyśmy funkcjonować normalnie w naszym świecie. Dopiero nasze ciała uwielbione, w niebie, będą w stanie wytrzymać żar miłości Bożej. Będziemy wtedy podobni do Boga, który ukazał się Mojżeszowi jako krzak gorejący. Krzak płonął i nie spalał się.

Wielu ludzi kocha Boga już tutaj, na ziemi, miłością wielką, szczerą. Ale nie jest to jeszcze „ziarnko” miłości Bożej doskonałej. Chyba tylko w chwili śmierci u męczenników. Święty Augustyn, zniewolony pięknem kobiecego ciała, boleśnie przeżywał rozdarcie między grzechem a pragnieniem miłości Boga. Przekonywał sam siebie, że jeśli Bóg stworzył ten świat takim pięknym, to jakże pięknym musi być On sam! Spod pióra Augustyna wyszły później wspaniałe słowa-wyznanie: „Późno Cię ukochałem,

Piękności moja, tak stara i tak nowa! Późno Cię ukochałem!” Ale nawet wtedy, gdy Augustyn przedarł się przez przeszkody tego świata do miłości Boga, nie postawił jeszcze stopy na Drugim Brzegu. Nie otrzymał od Boga „ziarnka” miłości doskonałej. Pan Bóg potrzebował Augustyna tutaj, na ziemi, przy życiu. Nie chciał, by spalił się w ogniu swej miłości.

Bóg jest wielki i miłosierny w tym, co nam daje, ale jeszcze większy i miłsierniejszy w tym, czego nam nie daje. Dla naszego dobra. Także i w tym, że nie daje nam tutaj „atomu” swej doskonałej miłości ku Sobie. Toteż błądzi często nasze serce. Inwestuje swoją miłość w to, co przemija. Tutaj na ziemi nigdy nie nasycone szczęściem doskonałym. Niespokojne jak igła kompasu. Ale ukierunkowane na Boga.

grudzień 2001

Modlitwa o zgubienie klucza

Słowo „nienawiść” jest mocno zadomowione w słowniku chrześcijańskim. Choć używa się go w zasadzie tylko w dwu przypadkach. Najpierw: że trzeba nienawidzić szatana. Kiedyś mówiło się o tym dużo i często, na kazaniach i w katechezie. Po wtóre — dzisiaj mówi się o tym częściej: że należy nienawidzić zła, dodając skwapliwie, iż nie powinno się nienawidzić ludzi dopuszczających się zła. Nie o samo jednak słowo „nienawiść” chodzi, lecz o mobilizację myśli i uczuć w naszym organizmie, które określamy tym słowem. Lepiej jest nie splamić swej duszy tą namiętnością. Destrukcyjny ogień nienawiści gotów jest przerzucić się z naszego serca na otaczający nas świat. Nie jest też łatwo o tak precyzyjny skalpel myślowy, który by potrafił oddzielić zło od sprawców zła tak, by tych ostatnich nie zranić. Istnieją inne słowa i inne stany uczuciowe w naszej duszy, by uwiarygodnić naszą obcość wobec zła.

Nie brak jest psychologów, którzy usiłują ratować „dobrą” reputację słowa „nienawiść” i związanego z nim uczucia. Nienawiść rzekomo rodzi się wtedy, gdy coś lub ktoś zawęży nasze możliwości życiowe. Ale wtedy trzeba by żyć całkowicie pogrążonym w nienawiści, aż po czubek głowy, bo zawsze coś staje w poprzek naszych uzasadnionych lub wyimaginowanych wizji.

Niezwykle trudno znaleźć autora chrześcijańskiego, którego pisma byłyby pozbawione słowa „nienawiść”, a jeszcze trudniej takiego, który by się domagał całkowitej

banicji uczucia nienawiści z ludzkiego serca, nawet w odniesieniu do szatana — „uosobienia” zła.

Święty Izaak z Niniwy, zwany inaczej Izaakiem Syryjczykiem, urodził się w Bett Katraje, w dzisiejszych Emiratach Arabskich, w VII wieku. Tylko przez pięć miesięcy stał na czele ważnej i wielkiej diecezji Kościoła nestoriańskiego, obejmującej dzisiejszy rejon Zatoki Perskiej. Po rezygnacji z biskupstwa prowadził życie pustelnicze w górach Kurdystanu.

„Czym jest serce współczujące?” — zapytał Izaaka pewien mnich. Izaak odpowiedział: „Jest nim serce całe w płomieniach dla stworzenia, dla ludzkości, dla ptaków, dla zwierząt, dla demonów, dla wszystkiego, co istnieje [...] Z tej racji zanosi ono nieustannie modlitwy, pełne łez, nawet za nierozumne zwierzęta i za wrogów wiary, także za tych, którzy czynią nam krzywdę, by Bóg o nich się troszczył i okazywał im swą łaskę”.

Gdy Izaak pisał te słowa, chrześcijanie w rejonie Zatoki znajdowali się już pod panowaniem muzułmańskim. Nie był to dla niego powód, by przestawić się na nienawiść do nowej władzy. Izaak pisał: „Pozwól się prześladować, ale ty nie prześladuj, pozwól się krzyżować, ale ty nie krzyżuj, pozwól, by ci uwłaczano, ale ty nie uwłaczaj nikomu, pozwól, by rzucano na ciebie oszczerstwa, ale ty nie rzucaj oszczerstw na nikogo [...] cierp z chorymi, smuć się z grzesznikami, raduj się z tymi, którzy się nawracają, bądź przyjacielem wszystkim, ale w głębi twego serca pozostań sam [...] Osłoń twoim płaszczem tych, którzy błędzą, i zakryj ich — a jeśli już nie możesz wziąć na siebie ich win, ich kary i ich wstydu, nie przygnębiaj ich [...]”

Dzisiaj ślady chrześcijaństwa, tam gdzie urodził się i żył Izaak, zasypane są piaskiem pustynnym. Niektóre rozprawy ascetyczne i homilie Izaaka przetrwały do naszych czasów. Płynie z nich życie. Oto świadectwo jednego

z młodych greckich mnichów prawosławnych: „Czytam św. Izaaka Syryjczyka. Znajduję w nim coś prawdziwego, heroicznego i duchowego, coś, co wykracza poza granice czasu i przestrzeni. Choć jest on tak bardzo odległy ode mnie w czasie i przestrzeni, wszedł jednak do domu mej duszy, usiadł przy mnie i wdał się ze mną w rozmowę [...] Nikt inny nie ukazał mi w sposób tak życzliwy i braterski, że we mnie, w naturze ludzkiej, istnieją drzwi, wychodzące na przestrzeń otwartą, bez granic [...]”

Święty Izaaku z Niniwy, pomóż nam zamknąć słowo „nienawiść” i uczucie, które mu towarzyszy, w ciemnej otchłani niepamięci i spraw, byśmy do bramy owego „pomieszczenia” zgubili bezpowrotnie klucz.

październik 2000

Tylko dwa snopy zboża

Jak widzieć zło u bliźnich, tak żeby go nie widzieć? Jak osądzać bliźnich, tak żeby ich nie osądzać? Problemy na co dzień w życiu ojców pustyni, ale także w życiu zwykłych chrześcijan, ba — wszędzie tam, gdzie są ludzie! Dla chrześcijan — szukanie drogi po ostrzu miecza Chrystusowych nakazów: „Nie sądzcie, a nie będziecie sądzeni” (Łk 6, 37) i „Gdy brat twój zgrzeszy ⟨przeciw tobie⟩, idź i upomnij go [...]” (Mt 18, 15). Jak rozwiązywali ten konflikt ci, którzy chcieli być na co dzień żywą Ewangelią?

Pozornie najprostsze wyjście znalazł o. Makary Wielki. Był po prostu „głuchy i ślepy” na błędy drugich. Musiał jednak być tak mądrze i święcie „głuchy i ślepy”, że w jego obecności wszyscy stawali się lepszymi. Mówiono o nim, że „widział błędy u bliźniego, tak jakby ich nie widział, i słyszał o nich, jakby o nich nie słyszał”. Nazwano go „Wielkim” nie dla nadzwyczajnych rzeczy, których dokonywał, tylko z racji głębi współczucia, jakie żywił wobec wszystkich ludzi bez wyjątku.

Wielką miłością do bliźnich, nawet do tych, którzy pobłądzili, wykazał się inny ojciec, o. Ammonas. Był on wtedy już nie tylko opatem, ale biskupem. (Warto na marginesie zaznaczyć, że wśród ojców pustyni krążyło powiedzenie: uciekaj przed kobietami i biskupami; przed kobietami ze zrozumiałych w przypadku mnicha względów; przed biskupami, by mnicha nie wyświęcili na kapłana; widocznie o. Ammonasowi przydarzyło się jeszcze coś

„gorszego”, bo został biskupem). Otóż o. Ammonas natknął się w czasie podróży na następującą scenę: grupa mnichów próbowała usunąć siłą z osady mniszej jednego ze współbraci. Zarzucano mu, że trzyma w swej pustelni kobietę. Mnisi zażądali od o. Ammonasa, żeby poszedł z nimi do „celi” owego mnicha i przekonał się na własne oczy, że nie oskarżają go niesłusznie. Ojciec Ammonas ruszył w drogę. Za nim poszli oskarżyciele. Przerażony mnich zdążył jeszcze w ostatniej chwili ukryć niewiastę w beczce. Zdążył przed nadejściem mnichów, ale nie przed wejściem o. Ammonasa. Jakież było zdziwienie mnicha, gdy zobaczył, że o. Ammonas usiadł wygodnie na beczce, zakrywając ją w dodatku swym płaszczem. Oskarżyciele przetrzęsły całą „celę” mnicha (składała się ona zazwyczaj z kilku pomieszczeń). Każdy jej kąt. Kobiety nie znaleźli. Ojciec Ammonas zrugął ich bardzo surowo: „A więc co? Niech Pan Bóg wam przebaczy!” Kazał wszystkim wyjść. Sam się pomodlił, wziął mnicha grzesznika za rękę i powiedział mu tylko jedno zdanie: „Bracie, patrz na siebie!” — zdanie, które nawet zatwardziałego grzesznika może pobudzić do refleksji, zmienić wewnątrz.

Można by mnożyć przykłady. Wszystkie dadzą się streścić w postawie innego ojca, Agathona. Ten, gdy tylko przyłapywał się na osądzaniu w myślach bliźnich, mówił do siebie: „Agathonie, nie rób tego!”

Ojcowie pustyni, i tutaj jest ich wielki wkład w duchowość chrześcijańską, skupili się na walce z osądzaniem bliźnich na płaszczyźnie podstawowej, na płaszczyźnie swych myśli. Byli przekonani, że samo zaprzestanie osądzania kogokolwiek w myślach leczy w jakiś tajemniczy, ale Boży sposób ową osądzaną osobę z jej ewentualnych błędów. Stąd wynika korzyść obopólna: „grzesznik” się poprawia, a mnich nie grzeszy, bo nie sądzi bliźniego, a jeśli nie „widzi” jego błędów, to i nie musi go napominać, wedle

Ewangelii. Zaprzestanie nieprzyjaznego myślenia o bliźnim jest jakby wysłaniem duchowego fluidu (ojcowie pustyni nie używali oczywiście tego określenia), który leczy „ofiare”; ta nie musi nawet wiedzieć, kto jest w tym przypadku „darczyńcą”. Wszystkich nas stać na tę wspólnąomyślność!

Że nie należy sądzić bliźnich, przypisywać im złych intencji, słów lub czynów, przekonał się na całe życie jeden z mnichów. Ojcowie pustyni żyli z pracy swoich rąk, głównie z wytwarzania plecionek, ale także z pomocy w pracy na polu, zwłaszcza w okresie żniw, u fellachów. Pracujący mnich, być może mający kłopoty z oczami (tego tekst jednak nie mówi), dostrzegł w oddali jednego z braci grzeszącego z niewiastą. Uniesiony świętym gniewem, pobiął w ich kierunku, krzycząc: „Co wy robicie? Na Boga! Przestańcie grzeszyć!” Podbiegł i zamachnął się mocno, by ich kopnąć. Okazało się, że były to tylko dwa snopy zboża.

grudzień 2000

„Zejdź prędko z drzewa, Zacheuszu!”

To prawda, że Zacheusz był niskiego wzrostu (Łk 19, 1–10). Gdyby jednak żył w przyjaznych stosunkach z ludźmi, nie musiałby wspinać się na drzewo, żeby zobaczyć Chrystusa, który tamtędy miał przechodzić. Na pewno mógłby liczyć na miejsce w pierwszym rzędzie, przy drodze, mimo cisnącego się tłumu. Miałby wtedy szansę lepiej widzieć Jezusa. A może nawet mógłby zamienić z Nim kilka słów. Zacheusz jednak takiej bliskości z Jezusem nie szukał. Był tylko ciekaw Mistrza z Nazaretu. „Chciał on koniecznie zobaczyć Jezusa, kto to jest” (Łk 19, 3). Chciał Go widzieć tak, żeby sam nie był przez Niego widziany. Inni ludzie nie interesowali Zacheusza. Byli dla niego powietrzem. Co więcej, żywił dla nich najgłębszą pogardę. Odplacali mu, oczywiście, pięknym za nadobne. Podwójną miarą, bo pogardą i nienawiścią. Czy Zacheusz, poborca podatkowy, celnik, był na usługach obcej władzy? Czy w dodatku (a może i dlatego) miał być zdziercą?

Nie byłby Zacheusz tym, kim był, gdyby nie uporał się z problemem, jak zobaczyć Jezusa. Czyż zawód, który wykonywał, nie nauczył go obchodzić się z masami ludzkimi, „obchodzić” masy? Nie można wszystkiego osiągnąć siłą. Niekiedy (a może na co dzień) trzeba sięgać po fortel, przebiegłość.

Zapewne niewygodnie było Zacheuszowi siedzieć na drzewie. Mimo poczucia wyższości widzieć pod sobą,

w dole, masę ludzką: stłoczoną niczym stado baranów. Zbyt chwiejny to jednak stołek — krucha gałąź. A gdyby jacyś złośliwcy chcieli zatrząść drzewem? Sykomora to przecież nie dąb, który daje poczucie bezpieczeństwa.

Jednego Zacheusz nie przewidział. Że Jezus czyta w ludzkich sercach, choć ludziom wydaje się, że nikt tam nie ma dostępu poza ich jaźnią (Łk 9, 46; J 2, 23). Że Jezus czuwa, choć wydaje się, że śpi — o czym przekonali się apostołowie w czasie burzy na morzu (Mt 8, 23–27). Że Jezus nas „dostrzega”, choć wydawać się nam może, że nas nie „widzi”. Czy nie powiedział Natanaelowi, że widział go pod drzewem figowym? I Natanael skapitulował przed Jezusem: „Rabbi, Ty jesteś Synem Bożym”. Bo nie mógł go Chrystus widzieć tam oczyma ciała (J 1, 49). „Zejdź prędko z drzewa, Zacheuszu!” — Zejdź w dół. Do ludzi. Jeśli chcesz wiedzieć, kim jestem, to wpierw musisz „odkryć” człowieka. Musisz spojrzeć ludziom w oczy. Po prostu wyczytać w spojrzeniu ludzi, co ich boli. Co ich cieszy. Czego pragną. Stwierdzisz wtedy, że są jak ty. Że są ludźmi. Że mają tutaj, na ziemi, tylko jedno życie, jak ty. Że im to życie mija tak samo szybko jak tobie. Dlaczego zatem trzymać ich pod butem przemocy? Narzucać im taką, a nie inną formę współzycia zbiorowego? Dlaczego odmawiać im przynależnych praw? Dlaczego utrzymywać ich w stanie obywatelskiej niedojrzałości? Dlaczego wyzyskiwać? Zejdź, Zacheuszu, z drzewa, które nazywa się: przemoc fizyczna, nacisk ideologiczny, naginanie rzeczywistości do wymaginowanych formuł ideologicznych, propaganda, przebiegłość. Zejdź dobrowolnie z „drzewa”. Żeby nie kazano ci „posiąść się niżej”.

„Dziś muszę się zatrzymać w twoim domu” — powiedział do niego Chrystus. Nie można Mnie poznać,

omijając drugiego człowieka. Bliźniego. Nie można Mnie poznać także, zachowując „bezpieczny” dystans wobec Mnie. Nie chowaj się zatem, Zacheuszu, za ateizm, deizm, agnostycyzm. Nie sprowadzaj religii do przeżyć li tylko metafizycznych, psychologicznych, estetycznych. Nie redukuj jej do obyczajowości, nawet do etyki, do obrzędowości czy folkloru. Nie posługuj się religią w osiąganiu celów, które są jej obce. Odkryj we Mnie rzeczywistość osobową. W głębi duszy pragniesz tego. Wiesz przecież dobrze, że ściana nie da ci odpowiedzi na pytanie o sens twego życia, choćby to była „ściana” niezmiernego kosmosu. Do tego potrzebna jest osoba. Spotkanie osobowe.

Byłoby wielką szkodą dla życia tutaj i w wieczności, gdyby wśród tylu spotkań, do których dochodzi podczas normalnego życia ludzkiego, miało zabraknąć spotkania najważniejszego. Z Tym, bez którego nie byłoby niczego, co jest. Z Tym, od którego wszystko czerpie swój ostateczny sens. „Panie, oto połowę mego majątku daję ubogim, a jeśli kogo w czym skrzywdziłem, zwracam poczwórnice” (Łk 19, 8). Przez sprawiedliwość do Boga. Przez miłość bliźniego. Nie ma lepszej drogi. Przez miłość niekłamaną.

„Na to rzekł Jezus do niego: «Dziś zbawienie stało się udziałem tego domu, gdyż i on jest synem Abrahama. Albowiem Syn Człowieczy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło»” (Łk 19, 9–10). Wspaniałe słowa Chrystusowe: „I on jest synem Abrahama!” I on jest podmiotem Bożego wyboru. Bożej miłości. Wszyscy wyszliśmy spod ręki Boga. Wszystkich nas odkupił na krzyżu Chrystus. Każdy jest „terenem” działania Ducha Świętego. Bóg jest Bogiem życia, a nie śmierci, zemsty. „Chwałą Boga — mówił św. Ireneusz, bp Lyonu (zm. ok. 208) — jest żywy człowiek”.

Błogosławione zejście Zacheuszowe z drzewa! Paradoks Boży: zejście w dół, które jest wyjściem w górę. Drabina Jakubowa do nieba (Rdz 28, 12). „Drabina” dostępna dla wszystkich. Zawsze. Dla nas, lękających się wysokości Bożych.

styczeń 1989

Nadstaw drugi policzek

„Jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi” (Mt 5, 39b). We wszystkich kulturach, tak minionych, jak i aktualnie istniejących, uderzenie w policzek odbierane jest jako upokorzenie. Szczególnie dotkliwą formą tego upokorzenia jest uderzenie, o którym mówi Jezus, a mianowicie w prawy policzek, grzbietem ręki, a nie dłonią. Na Bliskim Wschodzie uchodziło ono za gest najwyższej pogardy wobec drugiego człowieka. Czy w tej sytuacji możliwe jest nadstawienie drugiego, lewego policzka, czego wydaje się żądać Chrystus? Czy owo wskazanie Chrystusa należy brać dosłownie, czy też w przenośni? Nie brak komentatorów, którzy okopują się ze swymi racjami bądź na jednym, bądź na drugim „szańcu”. Zapominają, że posiadamy żywy komentarz do tych słów. W osobie samego Chrystusa.

Scena z Męki Pańskiej. Przesłuchanie Chrystusa u Annasza. Jeden ze sług arcykapłana spoliczkował Chrystusa. „Odrzekł mu Jezus: «Jeżeli źle powiedziałem, udowodnij, co było złego. A jeżeli dobrze, to dlaczego Mnie bijesz?»” (J 18, 23).

Reakcja Chrystusa ma dla nas wymowę przykładu, jak chrześcijanin powinien zachować się wobec „policzka”, który symbolizuje tutaj wszelką przemoc.

Po pierwsze, nie można odpłacać „policzkiem” za „policzek”, bo nigdy nie zostanie przełamany krąg zła. Po wtóre, nie można popaść w strach wobec przemocy. Ten

sam Chrystus, który jako człowiek bał się śmierci (lęk ten przynosi nam honor; świadczy o wadze, jaką przywiązujemy do życia; nie musi być oznaką naszej słabej wiary), nie odczuwał strachu przed ludźmi, którzy czyhali na Jego życie. Nie jest to tylko postawa odwagi, godna podziwu sama w sobie. Nie jest to tylko przykład heroicznej bierności wobec zła. Przeciwnie. Nie można być bardziej aktywnym wobec ludzi dopuszczających się przemocy. Ani bardziej „misyjnym”. Tylko taka bowiem postawa „bez strachu” może pomóc drugiemu człowiekowi wyzwolić się z więzów przemocy. Bo czymże jest przemoc, jeśli nie przejawem słabości, strachu, niewoli? I tylko spotkanie z prawdziwie wolnym człowiekiem może uleczyć zniewolonego przez zło człowieka. Może wyzwolić go do wolności. — I wreszcie po trzecie: konieczny jest dialog bitego z bijącym. Dialog nie o gwiazdach. Ani też ów zakłamy — o tym, jak słodka jest ręka, która bije. Tylko o tym, „co boli”. „Dlaczego mnie bijesz?” Nie można udawać, kiedy się jest bitym, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Nie może tego udawać ani jednostka, ani grupa ludzi, ani społeczeństwo.

*

Czy Jezusowa próba dialogu z bijącymi spełzła na niczym? Nie! „Dlaczego mnie bijesz?” nie pozostało bez echa. „Odpowiedź” rozległa się innym echem; echem gwoździ przybijanych do krzyża. Ale wtedy, poprzez natężenie zła, przemoc złamała swój oścień. Na zawsze. Wszelkie oścień tego świata tutaj, na Golgocie, utraciły moc budzenia strachu. Odtąd można „nadstawiać drugi policzek”.

luty 1988

Święty pisze list do szatana

Morze łez przelano z powodu nietolerancji religijnej. Tymczasem wszystko mogło być inaczej. Przynajmniej jeśli idzie o chrześcijaństwo. Gdyby tylko chrześcijanie stosowali się do wskazówek swego Mistrza! Chrześcijaństwo mogło być łagodne jak buddyzm. Ewangelista Łukasz podaje (9, 51–56), że Chrystus, udając się na święta do Jerozolimy, chciał się zatrzymać na nocleg w jednej z wiosek samarytańskich. Wysłał więc wcześniej paru uczniów, żeby przygotowali kwatery. Ci jednak wrócili, nie posiadając się z oburzenia: mieszkańcy wioski odmówili im gościny, uważając, że pielgrzymi udają się do niewłaściwego sanktuarium (Samaritanie czcili bowiem Boga nie w Jerozolimie, lecz na górze Garizim). Rozczarowani i upokorzeni tą odmową, uczniowie Chrystusa prosili swego Mistrza, by im pozwolił zesłać ogień na nieprzyjazną wioskę. (Widać na tym przykładzie, jak złość zaślepiła umysł; przeceniali, biedacy, swoje możliwości, bo można wprawdzie samemu podłożyć ogień, ale ogień sprowadzić na kogoś z Nieba, żeby go ukarać, to już nie jest w gestii śmiertelników). Chrystus zrugął ich bardzo za tę chęć zemsty.

Chrześcijanie po uzyskaniu wolności i obrośnięciu we władzę szybko zapomną o lekcji tolerancji, jakiej udzielił apostołom ich Mistrz. Nie będą już nawet prosić o ogień z Nieba. Sami sięgną po ogień ziemski i będą nim karać za odchylenia religijne. Palić będą heretyków na stosach.

Nie przynosi chluby św. Tomaszowi z Akwinu, skądinąd jednemu z największych mózgow, jakie wydało chrześcijaństwo, że dał się zwieść prostackiemu argumentowi zaczerpniętemu z królestwa pieniądza, iż heretyków należy karać śmiercią jak fałszerzy pieniędzy, bo ci ostatni fałszują metal, a pierwsi — prawdę Bożą. Doszło do tego, że odpusty i przywileje duchowe, jakie zyskać mogli udający się na wyprawy krzyżowe, zostały rozciągnięte na tych, którzy na miejscu, w swej ojczyźnie, walczyć będą z herezją. Warto tutaj zaznaczyć, że potworny grzech inkwizycji zrodził się z innego grzechu, na pozór bardzo niewinnego, a mianowicie z centralizmu władzy papieskiej. Inkwizytorzy podlegali bowiem nie miejscowym biskupom, lecz samemu papieżowi. Mogli działać z własnej inicjatywy. Posiadali własne więzienia, własne służby, także do stosowania tortur. Każdy mógł zostać zadenuncjowany. Inkwizytorzy mieli władzę nad wszystkimi. Z jednym tylko wyjątkiem. Nie mieli jej nad biskupami. I tylko dzięki temu przemyślnemu systemowi inkwizycja mogła tak długo utrzymać się przy życiu. Biskupi nie musieli bać się o własną skórę, a skóra innych — jak wiadomo — nie boli.

Po reformacji doszło do wojen religijnych, z których chyba najokrutniejsza była wojna trzydziestoletnia (1618–1648). Na przykład w Niemczech, w wyniku tej wojny, liczba ludności miast zmniejszyła się o trzydzieści pięć procent, a mieszkańców wsi o czterdzieści procent. Miasto Bamberg (dawne słowiańskie miasto Baba) przechodziło trzynastokrotnie z rąk do rąk i liczba jego ludności spadła z czterech tysięcy do pięciuset osób.

I znowu nie przynosi chluby chrześcijaństwu fakt, że tolerancja religijna została chrześcijanom narzucona przez władzę świecką, i to absolutystyczną. Chrześcijaństwo nie było w stanie wypracować tej zasady samo, dojść

do niej o własnych siłach. Dzisiaj jest lepiej. Chrześcijanie nie tylko chcą być tolerancyjni, ale zrozumieli, iż tolerancji religijnej domaga się od nich sam Bóg. Katolicy przebili się do tej prawdy, tak naprawdę, dopiero od Soboru Watykańskiego II.

Wszystko mogło być inaczej. Chrześcijaństwo mogło być łagodne jak baranek. Bo taki był zamysł Chrystusa. I niekiedy to się udawało. Zacytuję jeden przykład z życia św. Grzegorza Cudotwórcy, ucznia Orygenesesa, później biskupa Neocezarei (III wiek). Biograf św. Grzegorza, też biskup, wielki Ojciec Kościoła, św. Grzegorz z Nyssy, podaje kuriozalne zdarzenie z życia biskupa cudotwórcy. Pewnego razu św. Grzegorz, podczas jednej ze swych wypraw apostoelskich, zatrzymał się na noc w świątyni pogańskiej. Biograf nie podaje, czy stało się to za wiedzą kapłana, który obsługiwał tę świątynię. Było to miejsce szczególne, bo świątynia funkcjonowała także jako wyrocznia. Zapewniało to kapłanowi i jego rodzinie utrzymanie. Święty Grzegorz nie położył się spać. Postanowił spędzić czas na modlitwie. Czynił oczywiście przy tym, jak zwykle, wiele znaków krzyża św., co — zdaniem biografą — przepłoszyło skutecznie wszystkie demony „urzędujące” w świątyni. Rano Święty ruszył w drogę. Potem powrócił kapłan. A do świątyni zaczęli ściągać, jak co dzień, wierni. Tymczasem „moc” opuściła świątynię. Przestała działać wyrocznia. Ludzie nie doznawali już więcej uzdrowień. Przystano dawać ofiary. Kapłan wraz z rodziną znalazł się w trudnej sytuacji finansowej. Bieda zaczęła zaglądać do jego domu. Nie namyślając się wiele, postanowił odnaleźć winowajcę. Święty Grzegorz zasmucił się bardzo, że jego pobyt w świątyni przyniósł taki skutek i że kapłan wraz z rodziną popadł w nędzę. Wziął kawałek pergaminu i napisał na nim list do diabła: „GRZEGORZ SZATANOWI: WRÓĆ!” Ucieszony kapłan złożył list w świątyni.

Demony wróciły. Wyrocznia zaczęła działać jak wprzód.
Uzdrowienia także.

Wszystko mogło być inaczej. Gdyby chrześcijanie stosowali się do wskazań Mistrza, nie musielibyśmy zwalczać nikogo. Nie balibyśmy się nawet demonów.

lipiec 2001

Jedno małe słowo

Czeski film rysunkowy, na dobranoc, sprzed lat. Na ławce w parku siedzi chłopak, obok dziewczyna. Chłopak bez przerwy powtarza dziewczynie, że ją kocha. Nagle zaczyna padać deszcz. Chłopak wyjmuje z torby parasol, rozkłada go i trzyma nad sobą. Przy tym nie przestaje mówić do dziewczyny, że ją kocha. Ona słucha w milczeniu, smutna. Cała w strugach wody.

Czym jest prawdziwa miłość? Oto dwa przykłady z życia ojców pustyni. Jeden to krótka wypowiedź, drugi — zdarzenie.

Zapytano o. Agathona, co to jest miłość doskonała. Ojciec Agathon odpowiedział: „Jeślibym spotkał trędowatego i dał mu moje ciało, a wziął jego ciało, i był z tego powodu bardzo szczęśliwy, to byłaby właśnie miłość doskonała” (*teleía agapē*).

Dwaj mnisi udali się do miasta, żeby sprzedać swoje wyroby — różne plecionki z liści palmowych czy z sitowia. Ojcowie pustyni żyli z pracy swych rąk, a to, co im zostawało po zaspokojeniu minimalnych potrzeb życiowych, przeznaczali dla ubogich. Nie wszyscy też mnisi od razu osiągnęli doskonałość. Wielu z nich było fellachami, zbiegłymi na pustynię przed poborcami podatkowymi. Niektórzy z nich nie mogli udźwignąć wyrzeczeń życia mniszego, zwłaszcza samotności, i wracali do życia świeckiego. Nasi dwaj mnisi, przybywszy do miasta, rozeszli się. Przedtem umówili się, że się spotkają o określonej godzi-

nie i w określonym miejscu, by wracać razem. Po sprzedaży swych wyrobów spotkali się, ale jeden z nich oświadczył, że nie wraca na pustynię. Drugi zaczął go przekonywać, żeby wrócił. W końcu zapytał, dlaczego nie chce wrócić. „Ponieważ — usłyszał w odpowiedzi — gdy się rozstaliśmy i każdy poszedł w swoją stronę, upadłem z kobietą”. Na to jego towarzysz, chcąc go ratować oraz dodać mu odwagi i nadziei, powiedział: „Mnie przytrafiło się to samo. Chodźmy i czynmy pokutę, a Pan Bóg nam odpuści ten wielki grzech”. Wrócili na pustynię i wyznali swój grzech starszym braciom. Obydwaj otrzymali od braci pokutę do wykonania. Ten, który nie zgrzeszył, czynił pokutę za tego, który zgrzeszył. Tekst stwierdza w konkluzji: „Bóg, widząc trud i cierpienia, jakie na siebie wziął mnich niewinny, powodowany prawdziwą miłością do współbrata, objawił po kilku dniach starszym braciom, że z powodu wielkiej miłości tego współbrata, który nie zgrzeszył, a jednak wziął na siebie część pokuty swego towarzysza, postanowił odpuścić grzech mnichowi winowajcy. Oto, co znaczy dać swą duszę za swego brata”.

Można „zamienić się” nie tylko ciałem, jak tego pragnął o. Agathon. Można „zamienić się” także w pewnym sensie i własną duszą z bliźnim (por. J 15, 13).

Miłość doskonała to owoc długiego procesu przechodzenia od „ja” do „ty”.

Pewien zakochany młody człowiek — według jednej z legend islamskich — puka, pewny siebie, do bramy pałacu wybranki serca. Księżniczka, nie otwierając drzwi, pyta: „Kto tam?” Zakochany odpowiada śmiało: „To ja!” Brama nie otwarła się. Zamiast tego dał się słyszeć głos księżniczki: „Wynoś się stąd! Odejdź!” Młody człowiek, upokorzony i wściekły, odjeżdża, cwałując na koniu. Zaklina się, że jego noga więcej tutaj nie stanie, że księżniczki już nie kocha, że o niej zapomni na zawsze, że już o niej

zapomniał. Wszystko na próżno. Miłość nie daje mu spokoju. Przemierza świat wzdłuż i wszerz, ale myśl o księżniczce wszędzie mu towarzyszy jak cień. Postanawia wrócić i znowu zapukać do bramy pałacu. Puka. I znowu ten sam dialog. Z tym tylko, że na końcu dama serca cicho, jakby szeptem, dodała: „Ty mi nie chcesz powiedzieć jednego małego słowa, które by mi pozwoliło otworzyć ci bramę”. Tym razem młody człowiek odjeżdża od pałacu cichy, pokorny, zamyślony. Już nie przemierza niespokojnie świata. Szuka samotności. Cały czas zastanawia się nad ostatnim zdaniem wypowiedzianym przez księżniczkę. W tym czasie miłość jego do wybranki serca dojrzewa. Staje się głębsza, mocniejsza, traci na swej egoistycznej gwałtowności. Minęły lata. Zakochany z drżącym sercem staje przed bramą pałacu. Puka nieśmiało. I znowu słyszy głos: „Kto tam?” Z jego ust pada: „Ty!” I brama otworzyła się natychmiast. Jedno małe słowo.

styczeń 2001

Diogenes ucieszył się w niebie

Diogenes — w biały dzień, z lampą w ręku — szukał człowieka na zatłoczonym rynku ateńskim. Bezskutecznie. Szkoda, że nie mógł go szukać w Egipcie, na pustyni, w IV wieku po Chrystusie. Znalazłby o. Poemena. Znamy kilkaset wypowiedzi Poemena i wiele anegdot z jego życia. Specjaliści kłócą się, czy wszystkie należy jemu przypisać. Ale nawet gdyby było tak, że wiele z tych powiedzeń i anegdot zostało mu jedynie przypisanych, już to samo dowodziłoby, iż Poemen musiał być postacią wyjątkową.

Zacytuję dwa wydarzenia z jego życia.

Walka ze snem zajmowała wysokie miejsce na liście wymogów ascetycznych u ojców pustyni. Nie było wprawdzie wyraźnych nakazów, jak długo mnich mógł spać, ale obowiązywała zasada, że im mniej czasu poświęci na sen, tym będzie lepiej. Ojciec Arsen utrzymywał nawet: „Wystarczy mnichowi jedna godzina snu, jeśli jest waleczny”. Było to bez wątpienia stanowisko skrajne, choć nie aż tak bardzo rzadkie. W Konstantynopolu istniał klasztor mnichów „nieśpiących”, ustawicznie modlących się. Ale i tam konieczność snu wymusiła na założycielu klasztoru znaczne ustępstwa. Mnisi podzielili się na grupy. Wprowadzono szychty modlitewne, tak iż klasztor jako taki ciągle się modlił, choć pewna część zakonników mogła oddawać się w określonym czasie odpoczynkowi. Mniej snu oznaczało więcej czasu na modlitwę. Ojcowie pustyni modlili się o różnych porach dnia i nocy. Zazwyczaj każdy modlił się

we własnej celi, czyli we własnym eremie. Czasem sąsiedzi zbierali się na modlitwę u jednego z mnichów, zwłaszcza na odmawianie dwunastu psalmów rano i wieczór. W sobotę i niedzielę mnisi spotykali się na wspólnej Eucharystii w najbliższym kościele, co w warunkach pustynnych oznaczało wiele godzin, a niekiedy dzień i więcej drogi. Modlono się na stojąco (symbol zmartwychwstania). Jeśli jednak ktoś przewodniczył modlitwie i sam modlił się na głos, inni mogli w tym czasie siedzieć.

Do o. Poemena przyszło kilku starszych, doświadczonych mnichów z prośbą o radę, jak należy się zachować i co robić, gdy któryś z młodszych, mniej uformowanych mnichów zaśnie podczas modlitwy. O. Poemen nie lubił dawać gotowych rad. Według niego nawet przełożony nie powinien być prawodawcą, tylko modelem. Powołał się zatem na siebie — on w podobnej sytuacji opiera głowę śpiącego sąsiada mnicha o swoje kolana, tak żeby ten mógł spać z większym komfortem.

Inny wielki problem, który trapił ojców pustyni, to kobieta. Jest to temat rzeka. Lista mnichów, którzy dopuścili się grzechu z kobietami, jest wcale pokaźna, ale też i długa jest lista tych, którzy wyszli zwycięsko z pokus w tej materii. Panowała zasada ogólna, iż należy unikać okazji do grzechu, a więc spotkań z kobietami. Niekiedy praktykowano nadmierną, by nie powiedzieć — chorobliwą, ostrożność, krytykowaną wręcz przez środowisko mnisze. Ojciec Paweł, gdy nagle napotkał na swej drodze kobietę, zaczął uciekać „szybciej aniżeli się ucieka na widok lwa lub straszliwego smoka”. Biedak przyplącił tę ucieczkę zdrowiem. Został całkowicie sparaliżowany i przez cztery lata opiekowały się nim — o paradoksie! — zakonnice jednego z klasztorów. Inny mnich, uciekający tym razem przed dwiema zakonnicami, posłyszał za sobą uwagę jednej z nich: „Gdybyś był mnichem doskonałym, to w ogóle nie

dostrzegłbyś, że mijasz kobiety”. Ojciec Poemen nie należał do mnichów uciekających na widok kobiet. Gdy pewnego razu napotkał na cmentarzu płaczącą kobietę, widok ten nasunął mu jedynie pobożną refleksję, że tak należy oplakiwać swe grzechy, jak ta niewiasta oplakuje stratę swych najbliższych. Jedną z zasad o. Poemena brzmi: „Człowiek nie powinien żadną miarą dopuszczać u siebie dwu myśli: nierządu i obmowy swego bliźniego [...] Unikając ich, osiągnie wewnętrzny pokój”.

Gdy o. Poemenowi doniesiono, że jednemu z mnichów, który żył w swoim eremie potajemnie z kobietą, urodziło się dziecko, przywołał swego najmłodszego brata, także mnicha, dał mu bukłak wina i kazał mu go zanieść owemu zakonnikowi. Ojciec Poemen najwidoczniej uważał, że tam, gdzie pojawił się nowy człowiek, powinna też zapanować radość.

Tak! Diogenes ucieszył się w niebie!

styczeń 2001

Za jeden dobry uczynek

Któż nie pragnąłby spotkać świętego z krwi i kości, kogoś, kto „otarł” się o Pana Boga, a żyje na naszej planecie? W Kościele starożytnym, zwłaszcza w IV i V wieku, pielgrzymowano chętnie nie tylko do miejsc świętych, np. do Ziemi Świętej, ale także i do osób żyjących, uważanych powszechnie za święte, zwłaszcza do mnichów i ascetów. Pod kolumną Szymona Słupnika (zmarł w 459 r.; na kolumnie spędził trzydzieści siedem lat) dzień i noc cisnęły się tłumy ludzi, a byli wśród nich nie tylko chrześcijanie, ale i poganie, np. Beduini z Półwyspu Arabskiego.

W przypadku o. Pafnucego (żył w IV wieku w Tebaidzie w Egipcie) dziwi nie to, że pragnął znaleźć świętego, ale to, że chciał znaleźć takiego świętego, który byłby podobny do niego, czyli kogoś, kto dorównywałby mu w świętości. Z taką prośbą o. Pafnucy zwrócił się do Boga. Co za brak pokory! — skłonni jesteśmy zawyrokować, nie kryjąc zgorszenia. Bo i pomyśleć: tyle lat spędzonych na modlitwie, nocnych czuwaniach, postach i wszelkiego rodzaju umartwieniach, i jakby wszystko na nic. Wydaje się, że o. Pafnucy nie uporał się z najzwyczajszą pychą. Pan Bóg jednak nie „gorszy” się naszymi prośbami, nawet jeśli są zuchwałe (byleby były aż do krwi szczere). Przychylił się zatem do prośby Pafnucego. Wysłał anioła i kazał mu oznajmić: „Jesteś podobny do grającego na flecie w takim a takim mieście”. Gdy o. Pafnucy to postyszał, rzucił wszystko i pospiesznie udał się do wskazanego miasta.

Odnalazł flecistę i zaczął go wypytywać o jego życie, praktyki pobożne i cnoty. Nic z tych rzeczy — odpowiedział muzykant. O sobie może tylko powiedzieć jedno, że jest grzesznikiem, pijakiem i rozpustnikiem. Wcześniej był rozbójnikiem. Ojciec Pafnucy nie mógł uwierzyć swoim uszom. Czyżby Pan Bóg się pomylił? Zaczął więc wypytywać flecistę, czy nie zrobił w swoim życiu czegoś dobrego. Grajek w pierwszej chwili nie mógł sobie niczego przypomnieć. Po chwili namysłu jednak powiedział, że przypomina sobie dwa zdarzenia. Razu pewnego obronił pewną dziewczinę, którą zbójcy uprowadzili w nocy i chcieli zgwałcić. Innym razem spotkał na pustyni młodą, na wpół oszalałą kobietę, która zwierzyła mu się ze swych kłopotów i on jej pomógł. Był wtedy jeszcze rozbójnikiem. Kobieta opowiedziała mu swoją historię. Jej mąż, fellach, zalegał z podatkami na pokaźną, jak na niego, sumę. Za karę wymierzano mu od dwu lat co pewien czas baty, aż w końcu wsadzono go do więzienia. Trójkę dzieci sprzedano na licytacji. Ona ratowała się ucieczką. Co pewien czas jest chwyтана i chłostana. Obecnie od trzech dni, bez jedzenia i picia, błąka się po pustyni. Rozbójnik ulitował się nad kobietą. Zaprowadził ją do swej jaskini-kryjówki i dał jej potrzebną sumę na zapłacenie podatku, uwolnienie męża i wykupienie dzieci. Osobiście doprowadził ją do jej wioski i czuwał nad tym, by wszystko zostało po jej myśli załatwione.

Ojciec Pafnucy dopiero wtedy zrozumiał, kim może być Bóg. Nie byłby jednak o. Pafnucym, gdyby nie zatroszczył się o jakość życia duchowego flecisty. Oświadczył mu, że jeśli Bóg go tak wysoko ceni (bo przecież uważa go za równie świętego jak jego), to warto, żeby lepiej zadbał o swoją duszę. Fleciście nie trzeba było tego dwukrotnie powtarzać. Jak stał, rzucił na ziemię swe piszczałki i został mnichem („przemienił akordy muzyczne w melodię du-

chową”). Po trzech latach „wyruszył w podróż niebieską i zajął miejsce w chórze świętych i pośród batalionów sprawiedliwych”. Ojciec Pafnucy zaś podwajał swe praktyki ascetyczne i dalej „kusił” Pana Boga tym samym pytaniem, aż go Pan Bóg zabrał do siebie, nie żeby mieć z nim spokój, tylko żeby o. Pafnucy mógł się cieszyć w pełni pokojem wiecznym.

Nie tylko o. Pafnucy bił się z myślami, czy jest ktoś na świecie, kto by mu dorównał w świętości. Akta greckie św. Teodula, słupnika, który żył w pobliżu Edessy w Syrii za cesarza Teodozjusza Wielkiego (IV wiek), podają, że Teodul na krótko przed śmiercią zwrócił się do Boga z tym samym pytaniem. Odpowiedź była krótka: „Teodul będzie miał tę samą zapłatę w Niebie, co aktor w Damaszku, zwany Wroną”. Teodul kazał pospiesznie przystawić drabinę do kolumny, na której stał, zszedł i udał się do Damaszku. Tam na hipodromie spotkał wskazanego mu aktora Wronę: w jednej ręce trzymał on cytrę, a w drugiej — rękę kurtyzany. Wrona wyznał Teodulowi, że jego życie to seria samych „plugastw i przestępstw”, ale swego czasu dał wszystkie pieniądze, jakie posiadał, pewnej szlachetnej damie, by ją uratować przed utratą czci i popadnięciem w nędzę.

Nie jest ważne, czy historia o. Pafnucego i słupnika Teodula wydarzyły się naprawdę. Ważne jest, co chciano powiedzieć przez nie o Bogu. Święty Ignacy Loyola, założyciel zakonu jezuitów, w swoich *Ćwiczeniach duchownych* podaje medytację o człowieku, który został skazany na wieczne potępienie za jeden ciężki grzech. Bliższy mi jest Bóg o. Pafnucego i słupnika Teodula, który gotów jest dać Niebo za jeden dobry uczynek.

Radosne Światło

W starożytnej Grecji istniało przekonanie, że ten, kto odwiedzi grotę herosa Trofoniusza, po wyjściu z niej już nigdy nie będzie mógł się śmiać. Dowie się w niej bowiem takich rzeczy o sobie, o swej przyszłości, o losach osób bliskich i świata, że na zawsze utraci zdolność do odczuwania i wyrażania radości.

Przenosząc to przekonanie na grunt chrześcijański, można by powiedzieć, że w Grocie Betlejemskiej spotykamy się z czymś zupełnie przeciwnym. Kto wejdzie do niej w pokorze ducha i bojaźni serca, ten dowie się takich rzeczy o sobie, o swej przyszłości, o swoich bliskich i o losach świata, że prawdziwa radość nigdy już nie opuści jego serca. Bo dowie się rzeczy niesamowitych o Bogu.

W wyznaniu wiary, przyjętym na soborze w Nicei w 325 r., Chrystus został nazwany „Światłością ze Światłości”. Odpowiedni passus brzmi: „Bóg z Boga, Światłość ze Światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego, zrodzony, a nie stworzony, współistotny Ojcu”. Tych pięć określeń Chrystusa wymierzonych jest przeciw Ariuszowi, Libijczykowi, kapłanowi z Aleksandrii w Egipcie, który ok. 320 r. zaczął głosić, że Chrystus nie jest prawdziwym Bogiem, tylko stworzeniem, choć najdoskonalszym, przez które wszystko zostało później stworzone. Chrystus Ariusza, mniejszy bóg, nie mógłby nam jednak w niczym pomóc. Nie byłby w stanie uleczyć nas ani z naszych win, ani z naszej przemijalności.

Gdyby Światłość ze Światłości nie zstąpiła z Wysoka ku nam i nie przyjęła ludzkiej natury z Maryi Panny, Bóg pozostałby dla nas obcy i daleki — bardziej niż najodleglejsza gwiazda. Bóg w Jezusie Chrystusie „doświadczył”, co znaczy być człowiekiem. Także my możemy „doświadczyć” w Jezusie Chrystusie, kim jest Bóg. Światłość ze Światłości objawiła się nam w Obliczu Chrystusowym, a przez to i w każdej twarzy ludzkiej. Odtąd możemy kochać Boga i bliźniego całym sercem.

Nie jestem ciekawy, jak Chrystus wyglądał fizycznie. Sądzę, że „prawdziwy” portret Chrystusa byłby dla nas raczej przeszkodą w miłości do Niego. Dzielę ten brak zainteresowania wyglądem Chrystusa z drugim i następnymi pokoleniami chrześcijan, których ta sprawa zupełnie nie ciekawiła — chociaż moda na portrety istniała już w ówczesnym świecie. Nie pragnę nawet łaski, której ponoć dostępowała św. Maura (według kazania Prudencjusza z Troyes we Francji z połowy IX wieku). Podczas modlitwy w krypcie katedry w Troyes przed trzema rzeźbami Chrystusa (Matka Boża z Dzieciątkiem, Chrystus na krzyżu i Chrystus Pantokrator) słyszała, jak z „suchego drzewa” dochodziły kwilenia niemowlęcia Jezusa na kolanach Matki, wzdychania Chrystusa na krzyżu i „grzmienie króla ziemskiego na swym tronie” (który jednak jej, Maurze, „podawał po przyjacielsku złote berło”). Przyznam jednak, że chciałbym zobaczyć oczy Chrystusowe. Jestem pewien, że „dotknąłbym” w nich Światłości ze Światłości.

Jest rzeczą zastanawiającą, że gdy Chrystus mówił o sobie, iż jest Światłością świata (J 8, 12), to żaden z Jego uczniów nie wyrażał zdziwienia czy niedowierzania. Widocznie dostrzegali w Chrystusie odblask Światłości ze Światłości, i to nie tylko na Górze Przemienienia Tabor, ale gdy przebywał z nimi na co dzień, gdy pochylony był

im nogi w Wieczerniku, gdy stanął przed Piłatem i zawisł potem na krzyżu. Ten sam odblask musieli uczniowie rozpoznać w Chrystusie Zmartwychwstałym. Inaczej wzięliby swego Mistrza za zjawę. Większość z nich odda później swe życie za Chrystusa.

Czy można wymyślić piękniejsze poetyckie określenie na to, kim jest Chrystus, niż jak podane w tytule: „Radosne Światło”? Są to pierwsze dwa słowa starożytnego hymnu chrześcijańskiego w języku greckim o Chrystusie, śpiewanego w liturgii prawosławnej na zakończenie dnia: *fos hilaron* — „światło radosne”. Nie ma życia bez światła. Ale co warte byłoby życie ludzkie, gdyby nie miało być w nim radości?! Chrystus jest jednym i drugim. Wystarczy wejść do Groty Betlejemskiej, by się o tym przekonać. Chrystus — Światło nie znające zachodu. Światło, które oświeca i ogrzewa. Radosne Światło.

grudzień 2000

Z radością w sercu

Wydaje się, że ludzie w Starożytności (a także i w Średnio-wieczu?) o wiele głębiej przeżywali smutek i radość aniżeli my, żyjący na przełomie XX i XXI wieku. Istnieje po temu wiele dowodów. Egeria, mniszka hiszpańska, w swym dzienniku-listach z podróży po Bliskim Wschodzie z lat osiemdziesiątych IV wieku podaje, że w czasie liturgii Wielkiego Piątku w Jerozolimie, podczas której czytano m.in. opisy Męki Pańskiej czterech Ewangelistów, wierni przez cały czas głośno szlochali. Jest to stosunkowo łatwe do wytłumaczenia. Jeśli dzisiaj w czasie jednych wiadomości telewizyjnych, trwających niecałe pół godziny, pokazuje się nam kilka okropności i nieszczęść oraz kilka wydarzeń wesołych, a nawet frywolnych (np. sceny trzęsienia ziemi w Indiach, a obok wybór jakiejś miss), to normalny ludzki organizm nie jest w stanie przyswoić sobie głębiej tych różnorodnych treści. Na taką ich podaż może zareagować tylko w jeden sposób — poprzez odbiór matowy, „przytępiony”. Inaczej zapewne było w Starożytności: tam rzeczywiście smutek był przeżywany jako smutek i radość jako radość, choćby ze względu na większe odstępy czasowe, jakie je dzieliły (wiadomości nie „przemieszczały” się tak szybko, jak dzisiaj).

Ten wstęp był konieczny, żeby móc właściwie pojąć jedną z ważnych cech cywilizacji starożytnej, a mianowicie że była to m.in. cywilizacja „łatwych łez”. Dotyczy to zwłaszcza późnego antyku. Głównym bohaterem tutaj

(jeśli idzie o łzy) był mnich, asceta. Płacz należał do istoty życia zakonnego czy pustelniczego. Jeden z ojców pustyni sformułował to obrazowo: jak cień idzie za każdym człowiekiem, tak za mnichem powinny „iść” łzy. Ich celem nie było „gaszenie” namiętności, czy wręcz powolne „wygaszanie” ochoty do życia. Ich zadaniem było — znowu w sformułowaniu jednego z mnichów — „zapalać w sercu ogień”. Mnich na pustyni płakał z miłości ku Bogu, ze współczucia ku ludziom i wszelkiemu stworzeniu i z żalu za swe (czy innych ludzi) grzechy. Przykładem mnicha, który otrzymał od Boga „dar łez”, był o. Arseniusz z przydomkiem Wielki. Żył na przełomie IV i V wieku. Pierwszą połowę swego bardzo długiego życia spędził w Konstantynopolu, gdzie był wychowawcą synów cesarza Teodozjusza, a mianowicie Arkadiusza i Herakliusza. Drugą połowę — jako mnich na pustyni w Egipcie. Nawet gdy o. Arseniusz zasiadał do pracy, do robienia koszyków i plecionek z liści palmowych czy sitowia, był zmuszony zakładać na piersi chustę, bo cały czas płynęły mu po policzkach łzy. Jeden z ojców pustyni przestrzegał wręcz, że łzy przez nas nie wypłakane w tym życiu przemienią się w płacz łzami z ognia w życiu przyszłym. Czy można się zatem dziwić, że mistyk nestoriański, Jan z Dalayathy (Dalayatha — góra w dzisiejszej południowo-wschodniej Turcji), żyjący jako eremita w pierwszej połowie VIII wieku, uważał, iż mnich, zwłaszcza w początkowej fazie swej formacji (na etapie tzw. drogi oczyszczającej), gdzie dominowały praktyki pokutne za popełnione grzechy, powinien dziennie wypłakać ilość łez równą ilości wypitej przez siebie w danym dniu wody?

Łzy nie były jedynym sposobem uprawiania pokuty za popełnione grzechy. Dwóch ojców pustyni, nękanych ustawicznie pokusami cielesnymi, postanowiło zrezygnować z życia pustelniczego. Wrócili do życia „w świecie”

i każdy z nich wziął sobie kobietę. Sumienie jednak nie dawało im spokoju: „Cóż zyskaliśmy przez to, że porzuciliśmy życie anielskie i popadliśmy w grzech nieczystości? Czeką nas za to tylko kara wieczna ognia piekielnego. Wróćmy na pustynię!” Taki usłyszeli głos w sobie. Niedługo potem powrócili na pustynię. Wyznali przełożonym swój grzech, jakiego się dopuścili, a ci nałożyli na nich pokutę, tę samą dla obydwu: rok życia w całkowitym odosobnieniu. Zaopatrzone ich równocześnie w suchy prowiant (suchary) i wodę. Każdy z nich otrzymał dokładnie tę samą ilość obu artykułów. Po roku starsi (czyli przełożeni) przywołali do siebie obydwu pokutników. Jakież było ich zdziwienie, gdy stwierdzili, że jeden był bardzo blady, przybity, prawie bez życia, a drugi był we wspaniałej formie: miał czerstwą cerę, pogodne oblicze. Starsi zachodzili w głowę, jak to mogło się stać — przecież obydwaj otrzymali tę samą porcję prowiantu i byli w dodatku podobnej budowy ciała. Jako dobrzy psychologowie zapytali obydwu o ich wewnętrzne usposobienie i myśli. Ten pierwszy, blady, ledwie żywy, odpowiedział, że cały czas myślał tylko o jednym: jak ciężko obraził Boga i na jak wielką karę za to zasłużył. Drugi odpowiedział: „Ja dziękowałem Bogu za to, że mnie wyrwał z grzechu, ze szponów mojej namiętności, i że dał mi łaskę powrotu do życia na pustyni; cały ten czas myślałem o Bogu z radością w sercu”.

marzec 2001

Co złego zrobił ci Chrystus?

Cena za życie, mierzona wysiłkiem mięśni, była minimalna: rzucenie kilku ziaren kadzidła na rozżarzone węgle na ołtarzu i wylanie symbolicznej ilości wina w geście ofiarniczym, skłon głowy przed posągami bogów i portretem cesarza, niekiedy także przysięga na bóstwo opiekuńcze cesarza. W ten sposób chrześcijanie, oskarżeni o przynależność do nowej religii, mogli uniknąć śmierci w czasie prześladowań w cesarstwie rzymskim w pierwszych trzech wiekach po Chrystusie. W początkowym okresie prześladowań wymagano od nich jeszcze „deklaracji” słownej, a mianowicie, by złorzeczyli Chrystusowi.

To ostatnie żądanie postawiono m.in. Polikarpowi, biskupowi ze Smyrny, w Azji Mniejszej, sędziwemu starcowi, mającemu znać w swej młodości św. Jana Ewangelistę i innych uczniów Chrystusowych (data jego męczeństwa przypada albo na 22 lutego 156, albo na 23 lutego 167). Odpowiedź biskupa jest dla nas zaskakująca. Nie ma w niej żadnej wielkiej teologii. Pozornie. Na wezwanie prokonsula: „Złorzecz Chrystusowi!”, Polikarp odpowiedział: „Osiemdziesiąt sześć lat Mu służę i nic złego mi nie uczynił. Jakże mógłbym złorzeczyć mojemu Królowi, który mnie zbawił?”

Wymóg złorzeczenia Chrystusowi został dość szybko zarzucony. Okazało się bowiem, że dla większości chrześcijan był on progiem psychologicznym nie do przekroczenia. Woleli ponieść śmierć. A władzy rzymskiej nie chodzi-

ło o fizyczną eksterminację chrześcijan, bądź co bądź obywateli cesarstwa, tylko o spowodowanie w ich szeregach jak najwięcej odstępstw. Stąd tendencja, by zadowolić się apostazjami o taryfie ulgowej, czysto ceremonialnej, co satysfakcjonowało mniej gorliwych chrześcijan i władze.

Ale nie tylko Polikarp i w ogóle męczennicy i święci przeżywali intensywnie obecność Chrystusa w swym życiu. Na swój sposób przeżywali ją także grzesznicy. „Tliła się” ona w nich pod popiołem grzechu niekiedy bardzo intensywnie. Często w sposób zakryty dla oczu stróżów prawa, przekonanych, iż posiadają wszystkie przyrządy do pomiarów świętości.

Wyjątkowo trudną misję otrzymał od ojców pustyni żyjący w Sketii, w Egipcie, w IV wieku, o. Jan Kolobos. Ojcowie dowiedzieli się bowiem, że ich dawna dobrodziejka zeszła na złą drogę. Paezja, którą rodzice odumarli, gdy była jeszcze dzieckiem, cały swój majątek przeznaczyła na hospicjum dla ojców. Urządziła je we własnym domu. Gdy pieniądze się skończyły, hospicjum upadło, a Paezja została sama bez środków do życia. Nie „skończyła się” jednak jej młodość i piękność. Za namową „złych ludzi” została kurtyzaną, żyjącą w luksusie, we własnym domu, z liczną służbą. Miłość zobowiązuje — zdecydowali jednak ojcowie: „Ona dopóki mogła, okazywała nam miłość, teraz więc my okażmy jej miłość i przyjdźmy jej z pomocą”. Zadanie powierzono o. Janowi Kolobosowi, który nie grzeszył wprawdzie urodą ciała (*kolobos* znaczy niski, kaleki), ale za to uchodził za najpokorniejszego wśród ojców w Sketii. Przed pokornymi zaś, wiadomo, otwierają się wszystkie bramy. Najtrudniejszy do pokonania był opór odźwiernej. Nie omieszkała wypomnieć o. Kolobosowi, że ojcowie przejedli cały majątek jej pani. Połknęła przynętę, dopiero gdy o. Jan rzucił od niechcenia: „Powiedz twej pani, że jej hojnie zapłacę”. Słowo „zapłata” w jego ustach,

skądinańd brzmiące dwuznacznie, spotkało się z drwinami ze strony służby, ale nie odźwiernej. „Tak, przyprowadź go do mnie — powiedziała Paezja — ci mnisi myszkują ciągle nad brzegami Morza Czerwonego i znajdują tam perły”. Przystroila się i rozsiadła na swym łożu. Ojciec Kolobos wszedł do niej na piętro i usiadł przy niej (jestem przekonany, że gdyby zataić dalszy przebieg historii, to żaden czytelnik nie zgadłby, jakich słów perswazji użył o. Kolobos, żeby nawrócić Paezję). Spojrzał na jej twarz i powiedział: „Co masz do wyrzucenia Jezusowi, że doszłaś do takiego stanu?” Za tymi słowami poszły łzy. Jego. I jej. Ojciec Kolobos zabiera ją z sobą. Zapada noc na pustyni. Ojciec Jan robi „poduszkę z piasku”, każe jej iść spać, czyniąc znak krzyża nad nią. Sam kładzie się nieco dalej. O północy o. Kolobos widzi świetlistą drogę schodzącą z nieba i aniołów zabierających duszę Paezji do raj. Wstał, podszedł do śpiącej, „ruszył ją nogą”. Była martwa. Umarła z miłości do Chrystusa.

Co złego zrobił ci Chrystus? Można też pozytywnie sformułować to pytanie: Co dobrego zrobił ci Chrystus? Pozornie świat wydaje się taki sam przed i po Chrystusie. Jak były łzy przed Chrystusem, tak są i teraz. Jak ludzie umierali przed Chrystusem, tak umierają i teraz. Jak spotykały ludzi nieszczęścia przed Chrystusem, tak spotykają ich i teraz. A jednak wszystko jest inne. Rozświetlone od wewnątrz. Blaskiem, który nie jest z naszej ziemi. Przez wszystkie pory świata przenika światło, ciepło i sens z Wysoka. Od Chrystusa.

czerwiec 2001

Przy żarzących się węglach...

Strach ma wielkie oczy. Nierzadko maluje niebezpieczeństwo w najczarniejszych barwach. Tak było w przypadku uczniów Jezusa w wieczór Wielkiego Czwartku w Ogrodzie Oliwnym. W czasie pojmania Chrystusa. Wszyscy się rozpierzchli. Pouciekali, choć nikt nie usiłował ich aresztować (nawet Piotr nie został pociągnięty do odpowiedzialności za to, że targnął się w czasie pojmania Chrystusa na życie jednego ze sług arcykapłana). Policja świątynna miała rozkaz pojmać tylko Chrystusa. Ani oligarchii żydowskiej, ani Rzymianom nie zależało na uczniach Jezusowych, zbyt dobrymi dysponowali o nich informacjami (od Judasza?). Czyż Chrystus nie powiedział do uczniów na krótko przed udaniem się do Ogrodu Oliwnego: „Wszyscy zwątpicie we Mnie. Jest bowiem napisane: Uderzę pasterza, a rozproszą się owce” (Mk 14, 27).

Uczniowie zdradzili Chrystusa. Żaden z nich nie zdobył się na odwagę, by wmieszać się w tłum na placu przed pretorium Pilata i wstawić się za Jezusem. By zaświadczyć choć jednym dobrym słowem. Żaden też z uczniów nie znalazł się w pobliżu Jezusa, by Mu pomóc w dźwiganiu krzyża. Oprawcy Jego musieli przymusić do tego czynu człowieka całkiem obcego, wracającego z pola, Szymona z Cyreny. Uczniowie Jezusa nie zajęli się nawet pogrzebem swego Mistrza. Uczynił to obcy człowiek, Józef z Arymatei. Uczynił to, narażając zapewne swe dobre imię i karierę.

Pierwsze spotkanie powstałego z martwych Chrystusa z uczniami. Po trzech dniach. W Wieczerniku. W wieczór Wielkiej Nocy. Chrystus nie czyni uczniom wymówek. Nie karci ich za to, że Go zdradzili. Nie domaga się od nich deklaracji wierności. Pierwsze słowa, jakie do nich wypowiada, to: „Pokój wam!” (J 20, 20b). Pokazuje im wprawdzie ślady swych ran: przebite ręce i bok. Ale nie czyni tego w formie wyrzutu. Chce im dać dowód swej tożsamości.

Radość pojawiała się na twarzach uczniów. „Uradowali się zatem uczniowie, ujrawszy Pana” — mówi Ewangelia św. Jana. Pierwsza radość po koszmarze trzech ostatnich dni. Ale czy mogą się radować, skoro ich serca obciążone są poczuciem winy, świadomością niewierności?

Chrystus widzi ich rozterkę. Nie zamierza rozgrzebywać ran ich sumień. Stąd powtarza po raz drugi słowa przebaczenia: „Pokój wam!” Co więcej (o niepojęta dobroci Chrystusowa!), nie tylko przebacza im grzech, ale objawia, że Jego śmierć na krzyżu była wielkim przebaczeniem grzechów i że oni są odtąd szafarzami tego przebaczenia. Mówi do nich: „Którym odpuscicie grzechy, są im odpuszczone...” Nie dość, że Chrystus nie czyni wyrzutów tym, co Go zdradzili — daje im jeszcze władzę odpuszczania grzechów ludziom równie słabym jak oni.

Myliłby się jednak ten, kto chciałby sądzić, że grzech dla Jezusa jest niczym. Że nie przywiązuje On wagi do tego, czy człowiek grzeszy, czy nie. Że jest Mu obojętne, ile w duszach ludzkich życia, a ile śmierci (czyż grzech nie jest nekrozą „tkanek” duszy ludzkiej?). Tak nie jest. Jezusowi zależy na człowieku. Nie chce go zostawić sam na sam ze złem. Wymazuje jego winę, ale też kieruje do niego wezwanie: „Idź i nie grzesz więcej”!

*

Przy żarzących się węglach na podwórzu arcykapłana Piotr trzykrotnie zaparł się Chrystusa. Przy żarzących się węglach nad brzegiem Morza Tyberiadzkiego Zmartwychwstały Chrystus trzykrotnie zapytał Piotra: „Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie więcej aniżeli ci?” Czy miłujesz mnie więcej aniżeli inni moi uczniowie. „Więcej”, bo twoja wina była większa. Popełniłeś grzech zdrady.

Jeśli Chrystus przypomina nam nasz grzech, to nie czyni tego, by nas pogrążyć w poczuciu winy, czy wręcz — by nas upokorzyć. Nie! Przebaczając nam nasz grzech, otwiera przed nami nowe perspektywy. Przenosi nas w nową rzeczywistość. W rzeczywistość większej miłości.

*

Żarzące się węgle — świadek upadku i zdrady. Ale także świadek Bożej alchemii miłości. Bożego przebaczenia. Z żaru spustoszenia — żar miłości.

marzec 1989

Za pięć godzin zobaczę Jezusa

Jacques Fesch. Ukazało się o nim kilka książek we Francji. Ostatnia wyszła niedawno w Paryżu. Nosi tytuł: *Za pięć godzin zobaczę Jezusa*. Jacques, lat trzydzieści, ojciec dwójga dzieci, napadł na bank i w czasie ucieczki zastrzelił policjanta oraz zranił przechodnia. Chciał kupić sobie jacht, żeby popłynąć na nim za siódme morze, na koniec świata. Myślał, że uda mu się w ten sposób uciec przed sobą tak daleko, aż się odnajdzie. Znane pragnienie tych, co czują się źle we własnej skórze i którym wydaje się, że wszędzie jest lepiej, tylko nie tam, gdzie są.

Ujęty, został skazany na śmierć. Osoba jednak, na której 1 października 1957 wykonano wyrok, była już inna niż ta, którą ujęto — Jacques przeżył w więzieniu nawrócenie pod wpływem kapelana więziennego i swego adwokata. Skazaniec prowadził intymny dziennik duchowy, pisany dla sześciolatniej córeczki. Swoisty rodzaj testamentu. Wstrząsający tekst: „Poniedziałek, 30 września... Mój adwokat przyszedł mnie powiadomić, że jutro około godz. 4 rano wykonany zostanie na mnie wyrok śmierci... Obym umarł, jak chce tego Pan. Jestem wszakże pewien, że Jezus w swej dobroci da mi umrzeć śmiercią chrześcijanina... Trzeba, żebym uwielbił Jego święte Imię”.

Jacques wchodzi świadomie w walkę przedśmiertną, w straszliwą huśtawkę uczuć, które miotają łupiną jego świadomości, niczym fale morza łódką, pochłanianą i wypłuwaną na powierzchnię przez rozpętany żywioł: „Myślę,

że podczas tej nocy będę przechodził przez różne stany duchowe... Przed chwilą wydawało mi się, że cokolwiek bym robił, niebo pozostanie dla mnie na zawsze zamknięte. To szatan podszeptuje mi takie myśli. Chce, żebym popadł w trwogę. Rzuciłem się do stóp Maryi i oto czuję się już trochę lepiej. Przedziwne przedśmiertne czuwanie, nieprawdaż?”

Jacques czuje się zmęczony: „Sądzę, że będę musiał się trochę położyć. Czuję się spokojny, ale znużony fizycznie. W moim sercu panuje pokój, ale jest on przemieszany ze smutkiem”.

Układa sobie program zajęć duchowych na najbliższe godziny: „Najpierw odmówię różaniec i modlitwy za konających. Później polecę mą duszę Bogu. Następnie, spoczywając na łóżku, będę rozważał agonię naszego Pana w Ogrodzie Oliwnym. Dobry Jezu, pomóż mi!”

Wraca pokój w skołatane serce skazańca: „Odmówiłem modlitwy. Opływam teraz w pokój i siłę! W swej nieskończonej miłości Jezus usłyszał mą modlitwę i wysłuchał mnie. Jezu, kocham Ciebie! Jest już jedenasta godzina i kwadrans, w nocy. Coś słyszę... Paciorki godzin przesuwają się powoli po różańcu czasu. Za każdym uderzeniem godzin zegara mówię sobie, że zostaje mi jeszcze tyle a tyle czasu do życia. Modlę się. Chciałem trochę zasnąć, ale — oczywiście — nie mogę. Jakże trudną rzeczą jest umieranie”.

Myśl o tych, którzy się za niego modlą, jest dlań źródłem siły. Czyż Chrystus w Ogrodzie Oliwnym, podczas agonii, nie szukał bliskości serc swoich uczniów? Dobrze jest modlić się za konających. Jest to swego rodzaju trzymanie umierającego za rękę. Trzymanie duchowe. Trzymanie tych, którzy pozostają sam na sam ze śmiercią, bo nawet najbliższa osoba nie jest w stanie umrzeć za nich.

„Myślę o tych, którzy modlą się w tej chwili za mnie: o pani Baudet, o o. Tomaszu. Ich pamięć o mnie dodaje mi

otuchy. Jestem bardziej spokojny aniżeli przed chwilą, ponieważ Jezus przyrzekł mi, że zaraz weźmie mnie ze sobą do nieba”.

Przypominają się Chrystusowe słowa z krzyża do Dobrego Łotra: „Dziś ze Mną będziesz w raju”. Gdyby ewangeliści nie odnotowali żadnej innej sceny z życia Chrystusa, tylko tę, Ewangelia byłaby już Dobrą Nowiną, rozpraszającą wszystkie złe nowiny, które spadają na człowieka. Jacques po raz kolejny sięga do modlitwy, której treść i rytm wnosi pokój w serce modlącego się. Modlitwą tą ubodzy duchem żywią się jak chlebem. Różaniec na wargach skazanego na śmierć. Czyż nie nabiera on kształtu swoistej „kołysanki” Bożej na szczęśliwą śmierć?

„Odmówię różaniec na klęczkach, w nadziei, że będę mógł zachować jasność ducha aż do końca. Odmówiłem mój różaniec. Jakież pokój w sercu! Jakaż ogromna jasność myśli! Pozostaje mi tylko pięć godzin życia. Po pięciu godzinach zobaczę Jezusa. Jakże dobry jest nasz Pan. Nie czeka wieczności, żeby dopiero tam wynagrodzić swych wybranych. Przyciąga mnie ku sobie już teraz, powoli, dając mi ów pokój, który nie jest z tego świata”.

Wszystko jednak, co nie jest z tego świata, ma na tym świecie ograniczony byt. Pojawia się i mija. Zegar niemiłosiernie wybija godziny.

„Powinno być już wpół do drugiej w nocy... Odmówiłem jeszcze różaniec. Rozmawiam teraz z Jezusem, z Jego świętą Matką, jak z ojcem i matką. Dobry Jezu, który tyle wycierpiałeś dla mnie i który dźwigasz jeszcze prawie cały mój smutek i moją boleść. Błogosławiony ten, który pokłada swą nadzieję w Panu. Nie zostanie zawstydzony na wieki. Pokój zniknął. W jego miejsce wszedł lęk. To straszne. Czuję, jak serce łomocze mi w piersiach. Maryjo, zmiłuj się nade mną! Sądzę, że z pomocą odrobiny dobrej woli uda mi się przewyciężyć tę trwogę, ale cierpię

mimo wszystko. Uważam, że przerwę ten dziennik w tym miejscu, zważywszy na to, że słyszę już niepokojące odgłosy. Obym umiał stawić czoło. Maryjo, na pomoc! Żegnajcie wszyscy i niech Pan was błogosławi”.

Jacques pamięta o ofiarach swej zbrodni. Modli się za tych, którym dał okazję do grzechu. Wiąże się symbolicznym węzłem małżeńskim ze swą dotychczasową towarzyszką życia. Odmawia z książeczki do nabożeństwa formularz Mszy ślubnej. Któreś z kolei „niepokojące odgłosy” okazały się przeznaczone dla niego. Jacques został zabrany na szafot. Ile czasu musi jeszcze upłynąć, żeby na obliczu moralnym ludzkości pojawił się wstyd za ten wymiar „sprawiedliwości”, tak jak obecnie wstydzimy się niewolnictwa?

Jacques’u, zagubiony, który odnalazłeś się pod Krzyżem, dzięki Ci za przykład otwarcia się na przemieniającą moc Zmartwychwstałego Chrystusa!

kwiecień 1989

Uśmiech Chrystusa

Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, mówi stare polskie przysłowie. Lepiej: prawdziwego Boga poznaje się w potrzebie. Przede wszystkim w biedzie ostatecznej, jaką jest śmierć.

Rzecz znamienna, że bogowie greccy i rzymscy nie interesowali się ludźmi umierającymi. Gdy ktoś zegnał się z tym światem, opuszczali go pospiesznie. Nawet gdy umierający był ich przyjacielem lub kimś przez nich protegowanym. Doświadczył tego np. Hektor, bohaterski obrońca Troi. Gdy los jego został przesądzony — podaje Homer w *Iliadzie* — „opuścił go Jasny Apollo”, jego patron i bóg opiekuńczy. U Eurypidesa Hipolit, syn herosa Tezeusza, czyni gorzki wyrzut Artemidzie, swej „drogiej władczyni”, gdy ta opuszcza go śmiertelnie ранego: „Łatwo porzucasz długą wspólną zażyłość”.

W chrześcijaństwie — przeciwnie. To właśnie umierający mają świadomość, że nasila się w nich obecność Boga. Troska Boga o odchodzących z tego świata stanowi jedną z nowości chrześcijaństwa w stosunku do religii pogańskich. Przekonanie o bliskości Chrystusa w chwili umierania towarzyszyło przede wszystkim męczennikom.

Pierwszy historyk Kościoła, biskup Euzebiusz z Cezarei (ok. 263–339), opisuje w swym dziełku *O męczennikach palestyńskich* śmierć dwudziestoletniego Afianosa. Znał go dobrze, bo przyszły męczennik mieszkał pod jednym dachem z nim i z mistrzem obydwu, Pamfilosem,

który później również zginie śmiercią męczeńską. Afianos pochodził z bogatej rodziny w Azji Mniejszej. Ukończył prestiżową szkołę prawa w Berytos, dzisiejszym Bejrucie. Wrócił potem do swego rodzinnego miasta, by wkrótce jednak przenieść się do Cezarei, gdzie pod kierunkiem Pamfilosa i Euzebiusza oddawał się studiom teologicznym. W Cezarei znajdowała się słynna biblioteka chrześcijańska, pozostawiona przez Orygenesesa. Na początku prześladowań chrześcijan za Maksymusa Dai, zaraz po Wielkanocy 306 r., Afianos, bez konsultowania się z kimkolwiek, zdobył się na czyn, który tłumaczyć może jedynie jego młody wiek (Kościół zakazywał samodenuncjacji i prowokacji): podczas publicznego składania ofiar bogom pochwycił prawą rękę gubernatora Urbanusa, by mu przeszkodzić w wykonaniu kultu, i powiedział głośno: „Nie jest rzeczą dozwoloną odwracać się od prawdziwego Boga i składać ofiarę pozbawionym życia bożkom i złym duchom”. Oczywiście natychmiast został ujęty przez gwardię przyboczną gubernatora i straszliwie zmaltretowany. Postawiony następnego dnia przed sądem, na wszystkie pytania (jakie jest jego imię, skąd pochodzi, czym się zajmuje i gdzie mieszka) dawał tylko jedną odpowiedź, że jest „chrześcijaninem” i „sługą Chrystusa”. Poddano go szczególnie wyszukanyom torturom, m.in. zawieszono go na pewnej wysokości, owinięto mu nogi płótnem nasyconym olejem i rozpalono pod nim ogień. Równocześnie „czesano” jego boki stalowymi grzebieniami, rwąc na nim ciało, tak iż widać było wnętrzności. Euzebiusz, świadek męczeństwa, pisze: „Było to straszne widowisko dla tych, którzy na nie spoglądali. Boki jego były porozdzierane, cały był opuchnięty, a twarz jego była całkowicie zniekształcona. Ogień gwałtowny palił długo jego nogi, do tego stopnia, że ciało jego topniało jak wosk i stawało się płynne, a płomień wżerał się do wnętrza kości, wysuszonych jak trzcina. On

jednak znosił te tortury, jakby ich w ogóle nie czuł. Bóg mieszkał w nim i był dla niego mocnym wsparciem. Obecność Chrystusa była dla niego tak namacalnie widoczna jak blask światła. Tym tłumaczy się, że męczennik stawał się coraz bardziej nieustraszony i odważny w swych wypowiedziach. Wyznawał głośno swoją wiarę w Boga. Dawał publiczne świadectwo Chrystusowi, a Chrystus dawał świadectwo jemu, obdarzając go i wspierając swoją cudowną mocą”.

Tortury kontynuowano następnego dnia, kiedy to zniecierpliwieni sędziowie kazali Afianosa wrzucić do morza i utopić. Zginął 2 kwietnia 306.

Ale nie tylko męczennicy doznawali szczególnej bliskości Chrystusa, gdy odbierano im życie. Święty Ambroży, biskup Mediolanu, śmiertelnie chory, wyznał biskupowi Bassianusowi z Lodi, który mu towarzyszył w ostatnich dniach życia, że podczas ich wspólnej modlitwy zobaczył, jak przyszedł ku niemu Chrystus i uśmiechnął się do niego (biskup Bassianus oczywiście niczego nie zauważył). Kilka dni później św. Ambroży zmarł, w Wielką Sobotę rano, 4 kwietnia 397. Jest to jedyny znany w hagiografii przypadek, że do umierającego przyszedł Chrystus i uśmiechnął się do niego.

A może każdemu z nas będzie dane, że podczas naszej agonii, w sposób oczywiście zakryty dla otoczenia, przyjdzie do nas Chrystus i uśmiechnie się?

maj 2001

On zamknie mi oczy

To brat Eliasz, wikariusz generalny zakonu, przekonał ciężko chorego św. Franciszka z Asyżu, żeby nadał swej śmierci taki „kształt”, by zapisała się w świadomości ludzi jako coś niezwykłego, tak jak jego życie i postępowanie. I rzeczywiście, żaden święty nie „zainscenizował” swej śmierci tak bogato religijnie i tak wyraziście poetycko jak Franciszek.

W ostatnich dniach września 1226 roku, czując zbliżającą się śmierć, polecił, by zabrano go z pałacu biskupiego, gdzie się chwilowo zatrzymał po podróży do Sieny, i zanesiono pośpiesznie do umiłowanej Porcjunkuli, kolebki zakonu, położonej u stóp Asyżu. W połowie drogi kazał zatrzymać orszak i pobłogosławił miasto. Po przybyciu do Porcjunkuli pobłogosławił braci i udzielił im absencji. Podyktował list do rzymskiej arystokratki, Jacopy de Settesoli, by czym prędzej przyjechała, jeśli chce go jeszcze zastać przy życiu, i żeby przywiozła z sobą materiał na jego habit pośmiertny koloru bladego, jaki nosili cystersi w Outremer, w Ziemi Świętej (jest tajemnicą, dlatego Franciszek chciał być pochowany w habitie innego zakonu). Prosił ją także, by przywiozła świece woskowe i kadzidło na jego pogrzeb, także poduszkę pod głowę do trumny i słodki placek z migdałami, który robiła, gdy był w Rzymie. Okazało się, że nim goniec zdążył wyruszyć w drogę z listem, do furty klasztornej zakolatała Jacopa z orszakiem, m.in. z dwoma synami, pod eskortą żołnierzy.

Miała z sobą wszystko, czego życzył sobie Franciszek (po-woływała się na oświecenie, jakie miała otrzymać z Nieba; do dzisiaj zachowała się poduszka w muzeum w Cortonie, dokąd przywiózł ją prawdopodobnie brat Eliasz po wy-rzuceniu go z zakonu; jest obszyta jaskrawoczerwonym jedwabiem, na którym wyhaftowane są złotymi nićmi orły i leopardy). Święty Franciszek zniósł dla Jacopy klauzurę, tłumacząc swą decyzję tym, że jest ona „bratem” Jacopa, bo tak ją rzeczywiście zawsze nazywał.

Na trzy dni przed śmiercią kazał się położyć nago na gołej ziemi, zasłaniając lewą ręką ranę boku (od dwu lat Franciszek nosił stygmaty). Poleciał, by posypano go popio-łem, i nakazał, by po śmierci zostawiono go samego na czas drogi na odległość jednej mili. Była to na szczęście tylko „próba generalna” umierania. Do swej pieśni-arcy-dzieła *Pochwała stworzenia* podyktował ostatnią zwrotkę o „siostrze” śmierci. W dzień przed śmiercią, twierdząc, że jest czwartek, choć bracia poprawili go, że jest piątek, polecił odczytać uroczyście Ewangelię wielkoczwartkową, wyjętą z 13. rozdziału św. Jana (o umyciu stóp apostołom przez Jezusa), po czym kazał przynieść chleb, odmówił nad nim — niczym drugi Chrystus — błogosławieństwo, polecił połamać go na kawałki (sam już był za słaby, żeby to uczynić) i rozdał je osobiście wszystkim, zobowiązując każdego, by całą częśćkę bez reszty spożył.

Złożony nago na gołej ziemi, miał jeszcze tyle siły, by zaintonować Psalm 142 „Bóg moją ucieczką”. Umarł w czasie śpiewania psalmu w sobotę 3 października, wie-czorem. Gdy bracia zamilkli, rozśpiewały się skowron-ki nad Porcjunkulą i szalasem, w którym Franciszek oddał swego ducha Bogu. Śmierć św. Franciszka, jej obrzędowość religijna i poetycka oprawa to skarb dla kultury ogólnoludzkiej na równi z arcydziełami literatury światowej.

Bardziej niż śmierć św. Franciszka przemawia do mnie zejście z tego świata patriarchy ekumenicznego Ate-nagorasa (1972, Istambuł). Przeczuwając zbliżający się koniec, polecił, by mu przyniesiono Ciało i Krew Pańską i postawiono je przy nim, przy łóżku, po czym poprosił, żeby go pozostawiono samego.

Wiem, że zaleca się trzymać umierających za rękę. Sam to wielokrotnie czyniłem. Nie tak jednak chciałbym umierać ja sam. W tym najbardziej osobistym, intymnym momencie życia nie chciałbym czuć na sobie wzroku choćby najbliższych i najżyczliwszych mi ludzi.

Mistrz życia wewnętrznego, mistyk Jan z Dalyathy (VIII wiek), prowadzący żywot pustelniczy na terenie dzisiejszego Iranu, tak odpowiedział na list przyjaciela, który wyrażał swą obawę, że Jan może wkrótce umrzeć i że może być wtedy sam: „Jeśli to nastąpi, to nie martw się z tego powodu. Takie jest bowiem moje oczekiwanie i takie jest moje najgłębsze pragnienie przed mym Panem, żeby w owej godzinie nie było nikogo przy mnie, tylko On. By tylko On był moją pomocą i by tylko On zamknął mi oczy”.

Nie jest ważne, czy umrę pięknie, czy prozaicznie, budująco czy też z przerażeniem w oczach, jako grzesznik, czy w posiadaniu wszelkich „biletów” do Nieba. Byle tylko Chrystus zamknął mi oczy.

listopad 2000

Notka wydawnicza

Zebrane w niniejszym tomie teksty pochodzą w większości z lat 2000–2002. Pozostałe napisane zostały wcześniej, w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych; najstarszy — *Wzięta z ciałem do nieba* — pochodzi z roku 1986. Wszystkie publikowane były na łamach „Tygodnika Powszechnego”.